P. 9786 Ch. Arch

ISSN 0023-5148

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 7/598-8/599 1997

• « La Culture » • Revue mensuelle •

J.W. BOREJSZA:
WIELKA NIEMOC ALBO PROMOCJA

R. KACZMAREK: **ZŁOTÓWKA**

J. LEWANDOWSKI: **PODRÓŻE KSZTAŁCĄ**

K. ZAMORSKI: **ŚMIERĆ KOMUNISTKI**

W. ROSTAFIŃSKI: **KOSZTOWNA WSPÓŁPRACA Z ROSJĄ**

SPIS RZECZY

Jerzy W. Borejsza: *Wielka niemoc albo promocja* 3
Mariusz Wilk: *Zapiski sołowieckie (V)* 12
Robert Kaczmarek: *Złotówka* 24
Christine Winecka: *Mój Stanisławów* 38

WIERSZE

Marzena Broda: *Czterocalowy pejzaż. – Ogień kochania* 61
Stanisław Dłuski: *Syzma* 62
Grzegorz Dobiecki: *Okularnik* 63
Stefan Florek: *Nie czuję* 64
Agnieszka Lisak: *Ruiny klasztoru. – Drzewo genealogiczne* 64
Adam Lizakowski: *Krótka historia Kalifornii* 65

ARCHIWUM POLITYCZNE

Józef Lewandowski: *Podróże kształcą* 67

KRAJ

Krzysztof Wolicki: *Referendum, pielgrzymka, lato i wybory* 81
SMECZ: *Z ukosa* 88
Ewa Berberyusz: *Kartki ze skażonej strefy* 99
Piotr Daszkiewicz: *Przyszłość polskiej polityki ekologicznej* 108

SPRAWY I TROSKI

Kazimierz Zamorski: *Śmierć komunistki* 114
A.B.: *Dzień polski w Sztokholmie* 131
Andrzej Stach: *„Polenwitze" czyli niemieckie „polish jokes"* 133

SĄSIEDZI

Bohdan Osadczuk: *Ukraiński maj w polityce zagranicznej* 138
Jewhen Bystryckyj: *List przewodniczącego Ukraińsko-Polskiego Sympozjum w Kijowie* . 150
Andrzej Stach: *Kronika niemiecka* 151
Wojciech Zajączkowski: *Rosja regionów* 155

KRONIKA KULTURALNA

Bolesław Taborski: *Kontakt '97* 160
Wojciech Rostafiński: *Kosztowna współpraca z Rosją* ... 166
Adam Bartosz: *Rom czyli Cygan* 173
– *Komunikaty:*
Wydawnictwo „Znak" 183
Komisja Fundacji Stypendialnej im. St. Lama 184
Intermarium 184
S.O.S. – Aide aux Malades Polonais 185

Ciąg dalszy SPISU RZECZY na str. 224

W006

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Lipiec/Sierpień–Juillet/Août 1997

INSTYTUT LITERACKI

WPŁATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Maria Andrzejaczek, Perth, W.A. (Australia) – dla uczczenia pamięci Męża, Tadeusza Andrzejaczka – w dziesiątą rocznicę Jego zgonu ..... F. 1.515,00

Andrzej Cisek, Yorktown Heights, NY (USA) – dol. 50,00 .. F. 290,00

Alicja M. Ladowicz, Los Angeles, CA (USA) – dol. 50,00 .. F. 290,00

Tadeusz Wyrwa, Paryż – w 27-mą rocznicę śmierci śp. Ojca Józefa Wyrwy – pseudonimy: „Furgalski", „Stary" – jednego z najbliższych współpracowników „Hubala", później dowódcy samodzielnego oddziału partyzanckiego i następnie dowódcy 2-go Batalionu 25-go pułku AK ..... F. 500,00

DZIĘKUJEMY

Wielka niemoc albo promocja

Przed wielu laty Xawery Dunikowski pytał pono Włodzimierza Sokorskiego, naonczas ministra kultury (1952-1956), czy wie, kto był ministrem kultury we Francji za czasów Balzaka. Sokorski nie wiedział. „No widzi Pan – ucieszył się mistrz – a o Balzaku pan słyszał!" Politycy rządzący Polską zdają się być niezbyt świadomi, iż chwała Polski w Europie i w świecie oparta jest nie tyle na ich działaniach, ile na tym, czego dokonają ludzie polskiej kultury i nauki.

Polska - kraj drugorzędny

Polska nie jest w Europie krajem przodującym ani gospodarczo, ani cywilizacyjnie. Jej rola polityczna nie jest pierwszoplanowa. Parę wieków temu mogła pretendować do rangi mocarstwa. To minęło. Sto pięćdziesiąt lat temu Polacy słynęli jako rycerze wolności, żołnierze rewolucji europejskich. Echem tej chwały stały się lata 1980-81, rok 1989. To również minęło. Oryginalnością, wyróżnikiem Polski we współczesnej Europie mogą być dzieła i dokonania ludzi pióra, kompozytorów, rzeźbiarzy, malarzy, aktorów czy reżyserów, odkrycia ludzi nauki. Warto ten banał przypomnieć. Barierą dla rozwoju nauki są małe nakłady finansowe, jakie obecnie przeznacza państwo na ten cel.

Barierę dla upowszechniania naszych osiągnięć stanowi też hermetyczność, drugorzędność języka polskiego. I to banał. Ale trzeba o nim pamiętać. W krajach małych i średnich, w krajach, w których nie mówi się jednym z języków świato-

BIBLIOTEKA NARODOWA BN P. 9786 Chr. Arch

wych, rolę kluczową odgrywa mecenat państwa, promocja własnej kultury i nauki, zapewnienie jak najszerszego przepływu informacji oraz łączność ze światem.

Jeden przykład. Wiele krajów ma specjalne rządowe agencje zbierające nowości naukowe i techniczne z całego świata, rodzaj wywiadu naukowo-technicznego. Kiedy trzy lata temu ofertę rządowej agencji francuskiej tego rodzaju, gotowej do współpracy z Polską, przekazano odpowiednim resortom w Warszawie, utkwiła ona na urzędniczych biurkach. Bez echa.

Brak u nas zarówno właściwego mecenatu państwa, jak i sprawnej organizacji. Racje i interesy instytucji i resortów górują częstokroć nad racjami ogólnonarodowymi. Najczęściej grzęźnie się w biurokracji, sporach kompetencyjnych, działaniach partyzanckich i zwykłej prywacie. Od czasu do czasu nad grzęzawiskiem wychynie głowa nieuleczalnego utopisty, rozgoryczonego menedżera bądź byłego dyplomaty. Wtedy rozlegają się lamenty nad złym propagowaniem polskiej kultury i nauki za granicą. Proponuje się działania naprawcze. Zatroskani dzielą się oryginalnymi spostrzeżeniami. I znowu zapada cisza.

Druga Rzeczpospolita trwała krótko i nie zdążyła pomyśleć o systemie zorganizowanej promocji języka, literatury, kultury polskiej za granicą. Rzeczpospolita „dwa i pół" trwała długo i wytworzyła, zwłaszcza w warszawskich centralach, sporo niesprawnych struktur, które stały się przytulnym siedliskiem dla podróżników na zagranicznej delegacji państwowej, bez obowiązkowej znajomości języków obcych. Te struktury ostały się po dzień dzisiejszy. Nie przetrwały prawdziwe osiągnięcia minionego czasu, jak np. wysokonakładowe wielojęzyczne pismo *Polska* czytane przez dziesięciolecia od Rosji i Ukrainy po Amerykę Łacińską.

Trzecia Rzeczpospolita kończy rok ósmy i kontynuuje gorsze tradycje poprzedniczki. Dyskusja prasowa sprzed dwóch lat o instytutach polskich przy ambasadach R.P. rozpłynęła się. Artykuł Andrzeja Rosnera „Czas na instytut" z *Gazety Wyborczej* z początku 1997 roku o konieczności scentralizowanej promocji kultury polskiej nie wywołał głębszej dyskusji. Co więcej, próby dyskusji nad nim z góry uznano za bezpłodne.

Wiele inicjatyw kończy się wywieszeniem ładnych szyldów i doraźnymi akcjami, których zasięg od razu ograniczony jest brakiem pieniędzy. Pozostają tabliczki partykularnych fundacji.

Bez bardzo dużych nakładów finansowych dla jednej-dwóch potężnych, wspieranych przez państwo, ale niezależnych od niego bezpośrednio fundacji/agencji o precyzyjnych programach promocji polskiej kultury i nauki za granicą, zapewniających zarazem przepływ informacji w obie strony i wymianę zwłaszcza młodego pokolenia ludzi nauki i kultury – wszelkie dyskusje pozostaną jałowe.

Odpowiedzialność ponoszą tu najwyższe władze R.P., a nie pojedynczy ministrowie czy szefowie instytucji. To one będą rozliczane za trwający marazm. Bez zasadniczych reform niewiele się zmieni w informowaniu świata zewnętrznego (nie tylko i nie głównie Polonii) o polskiej kulturze i nauce, w propagowaniu języka polskiego, w przenoszeniu do Polski za pośrednictwem powołanych przez państwo agencji, wiedzy o najnowszych wynalazkach i odkryciach naukowych, w napływie cudzoziemskich studentów, stażystów i naukowców do Polski.

Finowie w Paryżu

Rozmiary naszego zapóźnienia widać choćby w porównaniu z Finami czy Węgrami. Kultura fińska związana jest mocno ze skandynawskimi sąsiadami, nie brak pokrewnych wątków z Rosjanami, języki (dawniej niemiecki, a dzisiaj angielski) są dosyć powszechnie znane. Za to kulturowo Helsinki były daleko od Paryża. A jednak...

Niewiele lat temu otwarto kilkaset metrów od Sorbony Instytut Fiński, który świetnie prowadzony, zaopatrzony przez państwo w stosunkowo duże fundusze, rozwinął żywą i liczącą się działalność w stolicy Francji. Upowszechnia kulturę w szerokim tego słowa znaczeniu, a więc promuje dorobek architektów, kompozytorów czy ekologów fińskich, organizuje wernisaże, wystawy i sympozja naukowe – łączy sztukę i naukę. Funkcjonuje dla Francuzów, nie dla rodaków. Niektórzy studenci w Quartier Latin wiedzą już, że po drodze

warto zajrzeć do Finów. Owoce dzisiejszej działalności Instytutu Fińskiego – czasem zgoła nieoczekiwane – Finowie zbierać będą jeszcze po latach.

Kultura węgierska ma podobne do fińskich trudności w porozumieniu ze światem zewnętrznym: barierę trudnego i mało znanego języka. A jednak... Sieć kilku starych Collegiów Hungariców (o charakterze naukowym) i kilkunastu węgierskich instytutów kultury, poczynając od Wiednia, Monachium, Stuttgartu, po zachodnie krańce Europy, współpracuje ze sobą o wiele ściślej i poważniej, niż polskie instytuty przy ambasadach czy Stacje Naukowe PAN. To nie przypadek, że Uniwersytet Europejski w Budapeszcie powstał od razu po roku 1989, a w Warszawie Anno Domini 1997 trwają jeszcze spory o miejsce jego budowy.

Każdy liczący się naród europejski upowszechnia swoją kulturę w sposób zorganizowany, przemyślany i w miarę apolityczny. Wystarczy zobaczyć istniejący w Warszawie od zaledwie kilku lat Instytut Cervantesa, który na terenie odległym od Hiszpanii potrafił zdobyć duże uznanie i ściągnąć sporo Polaków na ulicę Myśliwiecką...

Włosi uczą swego języka na całym świecie w instytutach Dante Alighieri; niezależnie od tego nadali wysoką rangę bardzo rozbudowanej sieci instytutów kultury przy ambasadach włoskich. Tłumaczenia z literatury włoskiej, mimo jej znaczenia i dosyć szerokiej znajomości języka włoskiego w świecie, są często sponsorowane przez Rzym z funduszy państwowych. Stanowi to dodatkową zachętę dla cudzoziemskich wydawców i tłumaczy. Z podziwem stwierdziłem w latach osiemdziesiątych, że Włosi udzielają nawet edytorom angielskim wsparcia finansowego.

Kultura i nauka polska z oczywistych względów nie mogą współzawodniczyć z naszym potężnym zachodnim sąsiadem. Porównanie tylko niemieckich możliwości i nakładów finansowych na naukę i kulturę z naszymi, ucina tu wszelką dyskusję. Niemniej warto wiedzieć, że język, myśl, kulturę i naukę niemiecką propaguje za granicą wielostopniowa sieć placówek, poczynając od Instytutów Goethego, specjalistycznych niemieckich instytutów naukowych oraz filii niemieckich fundacji.

Od Waszyngtonu po Warszawę istnieje na przykład kilka

znakomitych instytutów historycznych. Niektóre z nich mają już kilkudziesięcioletnią tradycję, rozporządzają własnymi wydawnictwami. Deutsches Historisches Institut w Paryżu wydał dziesiątki francuskojęzycznych tomów (nie broszur!), które weszły w obieg naukowy. Liczą się, są zjawiskiem stałym, ciągłym, ujmowanym w światowych bibliografiach. Traktują zarówno o wczesnym średniowieczu jak i o współczesności. Liczba pracowników niemieckiego Instytutu Historycznego w Paryżu trzykrotnie przewyższa personel Instytutu Polskiego i Stacji Naukowej PAN w Paryżu razem wziętych. A przecież jest to tylko jedna z licznych tego rodzaju niemieckich placówek nad Sekwaną.

W polskich instytutach przy ambasadach działa niejeden uzdolniony menadżer. Problem polega na wspomaganiu dobrych i eliminowaniu słabych, na odciążeniu ich od zbędnej biurokracji, na przydaniu im kadry administracyjnej przygotowanej językowo i kulturowo. I przede wszystkim na opracowaniu jasnej formuły, czym ma być instytut polski.

Instytuty włoskie przy ambasadach zajmują się propagowaniem kultury swojego kraju oraz, niejako statutowo, promocją nauk humanistycznych. Mając jedynie trzy placówki do kontaktów naukowych poza granicami kraju (Stacje PAN w Paryżu, Rzymie i Wiedniu), warto się zastanowić, co należy czynić w zakresie promocji nauki. Czy nie należałoby albo połączyć statutowo tych funkcji w instytutach polskich, zwłaszcza tam, gdzie są one jedyną reprezentacją, albo raczej wdrożyć odrębny plan instytucjonalnej promocji nauki polskiej za granicą, wspierając kontakty uczelni, instytutów i pojedynczych osób?

W Rzymie ma swoją siedzibę pięć poważnych, powszechnie znanych niemieckich instytucji naukowych, dysponujących bibliotekami. Do dziejów faszyzmu włoskiego Deutsches Historisches Institut posiada najlepiej zorganizowaną bibliotekę w Rzymie. A Stacje Naukowe PAN w Rzymie czy w Wiedniu liczą jednego, czasem dwóch pracowników naukowych. Najczęściej obsadę naukową stanowi jedna jedyna osoba – dyrektor Stacji. Zmarły niedawno Bronisław Biliński, który kierował Stacją w Rzymie ponad trzydzieści lat, dokonywał cudów w pojedynkę, aby zwrócić uwagę na Polskę. Ale, jak mówi rosyjskie porzekadło: *odin w polie nie woin.*

Cóż można zwojować samemu?

Kontakty nauki niemieckiej z zagranicą sponsorują fundacje państwowe i prywatne: Humboldta, DAAD, Adenauera, Eberta, Boscha, Volkswagena i dziesiątki innych. Jedne głównie sponsorują prace i wyjazdy uczonych niemieckich, inne ściągają do Republiki Federalnej cudzoziemców. Na przykład tylko jedna świetnie zorganizowana fundacja Alexandra Humboldta zapewnia corocznie długoterminowe pobyty w Niemczech dla tysiąca – tysiąca pięciuset naukowców z całego świata.

Attachaty naukowe niektórych dużych krajów liczą za granicą po kilkanaście osób. U nas zakwestionowano nawet samo istnienie funkcji jednego attaché naukowego przy ambasadach R.P.

Fundacja Mikołaja Kopernika

Ta skrótowa wyliczanka powinna uprzytomnić jedno: Polska nie może się równać w upowszechnianiu i otwieraniu swojej kultury i nauki na świat ani z potężniejszymi od nas, ani ze znacznie mniejszymi krajami. Po prostu: nie ma żadnej koncepcji.

Propagowanie własnej cywilizacji za granicą wymaga dużych nakładów pieniężnych i długich ciągów czasowych. Instytucje zapewniające promieniowanie języka i literatury typu Alliance Française czy Dante Alighieri lub naukowe fundacje niemieckie i amerykańskie mają za sobą stulecie, a przynajmniej półwiecze istnienia. Nasze zapóźnienie nie zmniejsza się, a narasta. Będzie to rzutowało na przepływ informacji ze światem, na poziom edukacji, na gospodarkę narodową.

Kto, jeśli nie prezydent bądź premier R.P. jest władny, aby powołać do życia ponadresortową, centralizującą promowanie kultury i nauki polskiej instytucję narodową? Przydzielić na nią duże fundusze państwowe. Zapewnić przywileje podatkowe, m.in. dla pieniędzy napływających z dużych banków i przedsiębiorstw niepaństwowych. (Ze wsparcia banków korzystają szeroko np. fundacje włoskie). Podstawowe fundusze od państwa i głównych instytucji prywatnych

powinny napływać w kadencji stałej, ciągłej, w dorocznym budżecie (niezależnie od jednorazowych darowizn). Fundacja – a nie centralny instytut na prawach państwowej jednostki budżetowej – mogłaby przyjmować dotacje i darowizny od osób prywatnych z kraju i z zagranicy. Sprzeczne natomiast ze zwyczajami i przepisami większości krajów jest ubieganie się przez polskie instytuty na statusie dyplomatycznym o wsparcie finansowe w kraju, w którym są akredytowane.

O sprawach gospodarczych fundacji mogłaby decydować odrębna Rada Sponsorów. O celach i kierunkach działania fundacji za granicą, o podziale subwencji i stypendiów, o wydawnictwach powinien stanowić odrębny organ złożony przede wszystkim z młodych, znających świat i języki ludzi kultury i nauki, w pewnej części z Polaków przebywających na stałe za granicą. Niecelowe jest jako zasada powoływanie po raz kolejny wszystkich zasłużonych luminarzy, zasiadających od co najmniej ćwierćwiecza we wszelkich możliwych polskich gremiach. Ów organ zarządzający działaniem fundacji musi być jak najściślej separowany od opcji politycznych czy ciśnień partyjnych. W naprawdę cywilizowanym świecie istnieje klucz kwalifikacji, umiejętności, znajomości języków obcych. Nie ma mowy o podziale funkcji według klucza partyjnego. Niemieckie fundacje CDU (Adenauera) czy SPD (Eberta) mają pewną linię generalną, choć promując ludzi zdolnych wznoszą się ponad podziały polityczne. Ale fundacje, w których bierze udział państwo, są z zasady swojej apolityczne.

Tego rodzaju fundacja narodowa może, rzecz jasna, spełniać wiele funkcji, ale nie wszystkie. Aby nie mnożyć bytów, mogłaby przyjąć na siebie między innymi wspomaganie, koordynowanie (a nawet nadzorowanie merytoryczne) instytutów istniejących przy ambasadach. Mogłaby chronić je przed uprawianiem łatwej „Cepeliady" dla rodaków, pomagać w otwieraniu na kręgi spoza miejscowej Polonii. Mogłaby przejąć opiekę nad lektorami języka polskiego w obcych uniwersytetach. Wielokrotnie zdarza się, że wegetują oni na cudzoziemskiej prowincji pozbawieni książek i informacji kulturalnej o własnym kraju. Funkcjonują na podstawie starych umów, pochodzących z czasów, kiedy głównym zadaniem było przekroczenie „dewizowej granicy". Stąd też

mają finansowy – a co za tym idzie, prestiżowy – status pariasów. Lektorzy języka polskiego za granicą muszą mieć ten sam status, co lektorzy hiszpańskiego, włoskiego lub niemieckiego.

Język polski nie może pretendować do rangi włoskiego czy hiszpańskiego. Ale w krajach sąsiadujących z Polską mogłoby powstać kilka instytutów, prowadzących specjalnie naukę języka polskiego i zapoznających jednocześnie z literaturą i kulturą kraju. Sądzę, że chętnie przyjęlibyśmy podobne instytucje, na przykład ukraińskie czy litewskie na naszym terenie.

Instytucje nie stanowiące części przedstawicielstw dyplomatycznych często łatwiej docierają do cudzoziemskich odbiorców (na przykład Instytut Goethego). Funkcja ich, bardziej pedagogiczna i ukierunkowana na młodzież, różniłaby się od tego, czym zajmują się instytuty polskie przy ambasadach. Atrakcyjność programu wspierającego nauczanie pomnażałaby liczbę słuchaczy.

Nie zapominajmy, iż w różnych krajach instnieje sporo środowisk, które wolą kontakty na szczeblu nieoficjalnym, niedyplomatycznym. Oddziaływanie narodowego instytutu języka czy historii przynosi o wiele więcej niż daje propaganda uprawiana z urzędu.

Fundacja mogłaby zakładać i sponsorować mieszane towarzystwa oraz wspólne ekspedycje archeologiczne i etnograficzne z naszymi sąsiadami. Subwencjonować różnorakie wydawnictwa polskie dla zagranicy, tłumaczenia z polskiego i na polski. Austriackie czy włoskie instytuty kultury drukują w niektórych krajach cudzoziemskich nie tylko programy kwartalne, ale własne biuletyny i wydawnictwa.

Przypomnieć należy, że im szybciej, wzorem niemieckim, postaramy się o założenie polskich instytutów historycznych w Berlinie, Moskwie, Kijowie, Mińsku, Wilnie, Sztokholmie i Pradze, tym lepiej dla naszej nauki. W stosunku do Niemców będzie to zwykły rewanż, wobec innych sąsiadów zachęta do wzajemności.

Otwartą sprawą pozostaje rola Ossolineum jako pomostu pomiędzy Wrocławiem a Lwowem, między kulturą polską a ukraińską.

Od Lwowa i Kijowa po Limę czy Tokio nowa fundacja

nie może, moim zdaniem, mieć lepszego patrona niż Mikołaj Kopernik – uczony i pisarz ponadnarodowy i człowiek o renesansowej wszechstronności.

Czy zakres działalności nowej fundacji ograniczałby się do języka, literatury, propagowania historii, do protektoratu nad badaniami humanistycznymi związanymi z Polską? Czy fundacja nie mogłaby odgrywać pewnej roli w badaniach regionalnych? Czy celowe byłoby rozciągnięcie działalności fundacji na nauki ścisłe i techniczne? Czy słuszniejsze byłoby powołanie do tych zadań innego centralnego instytutu – fundacji – agencji – organu? Na to pytanie nie sposób odpowiedzieć dzisiaj, mogą uczynić to raczej ci, którzy uznają to za sprawę wagi państwowej, przyznają odpowiednio duże fundusze i podejmą nierutynowe kroki organizacyjne. Bez decyzji i dużych pieniędzy znowu zapadnie cisza.

I od czasu do czasu nad grzęzawiskiem znowu wychynie z lamentem głowa kolejnego nieuleczalnego utopisty. A kolejni politycy zajęci kolejną kampanią wyborczą zlekceważą kolejny lament. Ku chwale kultury narodowej...

Jerzy W. BOREJSZA

Jerzy W. BOREJSZA – profesor w Instytucie Historii PAN, członek towarzystw i komisji międzynarodowych, w latach 1989-1991 przewodniczący Rady Nadzorczej SW „Czytelnik", 1991-1995 dyrektor Stacji Naukowej PAN w Paryżu. Za zasługi dla współpracy polsko-francuskiej mianowany Oficerem Legii Honorowej (1996).

Zapiski sołowieckie (V)

„W Moskwie bardzo podejrzliwie odnoszą się do cudzoziemców, za którymi ciągle śledzi tajna policja. Każdy krok cudzoziemca jest tam znany, o każdym jego kroku donoszą do sztabu i każdemu cudzoziemcowi przydzielają agenta. Oprócz tego, Ruscy nie przyjmują cudzoziemców w swoich domach, a nawet boją się rozmawiać z nimi. (...) Cudzoziemcy z wielkimi trudnościami otrzymują tam pozwolenie na podróżowanie po kraju, a w czasie podróży bacznie za nimi patrzą. Ów chłód i podejrzliwość Ruskich sprawiają, iż cudzoziemcy, przyjeżdżający do Moskwy, zdani są wyłącznie na własne towarzystwo".

Adam Olearius, „Opis podróży do Moskwy, Persji i z powrotem", 1633-34.

Na koniec odkryłem źródło plotek, uporczywie krążących po Sołowkach, jakoby mnie tutaj zesłano za... „Solidarność". To Czestiakow, Ilja Pantielejmonowicz, były politruk, znany ze swoich fabulacji, rozgłasza owe słuchy. Powiedział mi o tym Pałtus, przynosząc książkę pt. : „Krach 'operacji Polonija', 1980-81" (wyd. Moskwa, 1985), którą był dostał od Czestiakowa, do poczytania. Na książce stempel *wojskowoj czasti*, widać na pamiątkę ją sobie zostawił Ilja Pantielejmonowicz. Może mu służyła na polit-zajęciach, a może do zaśnięcia? Na okładce skąpa nota o autorze: Wadim Trubnikow, kandydat filozoficznych nauk i zastępca redaktora działu zagranicznego miesięcznika *Kommunist*, w 1985 r. za „Krach..." otrzymał nagrodę Związku Dziennikarzy ZSSR za najlepszą publicystyczną książkę roku. Przekartkowałem ją.

Znajome nazwiska: Kuroń, Wałęsa, Frasyniuk. I dawne czasy: opozycja, Stocznia Gdańska '80, „Solidarność", stan wojenny, konspira... Kawałek mojego życia, raptem obejrzany z drugiej strony, oczami sołowieckich matrosów, poziewających z nudów na polit-zajęciach u Czestiakowa, Ilji Pantielejmonowicza. Pałtus był jednym z nich.

Tej książki czytać nie sposób. Bełkotliwy slang agitki, upstrzonej cytatami z *Trybuny Ludu* i *Żołnierza Wolności*, w unisono z sowieckim komentarzem. Jakaż kasza została po tym w głowach sołowieckich matrosów. Im przecież tego nikt nie wyprostował! Ba, jeśli uważniej posłuchać, co dzisiaj w Rosji mówią, to można znajome wątki rozróżnić w ogólnym szumie. Ot, dla przykładu: Brzeziński. W „Krachu..." zrobiono zeń głównego reżysera „operacji Polonia" i intryganta, który całe życie kombinował, jak rozwalić (w oryg.: *kak podorwat'*) Sowiecki Sojuz. A dziesięć lat później (15 maja '95) w TV to samo mówi... Aleksander Sołżenicyn, zamieniając tylko Sowiecki Sojuz na Rosję, i określając Brzezińskiego (i Kissingera) epitetem *bywszyje*: „Za każdym razem, kiedy *eti bywszyje* występują w Stanach, z wielkim autorytetem, o jednym mówią – jak rozwalić Rosję". Nic dziwnego, że taki Pałtus i jego koledzy z polit-zajęć Ilji Pantielejmonowicza nie dowierzają Polakom, którzy do NATO prą. Tutaj, w głąb Rosji, nowe nie dociera, a jeśli nawet, to nader wykrzywione. Tu panują stare poglądy, lub żadnych.

Przeglądając „Krach 'operacji Polonija'", zwróciłem uwagę na grube podkreślenia czerwonym długopisem. Wszystkie dotyczyły... *Kultury*.

●

A propos „Solidarności"... Mam na myśli tamtą „Solidarność", z lat 80-tych, a nie jej obecny odprysk. Otóż obraz tamtej „Solidarności" w dzisiejszej prasie polskiej (którą tu czytam wyrywkowo, w niezbyt dużych dozach) staje się coraz piękniejszy, i coraz mniej prawdziwy. Czasem to nostalgia, jak bywa u Smecza („łopot flag na dźwigach stoczni"), czasem chwyt publicystyczny, lub zapomnienie. Coraz częściej, piszący lub mówiący o tamtej „Solidarności", idealizują niedawną przeszłość, by tym mroczniej teraźniejszość odmalować... Na

przykład Herling-Grudziński: „Wprowadzenie stanu wojennego ma do dziś potworne konsekwencje. Jest źródłem strasznego schorzenia życia społecznego – życia zrzeszonego w Polsce przed 13 grudnia, a następnie, w konsekwencji skutków stanu wojennego, życia systematycznie pustego, rozkładanego, nawet gnijącego". Cytatę wyjąłem z rozmowy, zatytułowanej „Dżuma stanu wojennego" (*Tygodnik Powszechny*, 12/1997), w której autor „Cudu" i „Dżumy w Neapolu", na marginesie obu tych opowieści, rysuje rzeczywistość, w czarno-białych tonach: do 13 grudnia Cud „Solidarności", po 13 grudnia Dżuma, trwająca do dziś... Hm, polską teraźniejszość znam jedynie z gazet i z relacji polskich turystów, którzy tu rzadko zajeżdżają, dlatego się nie wypowiadam. Za to stare czasy z autopsji pamiętam, sam tam byłem: i w Stoczni Gdańskiej, i w MKZ-cie przy Grunwaldzkiej, i w podziemiu. Cudów nie wspomnę, za to brudów już wtedy było pod dostatkiem. Choćby walka Lecha Wałęsy z „gwiazdozbiorem", czyli sympatykami Gwiazdów, walka bez pardonu z obu stron. Pani Ania (Walentynowicz) nachodziła nas w redakcji „Solidarności", byśmy drukowali w piśmie kawałki o Wałęsie, jako agencie Służby Bezpieczeństwa. Druga strona, to jest Przewodniczący NSZZ, też nie przebierał w środkach. A agresywne „prawdziwki" (prawdziwi Polacy), żądające krwi KOR-u i oczyszczenia Związku z Żydów? A ksiądz Jankowski, papa duchowy Stoczni Gdańskiej i „Solidarności"? Zapamiętałem epizod: po opublikowaniu artykułu o E. Abramowskim, mieliśmy wizytę, niemal bojówki. Do naszej redakcji wparowała delegacja z Komitetu Budowy Pomnika Poległych Stoczniowców, z żądaniem, bym się stawił w Stoczni i wytłumaczył, jakim prawem propaguję idee żydomasońskie w piśmie „Solidarność"? Dlatego nie mogę się zgodzić z idealizacją tamtych czasów, Dżuma już wtedy porażała. Bo Dżuma to choroba... tfu, przyrzekałem sobie, iż nie będę trącał polskich tematów i ot, nie zdzierżyłem słowa. Książczyna z biblioteczki sołowieckiego politruka, Ilji Pantielejmonowicza, wywołała duchy, a duchy, podobno, są wieczne, w odróżnieniu od ciała.

●

Wróćmy do Rosji. Pół wieku temu, w 1947 roku, w Moskwie przebywało dwóch Amerykanów: John Steinbeck, oficjalnie tu goszcząc, i Morris Hershman, sowiecki zeka przed kolejnym łagrem. Obaj napisali o Rosji książki: pierwszy – „The Russian Journal" (wyd. New York, 1948), drugi – „The Adventures of American in Russia" (wyd. New York, 1995). I choć brakuje świadectw, by się poznali, nie sposób wykluczyć, że jeden drugiemu nie mignął, bądź w ambasadzie amerykańskiej, gdzie Hershman bezskutecznie o paszport prosił, bądź na stadionie „Dynama", na obchodach 800-lecia Moskwy, bądź na ulicy, w tłumie...

Steinbeck przyjechał do Moskwy, gdyż miał dość ględzenia o Rosji ludzi, którzy tam nigdy nie byli i postanowił sam dotrzeć do prostego ruskiego ludu, aby opisać tylko to, co na własne oczy zobaczy. Pomysł podróży przyszedł mu do głowy w jednym z nowojorskich barów, gdzie wysiadywał nad whisky, nie mogąc dokończyć sztuki. Prócz Moskwy pobywał w Kijowie, Stalingradzie i Gruzji, odwiedził ukraiński kołchoz im. Szewczenki i zjadł wystawny obiad u Wandy Wasilewskiej na daczy, obejrzał pole stalingradzkiej bitwy i fabrykę traktorów w Stalingradzie, popływał łodzią po Wołdze, zwiedził dom-muzeum Stalina w Gori, zabytki w Mccheti, plantacje herbaty w Adżerii i parę innych rzeczy, „The Russian Journal", napisany w szybkim, amerykańskim tempie i pełen sentencji, w stylu „Porządny człowiek nie pije cudzej whisky!", należy do klasyki gatunku. Steinbeck spędził tutaj dwa miesiące, nie znając ani słowa po rosyjsku. Nawet wywieszki na ulicach trzeba mu było tłumaczyć.

Hershmana do Moskwy przywiózł ojciec, amerykański komunista, na początku lat 30-tych. Morrisek miał wtedy sześć lat. Tatkę szybko aresztowali, jako szpiega, później co prawda wyszedł, na krótko, by zginąć na froncie, bez wieści. Malutkiego Jankesa zabrali do domu dziecka o srogim reżymie, gdzie nim pomiatano za cudzoziemskie pochodzenie, potem posadzili w łagrze, za próbę ucieczki, wreszcie zrobili zeń więźnia politycznego, za chęć powrotu do Stanów Zjednoczonych i dali dziesięć lat katorżnych robót. W Marfinskoj szaraszce spotykał Sołżenicyna, Kopielewa i Panina, siedział na Łubiance i na Tagance, w celach Kazania i Władywostoka, pracował w kopalniach Workuty, i w „Ozierłagu",

i w „Czelabmetallstroju", i wielu innych. Zatem go zesłano na Syberię, na osiemnaście lat. Zimą '90, po 59 latach spędzonych w Rosji, wrócił do rodzinnego Brooklynu. Jego „The Adventures of an American in Russia" czyta się jak prozę Franza Kafki, przeżytą na jawie.

[Nawiasem mówiąc, mam wątpliwości, czy porównywanie „The Russian Journal" i „The Adventures of an American in Russia" ma sens. Nazbyt różne doświadczenia stoją za nimi, nazbyt różna wiedza. Jedynym, być może, co je łączy, jest obraz powojennej Moskwy, oglądanej z różnych punktów spojrzenia.]

Po przybyciu do stolicy Kraju Rad, John Steinbeck zamieszkał w hotelu „Metropol", zaiste świetnym: schody z białego marmuru, purpurowe dywany, winda pozłacana i kobieta w recepcji, mówiąca po angielsku. Na dole restauracja: sala w trzy piętra, fontanna po środku, orkiestra, jazz. Na powitanie wódka pod łososia, wielgaśna salaterka czarnego kawioru, zupa z porów, befsztyk z frytkami, kilka rodzajów sera i dwie butelki wina; razem – sto dziesięć dolarów na pięciu, po kursie dwanaście rubli za baksa. Podczas kolacji koledzy po fachu (korespondenci amerykańscy) poradzili Johnowi, by nie akredytował się w MID-'die (Ministerstwo Spraw Zagranicznych), bo tam tak kontrolują zagranicznych żurnalistów, że ich reporterska działalność sprowadza się do... „przekładu ruskich gazet i wysyłania, jako swojego materiału, choć cenzura i z tego wycina całe kawały". O wiele lepszy jest WOKS (tj. *Wsjesojuznoje obszcziestwo kulturnych swjaziej z zagranicej*). Nazajutrz Steinbeck zgłosił się do WOKS-a, gdzie miły człowiek, niejaki Karaganow, długo go wypytywał o cel wizyty, napomknąwszy, że i wcześniej tutaj różni cudzoziemcy bywali, na pierwszy rzut oka prosowieccy, a potem w relacjach opluwali Sojuz. Karaganow poprosił, aby amerykański pisarz sporządził plan swojej marszruty po Rosji i załączył doń spis obiektów, które chciałby obejrzeć, zatem przydzielił mu sympatyczną tłumaczkę, dał samochód z szoferem i załatwił pokój w hotelu „Savoy", nie gorszym, niźli „Metropol". (W tym ostatnim Steinbeck zatrzymał się tymczasowo, z braku miejsc, w pokoju kolegi z Associated Press). Obiecał też, iż szybko wydadzą pozwolenie na wyjazd z miasta... W oczekiwaniu na pozwolenie Steinbeck zwiedzał Moskwę: był

w Muzeum Lenina i na powietrznej paradzie, w amerykańskim klubie sączył whisky pod swing, w ambasadzie amerykańskiej obejrzał „Błękitną rapsodię", z amerykańskimi korespondentami chadzał i na śniadania, i na obiady, i na kolację, i tak minął tydzień. Steinbeck porównuje w „The Russian Journal" Moskwę z roku 1936 (był tu wtedy, parę dni) z Moskwą powojenną: „Po pierwsze, miasto zrobiło się czystsze, niż wtedy. Ulice wybrukowano, a bruki myto, codziennie. Za owe jedenaście lat ogromnie się rozwinęło budownictwo: setki nowych, wysokich domów, nowe mosty na rzece Moskwie, ulice poszerzono, co krok pomnik. Znikły całe rejony wąskich i brudnych uliczek starej Moskwy, a na ich miejscu wyrosły urzędy i nowoczesne wieżowce". Całkiem socrealistyczny reportaż, nieprawdaż? Tylko: „ludzie na ulicach wyglądali na zmęczonych, kobiety nie używały kosmetyków, odziane czysto, lecz bez szyku, mężczyźni w wojennych mundurach, choć w armii już nie służyli, a na ulicach nie słychać śmiechu, nie widać radości". Po tygodniu Steinbeckowi wydano pozwolenie na opuszczenie miasta.

Morris Hershman dotarł do Moskwy brudny, oberwany i głodny. Wracał z zony pod Czapajewskiem (dawniej Gagarino). Przed odsiadką, parę miesięcy wcześniej, żył tutaj nielegalnie, sypiał po bramach, bez pracy, wygłodzony, „bo jeśli dla Moskwiczan coś niecoś jeszcze bywało na składach i na kartki wydawano codzienną porcję chleba i kilka śledzi zamiast mięsa, to takim jak ja, głód doskwierał serio. Nie posiadając paszportu nie dostawałem kartek żywnościowych i nie mogłem znaleźć żadnej, nawet czarnej roboty". Teraz, w 1947, sytuacja się nieco polepszyła. Za namową urzędnika z amerykańskiej ambasady, Morris przyjął w końcu sowiecki paszport. Dzięki temu mógł się ożenić z Iraidą Sacharową. Młodzi wynajęli kąt w komunalnym mieszkaniu, ciemny i smrodliwy, i znaleźli pracę w artystycznej pracowni przy izmajłowskim parku kultury i wypoczynku. Malowali na transparentach portrety sowieckich przywódców. Za Berię, Mołotowa, Kaganowicza, lub Żdanowa płacono 500 rubli. Czyli trzy bochenki chleba, bądź jedna butelka wódki (relacja jak dziś, A. D. 1997!). Za Lenina – 650 rubli, a za Stalina – 750. Hershman często dostawał Generalissimusa do roboty, czym budził zawiść kolegów i donosy. Czasy były niebez-

pieczne, a on lubił żartować. Na przykład pytał, przychodząc do pracy: po ile dzisiaj wodzowie? „Skąd mogłem wiedzieć, że dobrem to wszystko się dla mnie nie skończy, nie przypuszczałem, mając sowiecki paszport, że śledzi za mną czujne oko władzy, w osobie pełnomocnika MGB w Izmajłowskim parku, gdzie pracowałem. On regularnie wzywał do siebie malarzy na tajne biesiady i szczegółowo wypytywał o mnie". I tak, ani sowiecki paszport, ani amerykańska ambasada, nie pomogły. Już wkrótce Hershman znowu trafi na Łubiankę.

Tymczasem do Moskwy powrócił Steinbeck. Pełen wrażeń z Ukrainy, ze Stalingradu i z Gruzji, a jednocześnie z wątpliwościami, czy zobaczył wszystko, co powinien był obejrzeć. Na przykład: rabski trud, o którym tyle się rozpisywały amerykańskie gazety? „Rzecz jasna – pisze – widziałem wielu niemieckich jeńców przy uprzątaniu ruin, lecz nie mógłbym powiedzieć, że ta praca jest niesprawiedliwa. A i sami jeńcy nie wyglądali ani na niedożywionych, ani na bardzo zmęczonych". Moskwa spotkała pisarza odświętnie, na każdym kroku ogromne portrety wodzów: Stalina, Mołotowa Kaganowicza... I znowu koncerty, spektakle, wystawy i wizyty. M.in. : u pisarza Simonowa, żyjącego – według Steinbecka – bardzo skromnie, bo miał zaledwie dwa auta: dżip forda i nowego cadillaca. I znowu „syte dekadenctwo alkoholowe" w amerykańskim klubie i kolacje u amerykańskich dziennikarzy, lub dyplomatów. Na jednym z przyjęć, w domu u *attaché* wojskowego (barani udziec z zielonym groszkiem, zupa-krem z cebuli, sałaty, ciasta i kawa) John raptem wspomniał słowa Oleariusa, ów fragment (patrz motto), który mu czytał kolega z AP. I zauważył: „Wyobraziłem sobie dom, taki sam jak ten, jakieś czterysta lat temu, w nim oficerów w czerwonozłotych mundurach, francuskich lub angielskich, popijających portwein, a na dole przy bramie ruski strażnik w hełmie na głowie i z halabardą w dłoni. Wszystko to, zdaje się, niewiele się zmieniło od tamtego czasu".

7 maja '97

Dobro pożałowat' w sołowieckij łagier' gołodnogo reżima! – wypisano krzywymi bukwami na transparencie, z którym Sołowczanie przywitali archangielską delegację w

następującym składzie: Oleg Władimirowicz Pietrow, naczelnik aparatu gubernatora, Wiaczesław Iwanowicz Kaliamin, szef archangielskiej Dumy, Michaił Wieniaminowicz Butorin, nasz deputowany i jeszcze pół tuzina wypasionych brysiów w długich płaszczach. Ich wizyta była efektem posłania do prezydenta Federacji Rosyjskiej (o tymże posłaniu pisałem w poprzednim numerze *Kultury*). Z sekretariatu Prezydenta przyszło polecenie do Archangielska: wyjaśnić sytuację na Wyspach do 12 maja, kiedy to problem Sołowek stanie na plenum rządu. Ot, tak!

U wrót sołowieckiego aeroportu, od samego ranka, w błocie i w rozmiękłym śniegu po kolana, na delegację wyczekiwali robociarze z przedsiębiorstwa usług komunalnych. Czekali na pieniądze, których od roku nie widzieli. Skostniali z zimna, bo „nawet krew przestała grzać", gotowi lec na pas startowy, byle nie wypuścić delegacji z Sołowek, jeśli się okaże, że przyleciała bez pieniędzy. – Niech tu z nami posiedzą – judzi Kozłow, podbechtując mużyków – choćby miesiąc, bez chleba... Ledwie samolot dotknął ziemi, wybiegli na płytę lotniska, nie zważając na wrzaski naczelnika aeroportu, że nie wolno. Lecz dalej odwagi zbrakło! Jak wryci stanęli i oniemieli, na widok czynowników. Niektórzy nawet czapki zdjęli. Delegaci szparkim krokiem przeszli mimo, do autobusu. – A nasze pieniądze? – ryknął Kola Arkatian, sołowiecki Ormianin, wielkie chłopisko o przekrwionych oczach. – Tylko bez ryków – odwarknął pułkownik MWD, eskortujący delegatów – ty kto? Kola zrazu zmiękł i zaczął się jąkać, że trójka głodnych dzieci, że żona brzemienna, że żyją w łagiernym baraku, gdzie dach przegnił i śnieg pada do pustych garnków... – Potem wyjaśnimy – przerwał mu pułkownik, widząc, że goście już wsiedli. Bryznęło błoto spod kół, spaliny zaśmierdziały i pojechali do Administracji. A naród za nimi, na piechotę.

Pod budynkiem Administracji tumult, mat i błoto. Dym „Białomorów" wyjada oczy. Żeńka Kozłow znów nerwy ludziom strzępi, że żadnych pieniędzy nie będzie, że goście nabiją kiszkę u Ananczenki (byłego funkcjonariusza KGB, a obecnie właściciela hotelu w starym więzieniu SŁON-a) i odjadą bez słowa, zaś nasz brat z ręką w g... zostanie. – Ech, żeby choć trochę dali – Motyl się rozmarzył – jak raz Dzień

Pobiedy, można by kawał słoniny kupić, *puzyriok* (butelka wódki po sołowiecku, dosłownie: pęcherz, bąbel) i na rybałkę wyskoczyć. – Prędzej własne uszy zobaczysz, niż swoje pieniądze – zgasił go Kozłow. – Suki, blia... – ktoś zaklął i nie dokończył, bo wyszedł Browin i zaprosił wszystkich do środka. Naród runął do sali posiedzeń Administracji, zasiadł i zamarł w oczekiwaniu. Powietrze od razu zgęstniało. Za stołem prezydialnym, Kaliamin i Pietrow, między nimi Sasza Browin, z przygłupią fizjonomią, niczym Iwan Duraczok z ruskiej bajki. Zaczął Kaliamin, sucho jakby groch łuszczył. Że pieniędzy nie ma i nie będzie, dopóki sami ich nie zarobimy. Że teraz reformy, rynek i z nikim się cackać nie należy. Ot w elektrowni sołowieckiej, dla przykładu, pracuje 32 ludzi, a wystarczyłoby czterech. Utrzymanie łóżka w naszym szpitalu kosztuje aż 120 milionów rocznie, zaś w Miezeni zaledwie 30. Ponad 80% Sołowczan korzysta z różnych ulg płatniczych za usługi komunalne, nic więc dziwnego, że siedzimy głodni. Dalej poszło o reformie komunalnej, o której głośno teraz w całej Rosji. Że każdy powinien sam płacić za swoje mieszkanie, w całości, a nie jak obecnie tylko 25%. I że konkurencja musi być w usługach, by byle hydraulik nie darł z ludzi skóry za kawałek rury... Tutaj Gławanicha, nowy naczelnik komunalszczyków, nie wytrzymała i mówi, że to łobuzy, bo ludzie już teraz nie uiszczają czynszów, jeżeli zarobków nie dostają. Zaś konkurencja, ha, ha... toż na Sołowkach brak materiałów nawet dla jednej firmy i zakupić ich nie ma za co, bo ludzie nie płacą, bo i ludziom nie płacą, i tak dalej, i tak dalej... Raptem z sufitu spadł kawałek tynku, wprost na stół prezydialny. Śmiechu było. Na tym spotkanie przerwano, aby goście się zapoznali, naocznie, jak ludzie żyją na Wyspach. Komunalszczyki zapowiedzieli strajk wodny, czyli wyłączenie wody w posiołku do czasu, aż im wypłaty nie zwrócą. I rzeczywiście, najpierw w kranach zaszumiało i pociekła bura ciecz, barwy krwi, potem zacharczało, skapnęło trochę rdzy i... koniec.

Zwiedzanie zaczęli od elektrowni, która ledwo dyszy i dwóch miliardów wymaga, na remont. Błocko wszędzie, puste beczki, bajora mazutu. Goście buty powalali. Potem obejrzeli szpital, przypominający łagierną Trupiarnię (opisaną przez Herlinga w „Innym świecie"), dziwując się, że w szpitalu brak rentgena i laboratorium, i lekarstw, i... wody? (Już miesiąc jak rura pękła!) Chcieli też zobaczyć oczyszczalnię ścieków, lecz drogę śniegiem zawiało, a i oglądać nie byłoby czego, wszak oczyszczalnię w pół budowy porzucono, i rozkradziono. Zatem wodociągi im pokazano, z daleka. Braku filtrów nie zauważyli. Za to cieknące hydranty mocno ich rozeźliły. – To karygodne marnotrawstwo – rzucił Oleg Władimirowicz – tyle wody w morze wylewać. Lecz Oleg Władimirowicz nie wie, że jeśli zamknąć krany, to zimą woda zamarznie i rury rozsadzi, zaś latem z rdzą popłynie. Przed obiadem jeszcze do szkoły zdążyli zajrzeć i do stołówki szkolnej, gdzie karmią maluchów raz dziennie i – nierzadko – jest to jedyny posiłek sołowieckich dzieci. Na wzmiankę o posiłku goście poczuli głód. Zatem zawieziono ich na obiad do Ananczenki: tam kawior był czarny i ucha z łososia, i pieczone jarząbki z mizerią, i świeże gruszki, i winogrona, i wino, i tort orzechowy z kawą, i likier Amaretto.

Po obiedzie spotkanie z sołowieckimi deputowanymi. Mówił Wiaczesław Iwanowicz, przede wszystkim, o *samouprawlienii* (samorządzie terytorialnym). Kiedyś na Wyspach był *sielsowiet* i trzech osób do zarządzania starczało, a dziś w Administracji dwa tuziny czynowników siedzi i ciągle nowych przybywa. Na Sołowkach ani sądu nie ma, ani notariusza, ani urzędu podatkowego. I, co najgorsze, nie ma też własnego budżetu. A bez swoich pieniędzy *samouprawlienije* nie ma sensu! Samorząd terytorialny tylko wtedy ma rację bytu, gdy potrafi karmić swoich czynowników, w przeciwnym razie staje się fikcją, obciążającą budżet federalny. Już dzisiaj można powiedzieć, iż eksperyment z samorządnością w Rosji był przedwczesny. Dopóki ludzie nie nauczą się samodzielnie zarabiać pieniędzy, nie zaś oczekiwać na *połuczku* (od słowa *poluczat'*: dostawać), dopóty nie będą mogli sami rządzić (co obecnie się sprowadza do dzielenia kwot, przysyłanych przez państwo). Spotkanie z deputowanymi przebiegało, o dziwo, spokojnie, być może perspektywa rychłej likwidacji *samouprawlienija* na Sołowkach wpłynęła kojąco na naszych rajców. Zaś Pinagorskij szepnął półgębkiem, że nareszcie będzie miał spokój, bo mu ta deputacja krwi napsuła. Tu Browin wspomniał, że w klubie lud się zgromadził i czeka na gości, już ponad godzinę. Niestety autobus nawalił i przyszło iść pieszo, po błocie.

W klubie narodu pełno, mimo ziąbu. Jedni przyszli z ciekawości, drudzy z nudów. Babki by żale wylać, przed władzą, weterani by się pokazać, z medalami, inteligenci by błysnąć słowem, publicznie, reszta by popatrzeć, jak w kinie. W sali wystrój, niczym z lat 60-tych: kurtyna, szkarłaty, kurz... Na podium, za stołem, Kaliamin, Pietrow, i nasz Browin, w środku. Zaczął Kaliamin, bez ceregieli, iż najwyższy czas postawić pytanie: cóż to takiego Sołowki? Niektórzy nalegają, aby Wyspy oddać monachom, inni mówią, by park narodowy zrobić, a jeszcze inni, że biznes turystyczny rozwiązałby wszystkie problemy. Jednocześnie nikt nie pracuje i każdy czeka. Drogi w śniegu, błoto i brud wokoło, ciepło z nieszczelnych rur bucha w powietrze, zamiast ogrzewać domy, tony wody uchodzą w morze, kanalizacja cieknie, śmietniki cuchną, przepełnione, zaś robotników komunalnych na Sołowkach... siedemdziesięciu i trzech! I wszyscy się skarżą, że im nie płacą, ale za co im płacić jak nic nie robią? Tak dłużej być nie może, trzeba przerwać to błędne koło! Zatem on, Wieczesław Iwanowicz, uważa, reasumując swój krótki pobyt na Wyspach Sołowieckich, że należy: po pierwsze, zlikwidować samorząd terytorialny, po drugie, wywieźć stąd ludzi, zwłaszcza niepotrzebnych, bo utrzymanie ich na Sołowkach jest trzy razy droższe, niż na stałym lądzie, i po trzecie, pozostałym dać pozwolenie na odstrzał przelotnych ptaków, reniferów na Anzerze i wyrąb lasu na opał, bowiem ochrona przyrody nie ma sensu tam, gdzie ludzie z głodu umierają. Tutaj Kalianin zamilkł, dając czas, by rzeczone dotarło do narodu. Oj, naród się wzburzył... Babka Zina zaczęła krzyczeć, że żyje tu z 37-go, tu i męża pochowała, i sama chce być pogrzebana, i nikt jej z Wysp żywcem nie wywiezie! Kożewin wypalił, iż dobrowolnie stąd wyjadą jeno tacy, co i na lądzie dadzą sobie radę, a bomże i alkasze zostaną, bo komu oni tam potrzebni? Nadja Czerenkowa, miejscowy ekolog, niemal się popłakała, bo jak można pozwalać na odstrzał renów, czy wyrąb lasu na Sołowkach, toż unikalny landszaft przyrody, wiekami tworzony, w ciągu roku zginie. Zoja Burcewa zapytała, byli li szanowni goście w naszych sklepach? Okazało się, że nie byli. – Tak – wrzasnęła – wszędy pobywali, a najważniejszego nie zobaczyli! Produkty u nas trzykroć droższe, niż gdzie indziej, i przeterminowane... –

Lepiej do łagru wrócić – syknął z tyłu Rykusow – tam choć balandę dawali... I tylko samorządu nikt nie pożałował, na odwrót, wszyscy na deputowanych psioczyli, choć sami ich nie tak dawno wybierali byli. Na zakończenie Oleg Władymirowicz obiecał zrobić, co się da.

Pod wieczór goście odlecieli. Na płocie aeroportu, podarty wiatrem, zwisał plakat, którego rano nie zauważyłem. Ktoś od ręki, nieudolnie, nabazgrał:

Jesli Solowki eto żemczużina Siewiera,
to pocziemu my okazalis' w ż...?

●

Wiera Aleksiejewna Zaszuchina, jasnowidząca starucha spod Archangielska, słynna na Północy z wróżb i cudownych wyleczeń, przepowiedziała Wyspom Sołowieckim zagładę: „Widziałam wybuch na Sołowkach, niczym straszne trzęsienie ziemi i morskie dno się zapadło i morze wyspy zatopiło i wielki wał wody na Archangielsk powalił, i runął na miasto, i ofiar było bez liku, i płacz bez końca". Przepowiednię opublikowano w gazecie *Dacznoj* (15/1997). Na pytanie dziennikarza, czy można uniknąć katastrofy, Zaszuchina odpowiada tak: „Bezprawie i nikczemność dzisiaj panują, bo ludzie o Bogu zapomnieli. A kto i wspomina, to na pokaz, bo teraz taka moda. Należy naszą wiarę w Zbawiciela mierzyć dobrymi uczynkami, by Pan nasz nie tylko w cerkwi, ale i w sercu u każdego zamieszkał. Nie zapominajcie o Panu, bo wszystko jest w Jego mocy". Gazeta z przepowiednią dotarła na Sołowki i wiele zamętu narobiła. Babki o niczym innym nie gadają, ktoś już nawet datę kataklizmu podszepnął i powiadają, że w 2006 r. morze nas pochłonie...

Mariusz WILK

Złotówka

W Polsce Ludowej robotnik za swą miesięczną pensję mógł nabyć – na czarnym rynku – raptem kilkadziesiąt dolarów, za to zachodni turysta ze skromnym nawet budżetem stawał się na okres swego urlopu człowiekiem zamożnym, złotówka bowiem była tania. Innymi słowy, dolar był drogi i pełnił ważne funkcje wyrównawcze w niewydolnym systemie gospodarki planowej.

W handlu zagranicznym zapewniał zbyt niektórych polskich towarów pomimo ich niskiej jakości, a zwłaszcza ułatwiał tani eksport surowców. Na rynku wewnętrznym sprzyjał odprowadzaniu z obiegu nadmiaru złotówek, ponieważ wysoki przelicznik dolarowych cen Pewexu usprawiedliwiał drożyznę krajowych towarów przemysłowych, takich jak samochody i telewizory. Pomagając w ten sposób wchłonąć „nawisy złotówkowe" drogi dolar łagodził ujemne strony systemu dopłat do towarów podstawowych, których taniość pozostawiała nadmierne środki w rękach zamożniejszej części społeczeństwa. Należał on zatem do środków finansowania ukrytego bezrobocia w państwie, gdzie urząd udawał, że płaci, a bezrobotni na etacie – że pracują.

W istocie drogi dolar stanowił jeden z filarów komunistycznej umowy społecznej, która zapewniała społeczeństwu minimum bezpieczeństwa w zamian za rezygnację z praw politycznych i zgodę na przywileje nomenklatury. Ułatwiał on również kontrolę elit i ludzi przedsiębiorczych, ubiegających się o paszport.

Niepostrzeżenie dla władców PRL dochody walutowe obróciły się przeciwko nim samym, ponieważ z latami droga

waluta zaczęła dofinansowywać opozycję i Kościół, korzystające z zachodnich przekazów pieniężnych. Przede wszystkim zaś nierealna moneta fatalnie pokierowała losami gospodarki. Po pierwsze pogłębiła jej izolację, przyczyniając się do technologicznej i organizacyjnej niezaradności w przedsiębiorstwach. Po drugie wzmocniła suwerenną rolę czarnego rynku, który windował wartość dolara mechanizmem podaży i pobytu, zawężonym do sfery trudno dostępnych towarów luksusowych. Mechanizm ten narzucił swe prawa całemu rynkowi w chwili narodzin III Rzeczpospolitej, utrzymując go odtąd w uścisku odziedziczonych napięć monetarnych.

Wywołanie i represja inflacji

Plany restrukturyzacji gospodarki rodziły się w okresie dużego zaufania Polaków do kapitałowej dyspozycyjności Zachodu, wspieranego złudzeniem wyjątkowości polskich przemian i pozorami nieograniczonych możliwości zachodniego rynku finansowego. Zbieżność obu tych czynników w latach osiemdziesiątych była tak uderzająca, że orientowanie się na programy zachodnie uchodzić musiało za naturalne, gwałtowne uwolnienie cen – rozsądne dla zachęcenia zachodnich inwestycji, a ustalenie wysokiego kursu dolara – korzystne w perspektywie oczekiwanej manny walutowej. Przyspieszenie historii rychło odebrało jednak Polsce uprzywilejowaną pozycję i rachuby na załatwiający wszystko plan Marshalla okazały się chybione. Tymczasem uwolnienie cen na rynku pełnym monopoli uwolniło również hiperinflację, ponieważ uderzone upadkiem wschodnich rynków zbytu i zanikiem dopłat z budżetu, firmy ograniczały wytwarzanie, podnosząc zarazem ceny jednostkowe. W tych warunkach drogi dolar wzmocnił wzrost kosztów utrzymania, windując w górę ceny artykułów importowanych.

Degrengolada złotówki stała się zmorą pierwszych władz RP, nakłaniając je do równie uporczywej, co dwuznacznej obrony budżetu i złotówki, którym stawiano wymagania ścisłej kontroli w dziedzinie płac, ochrony socjalnej i inwestycji, otwierając zarazem szerokie drogi żywiołowego wzrostu cen, triumfu spekulacji i gigantycznych afer. Pierwsze lata

nowego ustroju, wzmacniając lawinę inflacyjną, zapoczątkowaną jeszcze przez rząd Rakowskiego, upłynęły zarazem pod znakiem programu recesyjnego, zmierzającego do stabilizacji złotówki przez ograniczanie ilości pieniądza na rynku. Służyły temu bariery finansowe – pomiędzy którymi najwięcej mówiło się o popiwku i o kontroli budżetu – oraz środki monetarne, jakimi były drogi kredyt i sztuczne zawyżanie spadającej złotówki przez sztywny parytet walutowy.

Dwa oblicza popiwka

Wymyślony za Polski Ludowej popiwek został utrzymany przez kilka kolejnych rządów III Rzeczpospolitej zarówno z powodów obliczeniowych, jak i psychologicznych, pieniądz bowiem, którego jest mało, staje się pieniądzem poszukiwanym, więc wartościowym. W skali makroekonomicznej można tu mówić o krzepkim środku hamującym monetarny krwotok bez względu na okoliczności; kilka lat później prezydent Jelcyn zdławi rosyjską inflację polityką radykalnego popiwka, nie płacąc w ogóle zarobków w licznych działach gospodarki państwowej.

Popiwek był przykładem dobrej nowiny finansowej, ale złej nowiny gospodarczej, co oczywiście cechuje wszystkie środki kontroli. W całym ich wachlarzu popiwek wyróżniał się jednak różnorodnością ujemnych stron ukazu zastosowanego w charakterze dźwigni rynkowej, który obniżył zaangażowanie pracowników i kadry w przemianach, jakie miał ułatwić. Blokada zarobkowa rychło okazała się nieszczelna, ponieważ związki zawodowe wielkich zakładów potrafiły zdobywać ponadnormatywne podwyżki płac. W dziedzinie zarządzania następowało przeniesienie inwencji menadżerskiej z pola gospodarczego w sferę zabiegów administracyjnych, do czego nakłaniała sama zasada popiwkowej kary, nakładanej w przypadku przekroczenia limitów ogólnej puli płac. Zamiast bowiem szukać zysków i oszczędności w organizacji pracy i poprawie oferty wytwórczej, co wiąże się ze zmniejszaniem zatrudnienia i różnicowaniem płac według kryteriów skuteczności, kierownictwa zakładów dbały jedynie o to, by średni zarobek nie narażał zakładu na karę. Ponadto popiwek

wzmacniał impuls prywatyzacyjny za wszelką cenę, ponieważ kadra była zainteresowana szybkim opuszczeniem strefy kontrolowanych zarobków – a efektem pośpiechu prywatyzacyjnego na niskokapitałowym rynku jest przede wszystkim spekulacja, szczególnie owocna w przypadkach gdy zakład nie został ani przygotowany do sprzedaży, ani należycie wyceniony.

Wreszcie, utrzymując niski poziom zarobków dla szeregowych pracowników, popiwek wzmocnił zjawisko „kominów" płacowych, które wystrzeliły w górę nadzwyczajnymi zarobkami kadry w sektorze prywatnym, sprzyjając ustaleniu wysokiego pułapu cen dla wielu towarów, zwłaszcza importowanych.

Wpływy eksportowe, finansujące ten import, to następstwo niskich kosztów robocizny, ograniczanych popiwkiem w sektorze państwowym, a w firmach prywatnych spychanych w dół przez popiwkowe widmo, nawet jeśli płace były tu wyższe. Opłacając importowe towary, sprowadzane dla ludzi zamożnych, popiwek utrudnił konkurencję w dziedzinie jakości i cen, ponieważ przy zarobkach kadry, nierzadko wyższych niż na Zachodzie, można było w Polsce sprzedać byle co z nadzwyczajnym zyskiem.

Dylemat budżetowy

Polski spór budżetowy rozwija się pod dużym wpływem kryteriów zjednoczeniowych Unii Europejskiej. Kryteria te – dla deficytu 3% PKB, a 60% dla długu publicznego – określone zostały według specyfiki zachodniego rynku, gdzie celem zadłużenia nie jest przekształcenie całej gospodarki, lecz utrzymanie lub poprawa osiągniętych standardów. Inna jest sytuacja krajów zrujnowanych, gdzie rozsądne zadłużenie posłużyć powinno przemianom na kolosalną skalę.

Wskazuje to na niemożliwość przyjęcia takich samych kryteriów porządku budżetowego, nie tylko ze względu na stan gospodarki, lecz także w perspektywie połączenia się z Unią Europejską. Budżetowa cnota bowiem utrudnia przeprowadzenie koniecznych reform, których opóźnienie oddala rzeczywiste zjednoczenie, zwłaszcza gdy chodzi o rynek pracy, politykę rolną i wspólną monetę.

Pragnienie szybkiego zjednoczenia z Unią Europejską, o silnym podłożu psychologicznej reakcji narodu wyzwolonego, to jedynie uboczny powód rygoru budżetowego. Główną rolę odgrywa tu mechanizm ściśle finansowy: wysoki deficyt, nawet finansujący rozwój gospodarki, na dłuższą metę stanowi przeszkodę dla jej stabilności, ponieważ zwiększone wydatki państwa osłabiają monetę, prowadząc do ucieczki kapitałów i spekulacyjnych ataków rynku monetarnego. Dławią one także spożycie wskutek presji podatkowej, rosnącej wraz z kosztami obsługi zadłużenia.

Sprawa zatem polega na skutecznym przekształcaniu gospodarki bez popadania w niefrasobliwość finansową. Jest to jednak imperatyw innego rzędu, niż bezwarunkowa kontrola budżetu według wskazań z Maastricht.

Nie chodzi bowiem o to, czy państwo wydaje dużo, czy mało, lecz czy wydaje dobrze, czy źle. Dobrze wydane pieniądze państwowe sprzyjają rozwojowi, tak samo jak trafne inwestycje prywatne. Redukując swe wydatki produkcyjne, państwo zmniejsza rynkową ofertę, czym zubaża gospodarkę. Realne obciążenia budżetowe nie dotyczą konkretnej chwili, lecz są ponadczasowe: pożyczka służy rozłożeniu w czasie koniunkturalnego szoku i antycypacji przyszłych dochodów. Problemem polskich finansów nie jest wielkość długów wewnętrznych, lecz brak ich rentowności, to znaczy mało wartościowe zaplecze materialne gospodarki.

W Polsce 1997 roku najlepiej inwestować w szkolenia gospodarcze, usługi telekomunikacyjne, handel komputerowy, spekulację nieruchomościami, usługi finansowe dla przedsiębiorstw oraz luksusowy import, a w dziedzinie produkcji – w kosmetyki i żywność dietetyczną, innymi słowy w towary o wysokiej wartości dodanej i wąskim kręgu odbiorców. Najmniej zysku przynosi sfera potrzeb masowych, takich jak budownictwo mieszkaniowe, standardowa żywność, wytwarzanie elementów elektronicznych czy odzieży. Uwagę inwestora przyciągnie rynek natychmiast wypłacalnego zamożnego klienta, nie zaś potencjał szerokich warstw społecznych, tym bardziej, że wyjątkową wypłacalność pierwszych zapewniają niskie zarobki reszty.

Sytuacja ta odzwierciedla obyczaje całej sfery zarządzania w kraju, zarówno władz państwowych – które na miejsce polityki gospodarczej uprawiają politykę przywilejów i szybkiego zysku – jak i przedsiębiorstw, gdzie najbardziej poszukiwanymi specjalistami są dyrektorzy finansowi i główni księgowi. Na giełdzie warszawskiej furorę robią akcje, których nadzwyczajna zwyżka nie znajduje odzwierciedlenia w dywidendach. Jest to następstwem zaniżenia wyjściowych cen akcji dla celów spekulacyjnych oraz ukrycia zysków firmy z powodów podatkowych, ze szkodą dla technicznej, prawnej i administracyjnej strony zarządzania. Wszystko to rysuje krótką perspektywę polskiego rynku, gdzie ważna jest szybka i wysoka rentowność raczej, niż trwanie i strategia rozwojowa.

Na rynku obligacji oznacza to, że najbardziej poszukiwanymi walorami są bony krótkoterminowe, co nie tylko utrudnia strategię rozwoju gospodarczego, lecz rysuje groźbę finansowej destabilizacji kraju. Zainteresowanie ofertami o odległych terminach płatności mogłoby ulec wzmocnieniu w przypadku wypracowania długofalowych planów gospodarczych rządu, ujawniających priorytety inwestycyjne i technologiczne Polski przyszłego wieku. Jak zwykle chodzi więc o rozsądne proporcje pomiędzy wymową doraźnych cyfr i polityczną wolą.

Same cyfry nie wystarczą bowiem dla wyjaśnienia sytuacji gospodarki, choćby była to dziedzina długów publicznych. Nawet jeśli w roku 1996, przy deficycie poniżej 3%, dług publiczny wynosił 54% produktu wewnętrznego, czyli mniej niż w większości krajów rozwiniętych, to i tak Polska należy do ciężko poszkodowanych bankrutów, zważywszy na stan gospodarki i środowiska.

Dla zapewnienia środków na reformy strukturalne władze muszą sięgać po nadzwyczajne źródła kapitału, w tym prywatyzacje, których potencjał ocenia się na dziesiątki miliardów dolarów. Należy jednak wystrzegać się prywatyzacyjnego mirażu; z pewnością chodzi tu o solidny postaw płótna do podziału, ale nie podstawę budżetu. Trwałe zwiększenie jego wpływów zależy od powodzenia firm założonych na nowo, które mają decydujący udział w tworzeniu dochodu narodowego. Potrzebują one nowoczesnej infrastruktury, dobrze wykształconych kadr i polityki przychylnej przedsięwzięciom, co znowu odwołuje nas do wielkich zadań budżetu.

Takim zadaniem jest również obsługa długów zagra-

nicznych, które w latach 1994-96 sięgały 60 % całego długu publicznego. Ministerstwo Finansów przewiduje, że Polska wydawać będzie rocznie dwa do trzech miliardów dolarów na jego obsługę, z czego połowę na spłatę kapitału. Tymczasem pogłębiający się deficyt handlu zagranicznego zmusi do finansowania obsługi długu zagranicznego oszczędnościami w dziedzinie innych potrzeb budżetowych. W tej sytuacji należy rozważyć uzależnienie spłat od uzyskania paktów handlowych z wierzycielami.

Parytet dolara

Początkowy parytet dolara ustalony został w stosunku do kursu czarnorynkowego, który w okresie Okrągłego Stołu sięgał dziewięciu tysięcy złotych. Wszelako realizm czarnego rynku dotyczył był strefy towarów luksusowych: za dolary kupowano zagraniczne wyjazdy, konsumpcyjną elektronikę czy kosmetyki Chanela. W pierwszych latach reformy Balcerowicza, podobnie jak za czasów PRL, dolar był silnie przewartościowany w stosunku do złotówki w dziedzinie towarów i usług podstawowych. Przypisano mu jednak zasadniczo inną rolę: komunistom drogi dolar był potrzebny dla celów izolacyjnych, natomiast władzom wolnej Polski posłużyć miał jako wehikuł transferowy zagranicznego kapitału i technologii, ograniczanych korzystną wymianą monetarną. W konsekwencji inny był również zasięg inflacyjnego impulsu drogiej waluty: stosowany do towarów luksusowych w czasach PRL, objął swym działaniem całą podaż towarową z chwilą wprowadzenia wolnego handlu walutami w suwerennej Rzeczypospolitej.

Jeśli bowiem rynek oferuje papierosy krajowe i zagraniczne o stosunku cen jeden do dziesięciu, to wynikiem będzie podniesienie cen krajowych bez względu na ich jakość. Gdyby parytet złotówki ustalono na wyższym poziomie, zbliżając jej wartość wymienną do siły nabywczej w odniesieniu do towarów podstawowych, wówczas impuls inflacyjny płynący ze strony waluty byłby słabszy – lecz zarazem mniejsza byłaby parytetowa zachęta dla kapitału zagranicznego. Pragnienie przyciągnięcia go za wszelką cenę mogło być

przyczyną, dla której resort finansów, śladem swych amerykańskich doradców, nie miał żadnych wątpliwości, że wartość towaru ustala rynek, nawet jeśli to czarny rynek w środowisku postkomunistycznych monopoli, a towarami są dolar i niewymienialna na zewnątrz złotówka.

Stopniowo władze Rzeczypospolitej odkrywały, że źródłem dochodów państwa będzie nie nowy plan Marshalla, lecz podatki i prywatyzacje. Z tego punktu widzenia niskowartościowa złotówka była niekorzystna i dla jej wzmocnienia tanim kosztem przyjęto zasadę utrzymywania sztywnego kursu wymiany pomimo szalejącej inflacji. Ryzyko wykupienia taniejącej waluty przez ludność było niewielkie, ponieważ przy licznych ograniczeniach ruchu pieniądza ludziom brakowało złotówek. Dodatkowo mogła tu wchodzić w grę socjotechnika „terapii szokowej", stałość kursu bowiem zwiększała zaufanie do tracącej wartość polskiej monety.

Blisko siedemnastokrotnemu – według *Rocznika Statystycznego* – spadkowi wartości złotówki w okresie 1.01.90-31.12.92 odpowiadała podwyżka dolara o dwie trzecie, z 9.500 złotych na 15.767 złotych. Przy niskozmiennym międzynarodowym kursie dolara oznacza to, że w stosunkach realnych wewnętrzny dolar potaniał dziesięciokrotnie, co oznaczało promocję importu.

Na tym etapie planu Balcerowicza można było doszukać się w nim założeń liberalnych, zmierzających do uruchomienia praw rynkowych w kraju przez sprzęgnięcie tanim importem dwu rozłączonych przestrzeni, to jest zagranicznej podaży i polskiego wytwarzania. Powinno to było wymusić na krajowych producentach oszczędność energii, materiałów i pracy, dla obniżki kosztów własnych i tym samym stawienia czoła konkurencji importu. Z drugiej strony tańszy import ułatwić miał unowocześnienie infrastruktury gospodarczej. Z pewnością podwyższył on zyski w imporcie artykułów spożywczych oraz wzmocnił tendencję do zaopatrywania się za granicą w sprzęt inwestycyjny.

Sztuczne dowartościowanie złotówki odbyło się za pomocą stopy procentowej, wielokrotnie wyższej dla złotówki, niż dla dolara. W tych warunkach utrzymanie stałego, a potem niskozmiennego parytetu nadało złotówce charakter atrakcyjnego środka lokaty: należało po prostu złożyć ją do

banku, a po zwiększeniu wkładu o wysoki procent – wyciągnąć złotówki i zakupić dolary. Było to zaproszenie do pozbawionej ryzyka spekulacji, gdzie kolosalne zyski awanturników finansowych importujących dolary opłacał budżet państwa. W uprzywilejowanej sytuacji znaleźli się tu ludzie zbliżeni do Ministerstwa Finansów, posiadający informacje o monetarnych intencjach resortu.

Kredyt

Wysiłek antyinflacyjny programu Balcerowicza i jego następców wykorzystywał represję monetarną i finansową jako środek na inflacyjny impuls gwałtownego otwarcia gospodarki. Miało to swoje dobre i złe strony; wprawdzie drogi kredyt hamował inwestycje produkcyjne, niskie spożycie i taniejący import nie zachęcały do wytwarzania, a budżet wykrawano przede wszystkim pod kątem deficytowych ograniczeń Międzynarodowego Funduszu Walutowego, ale inflacja spadła z 600 % w roku 1990 na 33 % w 1994. Innymi słowy, program Balcerowicza poradził sobie z inflacją, którą sam wywołał.

Dużą rolę przypisywano tu drogiemu kredytowi, który tłumił obrót pieniądza i począwszy od połowy lat dziewięćdziesiątych podniecał spór „wzrost czy inflacja", w którym minister finansów zalecał obniżkę stopy procentowej dla ożywienia rozwoju, a dyrektorka Narodowego Banku Polskiego broniła polityki drogiego kredytu dla zdławienia inflacji. W polityce tej bank bywał dystansowany przez rynek, czego znakiem była obniżka stopy procentowej z września 1995.

Została ona przeprowadzona przez NBP w ślad za spadkiem handlowych kosztów kredytu i zmniejszonym zainteresowaniem dla bonów skarbowych, co nastąpiło po okresie napływu spekulacyjnych kapitałów, zwabionych przewartościowanym oprocentowaniem złotówki. Polski bank centralny, wyćwiczony w tłumieniu hyperinflacyjnej lawiny, zidentyfikował się bez reszty z represyjną stroną swej funkcji, nie wierząc w jej możliwości stymulacyjne. Oznacza to utrzymywanie przez bank drogiego kredytu nawet wówczas, gdy wysoka rentowność lokat finansowych wyraźnie upośledza inwestycje.

NBP bronił się przed obniżką stopy argumentem tłumienia nadmiernej podaży pieniądza, wywołanej koniecznością wykupu marek z turystyki przygranicznej. Tymczasem właśnie obfitość złotówki nakłoniła banki handlowe do obniżki ceny kredytu, co zmusiło bank centralny do pójścia tym samym śladem.

Byłoby oczywiście grubym błędem rysowanie prostej zależności pomiędzy wzrostem ilości pieniądza i spadkiem stopy procentowej. Mechanizm taki zadziałał we wrześniu 95 roku z powodów koniunkturalnych, które w warunkach zaniżenia parytetowej wartości złotówki w stosunku do jej wartości nabywczej pozwoliły bankom traktować ją poważniej, niż sugerował alarm NBP. Wszelako w wydarzeniach tych dostrzec można ostrzeżenie pod adresem konserwatyzmu bankowego utrzymywanego przez NBP pomimo spadku inflacji.

Głos Narodowego Banku Polskiego tradycyjnie już służy retoryce drogiego kredytu, niepokojąc się każdym przejawem rozwoju – najpierw silnym wzrostem produkcji, potem turystycznego eksportu w zakupach przygranicznych, a wreszcie wewnętrznego spożycia na kredyt. Po silnym spadku inflacji jednak wysoka stopa procentowa tłumaczy się nie tylko inspiracją monetarną, lecz także finansową; do antyinflacyjnego rygoru polski bank centralny dołączył troskę o przyciągnięcie kapitału dużym zyskiem bankowym.

Polski pieniądz należy do marginalnych walorów ogólnego rynku, którego aktorzy angażują się w operacje złotówkowe tylko w celu zróżnicowania portfela tytułów. Specyfiką tego zaangażowania jest duże ryzyko, wynikające z przestarzałej infrastruktury, niskiej wydajności pracy, niejasnych mechanizmów prawnych i administracyjnych, i wąskiego kręgu wypłacalnych klientów. By w tych warunkach bezzwłocznie przyciągnąć kapitał, należy mu zaoferować nadzwyczajny zysk, która to taktyka nie obciąża budżetu państwa, lecz obciąża przyszłość kraju.

Gdyby jednak, przeciwnie, postawić na trwałość zaangażowania, wówczas konieczne są wielkie inwestycje, którym budżet nie podoła bez zadłużenia. Takiej polityki żadne władze nie brały pod uwagę nawet w rozważaniach. Broniąc zasady wysokiej rentowności operacji finansowych Narodowy Bank Polski, pozornie w stałej konfrontacji z rządem wokół

wspomnianej alternatywy „wzrost, czy inflacja", w gruncie rzeczy idzie śladem polityki wszystkich rządów RP. Inspirowały one ten wzrost przede wszystkim poprzez tworzenie warunków szybkiego i wysokiego zysku dla kapitału inwestycyjnego raczej niż przez perspektywiczną politykę gospodarczą.

Jaka jest ta złotówka

Parytet złotówki wpływa na dużą partię cen krajowych. Rolnik, który musi sprzedać cztery litry mleka by nabyć litr oleju napędowego, zobaczy swój interes w podniesieniu wartości złotówki, natomiast eksporterzy w obliczu trudności ze zbytem będą głosić, że złotówka jest za droga. W ostatnim okresie nasilają się więc spory pomiędzy zwolennikami dewaluacji, jako lekarstwa na deficyt handlu zagranicznego, a zwolennikami rewaluacji, która ze swej strony ułatwia import i obniża realny ciężar długu zagranicznego. Jakie byłyby perspektywy którejś z tych operacji?

Pieniądz niedowartościowany sprzyja taniemu eksportowi i tym samym tłumi wynalazczość i podnoszenie jakości towarów i usług. O ile w latach 1991-92 można było rozsądnie rozważać dewaluację złotówki dla odwrócenia koniunktury importowej, to nowe czynniki połowy lat dziewięćdziesiątych – takie jak wzrost wydajności pracy wyższy niż wzrost zarobków oraz lawina taniej i dobrej jakościowo podaży z Dalekiego Wschodu – zmniejszyły atrakcyjność środka monetarnego, jakim jest konkurencyjna dewaluacja. Problemem polskich towarów nie jest cena, lecz kiepska oferta, a realną szansą polskiego eksportu nie tyle podniesienie obrotów z rozwiniętym rynkiem co rozwój handlu regionalnego.

W latach 1993-96 badania GUS-u wykazywały, że wartość produktu narodowego brutto na głowę mieszkańca liczonego według siły nabywczej była dwa do trzech razy wyższa, niż według parytetu złotówki, w zgodzie z intuicyjnymi ocenami turystów zagranicznych, według których ceny podstawowych towarów ulokować można było na poziomie pomiędzy połową i jedną trzecią cen zachodnich. Wskazywało to na potencjał rewaluacyjny polskiego pieniądza. W gospodarce, gdzie import wywiera silny wpływ na ceny,

rewaluacja mogłaby ograniczyć ich wzrost, a ponadto podniosłaby walutową wartość pracy – rzecz konieczna w perspektywie zjednoczenia z rynkiem zachodnim, gdzie płace są kilkakrotnie wyższe.

Wszelako również i tutaj łatwo dostrzec, że prosty monetaryzm nie może już stanowić uprzywilejowanego środka interwencji, co zilustrujemy przykładem naszego rolnika. Wprawdzie w wyniku rewaluacji mniej by go kosztował olej napędowy, lecz mógłby nań nie zarobić, ponieważ cena jego mleka przewyższyłaby cenę mleka importowanego, bardziej higienicznego, lepiej opakowanego i oferowanego w większym asortymencie. Rewaluacja najdotkliwiej uderzyłaby polski eksport, dopóki jego trzon stanowią towary o niskiej wartości dodanej. Chodzi więc o podniesienie jakości i zróżnicowanie oferty, z wielką korzyścią dla eksportu i dla zarobków, a w konsekwencji – dla spożycia i oszczędności. Są to warunki wzrostu wytwarzania, które należy umieścić w centrum uwagi gospodarczej, gdzie jak dotąd na największe fawory zasługują handel, spekulacja i prywatyzacja.

Rynkowa podaż bowiem w coraz większym stopniu przejmować powinna od administracji rolę korekcyjną: konkurencja cen walczy wówczas z inflacją, a konkurencja jakości winduje wartość pracy, przyzwalając na podnoszenie zarobków.

Polska jak stragan z warzywami

Rynkowych perypetii pieniądza nie można przewidzieć, natomiast można je sprowokować. Na tym opiera się cała gra zawodowców rynku, zarówno spekulantów zarabiających na jego niestabilności, jak i strażników narodowych monet, którzy na ogół uruchamiają impulsy mające przeciwdziałać niepożądanym zmianom wartości monety – choć w podniosłych chwilach w życiu narodu, polityka może ich wezwać do niekonwencjonalnych zadań.

Jakkolwiek oceniać monetarno-finansową perspektywę pierwszego dziesięciolecia polskich reform, to można już sobie nie łamać głowy nad perspektywą następnych, odkąd polityka pozbawiła się suwerenności budżetowej konstytucyjnym zaka-

zem pogłębiania zadłużenia poniżej 60% produktu krajowego.

Jeśli nasi politycy szukali zjednoczeniowej zasługi, to mogą się rozczarować; niski dług publiczny nie zrobi żadnego wrażenia w europejskich kancelariach, gdzie w ogóle nie ma mowy o polskiej kandydaturze do unii monetarnej. Na ogół panuje tam przekonanie, że nawet jeśli dużo zrobiono w Polsce, by przedsiębiorczy i nie bojący się ryzyka kapitał został nagrodzony wysokim zyskiem, to gospodarka pozostaje całkowicie niedostosowana do rynku europejskiego, a niski deficyt budżetu, podobnie jak słabe wykorzystywanie przyznanych kredytów, raczej potwierdza jak niewiele przywiązuje się wagi do tego problemu.

Wszelako polski problem ustawodawstwa budżetowego przerasta rozmiarem spór o wysokość długu publicznego. Spór taki jest korzystny dla zaradności gospodarczej, jeśli jest utrzymany w ramach zdrowego rozsądku; w demokracji dyskusja o cyfrach jest zapleczem polityki i zaczynem priorytetów, ponieważ wykazuje wieloznaczną naturę liczb i ujawnia miejsce dla politycznej woli. Polska demokracja jest chora, ponieważ mało dyskutuje się o cyfrach i tendencjach, a dużo o osobach i o partiach. Łatwo wówczas pobrać cyfry byle skąd, przypisać im znaczenie byle jakie i umieścić byle gdzie; na przykład w konstytucji, gdzie cykliczne zadanie polityki, jakim jest debata budżetowa, skamienieje w postaci składnika ustroju państwa. Traci na tym i polityka, pozbawiona jednego ze środków planowania, i ustrój państwa, którego konstytucja kwalifikuje się do zmiany już w momencie uchwalenia. Zauważmy tutaj, *toutes proportions gardées*, że bezwarunkowa doktryna kontroli budżetowej zna tylko jeden precedens, jakim było pełne spłacenie rumuńskiego długu zagranicznego w czasach Ceauşescu, w istocie zrealizowane w drodze zagłodzenia społeczeństwa.

Konstytucyjny zapis budżetowy mówi z grubsza tyle, że można nie tylko przewidzieć los pieniądza i obieg finansów, ale nawet je zadekretować. Nie podzielając tego poglądu zauważmy, że nie sposób stale liczyć na sześcioprocentowy wzrost PKB, który łagodzi ciężar całego długu publicznego; że przy spadku produktu krajowego albo wzroście długu wewnętrznego jedyną obroną przed konstytucyjnym konflik-

tem stanie się... inflacja; że nie można beztrosko rewaluować złotówki, by zmniejszyć wartość długu zagranicznego; że wystarczy podniesienie zachodnich stóp procentowych o parę punktów, by dług zagraniczny przeniósł całe zadłużenie publiczne poza granicę 60%; że ponure i niefunkcjonalne miasta, nasycona i niebezpieczna sieć komunikacyjna, nieszczelna i niewydajna kanalizacja, złomowisko państwowych zakładów pracy, chore środowisko, stan ubezpieczeń i lecznictwa otwartego – to bomby o opóźnionym zapłonie, wobec których należy się liczyć z dramatycznymi napięciami budżetowymi w najbliższej przyszłości. Liczenie na wystarczalność dochodów zwyczajnych państwa w przypadku katastrofy, a nawet tylko końca koniunktury, czy po prostu wobec schedy po PRL dowodzi braku wyobraźni. Gospodarką narodową nie da się zarządzać jak straganem warzywnym.

Za słabe rozpoznanie spraw publicznych w dużym stopniu odpowiedzialny jest konformizm środków przekazu, czego przykład znajdziemy w raporcie *Polityki* z 24 maja br. Jego autorka, uczciwie przytaczając ostrzeżenia senatora Romaszewskiego, że swej strony pogodnie wnioskuje, że „Piekło inflacji mamy już poza sobą i dobrze, że konstytucja stara się nas przed nim na przyszłość zabezpieczyć". Jej redakcyjny kolega przebił stawkę w majowej *Odrze*, „witając z aplauzem rozdział X, zatytułowany 'finanse publiczne'" ponieważ „ten szlaban oznacza, że nie wolno sobie kupować przychylności za pożyczone pieniądze".

Mieszanie konstytucji i kiepskiej buchalterii oznacza spętanie i budżetu, i demokracji w niedorzecznym układzie źle rozumianej poprawności rynkowej. Jeśli kręgi opiniotwórcze w Polsce po blisko 10-ciu latach zajmowania się demokracją i rynkiem nie rozumieją ani jednego, ani drugiego, to trudno mieć nadzieję na rychłe wejście na scenę nowych polityków, lepiej przygotowanych do zawodu niż elity pierwszej dekady.

Robert KACZMAREK

Mój Stanisławów

Różniły się chyba od wszystkich innych miast na świecie, ale wszystkie były w jakiś sposób do siebie podobne. Zwłaszcza te mniejsze miasteczka galicyjskie, położone na wschodnim krańcu Polski. Miały jakiś swoisty, wspólny koloryt, dzięki któremu wystarczyło znać dobrze jedno z nich, aby bezbłędnie orientować się we wszystkich pozostałych: ten sam czworokątny rynek, wymoszczony kocimi łbami, po których – sennie klęskając – przestępowały z nogi na nogę zabiedzone szkapy dorożkarskie; te same kamieniczki, wąskie i ciemne, w których gnieździły się sklepiki, kramy raczej, z suknem i galanterią; tak samo umorusane dzieci, bawiące się na ulicznym bruku; jednakowo bezpańskie psy, wałęsające się po piwnicznych podwórkach i starzy Żydzi w wysłużonych czarnych kapotach. Szli wolno, z założonymi do tyłu rękoma, w kapeluszach, obramowanych lisimi ogonami, albo w czarnych czapeczkach z lśniącej satyny. Czasami przystawali na chwilę, żywo gestykulując, aby – kiedy zbliżało się południe – rozpłynąć się jakby, znikając w okolicznych bramach. Rynek pustoszał wtedy zupełnie, smutny i wymarły, i tylko wróble, zbite w gromadkę sejmikowały na kamiennym bruku.

Raz w tygodniu rynek zrzucał z siebie smutek jak wysłużoną codzienną kapotę; w targowe czwartki z okolicznych wsi ściągały na rynek furmanki, zapełniając go wielobarwnym zgiełkiem: tu klatki pełne kaczek i gęsi, utuczonych, rozgęganych i wrzaskliwych, tam sterty dorodnych warzyw i kosze pachnących smakowicie owoców. Młode Hucułki w

barwnych zapaskach potrząsały wiankami grzybów i cebuli, co niby korale kładły się na obfitych piersiach. Białe płaskanki sera leżały na zielonych liściach łopianu, pachniały poziomki w plecionych łubiankach, dźwięczały o bruk bańki ze śmietaną. Na wzorzystych chustach, wprost na ziemi rozpościerały się drewniane łyżki i wypalane fujarki, jakieś ptaszki, ciosane z drzewa i zdobne paciorkami szkatułki. A między tym ruchliwa ciżba ludzka, gwarna, szumiąca, niespokojna...

Ale już nazajutrz wszystko powracało do codziennego stanu: senni sprzedawcy znów tkwili bezczynnie za swymi kontuarami, apatyczni i znudzeni, a na pustym rynku trwał w bezruchu długi szereg dorożek z rozpiętymi ceratowymi budami. Na umazanym kredą chodniku dzieci bawiły się w „klasy", a od czasu do czasu otwierało się jakieś okno i donośny głos nawoływał: „Szymek, Beniek, do domu!".

Wystarczyło natomiast tylko trochę oddalić się od starego rynku, aby znaleźć się jakby w innym mieście. Tu wąskie uliczki przeobrażały się w szerokie ulice, kamienice rosły w górę, zdobne w rzeźbione balkony, a wystawy sklepowe na parterze zapraszały do wnętrza bogatym asortymentem towarów. Kawiarnie i restauracje, parki i zieleńce, młodzież gimnazjalna w mundurkach – wszystko to tworzyło jakby dwa odrębne światy, niewiele mające ze sobą wspólnego. Ludzie z rynku trafiali tu rzadko i niechętnie, a mieszkańcy tej części miasta nie zachodzili tam prawie nigdy. Ci ze śródmieścia mieli swoje cukiernie, teatr, kina i deptak. Mieli też dwa parki, stadion sportowy i staw, który w zimie zamieniał się w ślizgawkę, rozświetloną girlandami kolorowych żarówek. Ci z rynku mieli za to swoje krzesełka przed domami i poduszki w oknach, o które opierali się, spoglądając wieczorem na ulicę. Mieli też własne boisko na przedmieściu, gdzie w niedzielę rozgrywano spotkania futbolowe i gdzie nikt z obcych nigdy się nie zapuszczał.

Toteż jedyną okazją do zetknięcia się mieszkańców obu dzielnic było targowisko. Raz w tygodniu doktorowa z Lipowej i żona blacharza z Seidelmajerowskiej spotykały się przy tej samej chłopskiej furmance, zgodnie targując cenę śmietany i jajek.

Tak więc obie dzielnice egzystowały obok siebie

równolegle, nie przeszkadzając sobie nawzajem i za wiele o sobie nie wiedząc. Trwało to aż do momentu kiedy mieszkańców obu dzielnic spotkało coś, co zrównało ich całkowicie i na zawsze.

●

Urodziłam się 20 grudnia 1928 roku w Stanisławowie. Rodzice moi mieszkali na skrzyżowaniu dwóch głównych ulic miasta – 3 Maja i Sapieżyńskiej. Kamienica zbudowana w końcu ubiegłego stulecia była budynkiem secesyjnym, bogato zdobionym kamiennymi rzeźbami. Parter zajmowały sklepy: cztery wystawy ze szkłem i porcelaną pana Snihurowicza i cukiernia pana Kramarczyka, reklamująca się ciastkami własnego wypieku „do spożycia na miejscu i na wynos".

Do mieszkania prowadziły dwa wejścia. Główne, frontowe, wykładane niebieską mozaiką miało balustradę, kutą w czarnym metalu i ozdobne gałki mosiężne na rzeźbionej poręczy. Drugie było wąskie, z krętymi schodami kuchennymi od podwórza. Schody prowadziły na ganek, na którym stały źle przykryte kubły do śmieci, wydzielające niemiły odór gnijących obierzyn, i wietrzyły się czerwone pierzyny służących.

W dole, na kocich łbach niewielkiego podwórka rósł karłowaty krzak bzu, a czeladnicy z cukierni pana Kramarczyka kręcili lody. Biała masa w miedzianych kotłach pachniała wanilią i czekoladą, a piegowaci czeladnicy przekomarzali się z dziewczętami na ganku. „Hej, serdeńko!" – wołał jeden z nich do dziobatej Maryni – „nie chcesz panna loda?". – „Isz ty!" – chichotała Marynia, wychylając się przez poręcz – „nie widzieliście, jaki dobry!".

W tym właśnie domu, w ostatnich latach ubiegłego stulecia dziadek mój, Salomon Gelehrter prowadził kancelarię adwokacką. Babcia Salomea, z domu Ehrenpreiss, urodziła mu pięcioro dzieci – czterech synów i moją Mamę Jankę.

Drugi brat Mamy, Gustek, ukończył studia medyczne. Podczas pierwszej wojny światowej odkomenderowany został do szpitala garnizonowego w Grazu, w południowej Styrii. Tam zakochał się w miejscowej pielęgniarce Wali Schutz i po zakończeniu wojny przywiózł ją do Stanisławowa. Wybór

syna nie spotkał się z aprobatą dziadków; Gustek ożenił się z nią mimo wszystko, i zerwawszy z rodziną, z wyjątkiem siostry Janki, przeniósł się do Tłumacza. Tam rozpoczął praktykę lekarską, tam też urodził się ich synek Jurek. Małżeństwo nie było szczęśliwe. Gustek pisywał do siostry długie listy, po których Mama miała zaczerwienione oczy i cierpiała na długotrwałą migrenę. Na początku lat trzydziestych wezwał ją do Lwowa, gdzie zatrzymał się w hotelu. Rozmawiali długo, a potem Gustek wręczył Mamie kopertę, zaadresowaną do Jurka „w dniu jego pełnoletności". Był bardzo zmęczony i w gorączce poprosił Mamę o szklankę wody. Kiedy wyszła z pokoju strzelił sobie w usta.

Najmłodszy brat Mamy, Józek, wyjechał na studia do Wiednia. Spośród wszystkich braci on właśnie był Mamie najbliższy, toteż jego wyjazd odczuła najboleśniej.

Józio był pogodnego usposobienia i nie od tego, aby się zabawić, ale studia ukończył w terminie i z odznaczeniem. W przeddzień powrotu do Stanisławowa zaproponowano mu pracę w dużej firmie eksportowej na Bałkanach. Propozycja była ciekawa, i Józio, poradziwszy się listownie rodziny wyjechał do Rumunii. „To tylko na trzy lata" – zapewniał. Z trzech lat zrobiło się pięć, potem przybyły dalsze. Józio pisał niewiele, ale posyłał swoje zdjęcia z licznych podróży po świecie – z Paryża, Lozanny i Florencji. Mama pisała do niego często, ale odpowiedzi przychodziły nieregularnie. Józio nigdy już do kraju nie powrócił.

W końcu spośród czterech braci Mamy w Stanisławowie pozostał tylko średni, Bronek. Ale, jak to się często zdarza, z tym właśnie bratem, a szczególnie z jego żoną, ciotką Helą, Mama rozumiała się najmniej.

●

Ojciec mój, Oskar Wilder, urodził się 12 maja 1899 roku w Tarnopolu. Był najmłodszym z trojga dzieci Zygmunta i Amalii z domu Günsburg. Siostra Łucja była od niego starsza o jedenaście, a brat Ludwik o dziewięć lat. Babcia Amalia wyszła za mąż z wielkiej miłości, ale wbrew woli swojej rodziny, która uważała to małżeństwo za mezalians. Urodziła się we Wiedniu, jako córka austriackiego lekarza

wojskowego. Matka jej zmarła w połogu; niedługo potem ojciec, skaleczywszy się podczas sekcji zwłok zmarł w wyniku zakażenia krwi w dniu swoich czterdziestych urodzin. Wychowaniem dziewczynki zajęli się dziadkowie. Dziadek był bankierem, który położył pewne zasługi dla austriackiej rodziny panującej, która odwdzięczyła mu się nadaniem tytułu szlacheckiego "de" przed nazwiskiem Günsburg. Amalia dostała staranne wychowanie, uczyła się gry na fortepianie i biegle mówiła po francusku.

Dziadek Zygmunt był jednym z dziesięciorga dzieci arendarza spod Brodów, który własnoręcznie uprawiał niewielki kawałek ziemi, a w wolnych chwilach zajmował się pisaniem podań do władz dla niepiśmiennych chłopów. Codziennie wypijał ćwiartkę wódki do obiadu i zmarł w wieku 105 lat. Prababcia zajmowała się gospodarstwem i wychowywała siedmioro pozostałych przy życiu dzieci. Pradziadek miał pięć sióstr i brata, którzy rozjechali się po świecie. Brat ożenił się z Rusinką i osiadł w Pradze. Dwie siostry wyszły za mąż do Niemiec, a syn jednej z nich był utalentowanym malarzem, zamieszkałym w Paryżu.

Dziadka Zygmunta również ciągnęło w świat. Zaciągnął się więc do wojska austriackiego na umowny termin czternastu lat. Służba podobała mu się. Garnizon jego często zmieniał miejsce postoju, dziadek poznawał nowe miejsca i nowych ludzi. Był ambitny i w ciągu kilku lat wielokrotnie awansował.

Pewnego dnia Amalia wraz z babką siedziały na werandzie i spoglądały na przejeżdżający ulicą pułk kawalerii. Na czele jednego oddziału jechał przystojny *feldfebel*, który – zobaczywszy młodą i ładną dziewczynę – z fantazją wspiął konia, wjechał po schodach na werandę i pokłonił się obu paniom. Niedługo potem odbył się ich ślub.

Wojskowe zamiłowania dziadka odziedziczyli później jego synowie. Ludwik dosłużył się rangi kapitana w wojsku austriackim. Dwudziestoletni Oleś ochotniczo zaciągnął się do powstałych pod wodzą Marszałka Józefa Piłsudskiego Legionów Polskich i jako dowódca plutonu brał udział w 1919 roku w walkach z bolszewikami.

Babcia Amelia dostała pokaźny posag po rodzicach i dziadku. Kiedy garnizon stacjonował w Tarnopolu i kiedy

urodziła się córeczka Łucja, dziadek bezboleśnie przeszedł do cywila. Tam rozpoczęła się jego kariera w urzędniczej służbie państwowej. Kiedy mieli już troje dzieci przenieśli się do Lwowa, a z początkiem lat dwudziestych dziadek był już dyrektorem Monopolu Tytoniowego na Galicję.

Wobec słabego stanu zdrowia Mamy wydawało się, że rodzice nie będą mieli więcej dzieci. Na wieść o urodzeniu się najmłodszej wnuczki, uradowany dziadek przyjechał do Stanisławowa i prosto z dworca udał się do sanatorium dr Kozakowej. Wszedł do Mamy w momencie, kiedy po raz pierwszy pokazano jej noworodka. Pamiętając, że Maniuś był ślicznym chłopczykiem o blond własach i niebieskich oczach Mama spojrzała na czarne i pomarszczone dziecko i wykrzyknęła: „Boże, jaka ona jest brzydka!" Dziadek obruszył się bardzo, i przez kilka miesięcy nie mógł Mamie wybaczyć obrazy, wyrządzonej ukochanej wnuczce.

Niestety, nigdy dziadka nie poznałam.

Po śmierci męża babci Amelii pozostała we Lwowie kamienica przy ulicy Małej 6, obok kościoła św. Antoniego na Łyczakowie. Dom stał przy ślepej ulicy, zakończonej klasztornym murem; za murem spacerowały zakonnice w czarnych habitach, widoczne z okna babcinej sypialni. Kamienica była czynszowa, trzypiętrowa z oficyną i miała wielu lokatorów, którzy z szacunkiem nazywali babcię „panią gospodynią". Zgodnie z testamentem kamienica ta zapisana została w czterech równych częściach żonie, synom i córce.

Ciotka Łucja w młodości była bardzo piękną dziewczyną i miała wielu adoratorów; była jednak niezwykle wybredna. Wreszcie dokonała wyboru, który w rezultacie okazał się najmniej fortunny i wyszła za mąż za młodego prawnika, dr Raula Jampolera. Wujek Raul otworzył kancelarię w Tłumaczu, tym samym, w którym mieszkał wujek Gustek i ciotka Wali. Obie kobiety miały podobne zainteresowania; obie lubiły stroje i towarzystwo, a że nudziły się trochę w prowincjonalnym mieście, więc z czasem bardzo się ze sobą zaprzyjaźniły.

W 1923 roku Ojciec, świeżo upieczony adwokat, przyjechał ze Lwowa do Tłumacza, aby pochwalić się przed siostrą swoim dyplomem. U niej poznał swoją przyszłą żonę – Jankę.

Ojciec zaczął przyjeżdżać do Stanisławowa. Przedstawił się rodzinie Janki i widocznie został zaaprobowany, bo kilka miesięcy później odbył się ich ślub. A że wbrew nadziejom Dziadka Gelehrtera żaden z synów nie obrał sobie kariery prawniczej, po paru latach Ojciec przejął po teściu kancelarię wraz z jej niezbyt liczną klientelą: trochę Rusinów z okolicznych wsi i małomiasteczkową biedotę żydowską.

Mieszkanie nasze mieściło się na pierwszym piętrze, z oknami wychodzącymi na ulicę 3 Maja. Pokoje łączyły się ze sobą w amfiladzie, wysokie, z gipsowymi amorkami na suficie. Amorki były tłuściutkie i w pulchnych rączkach trzymały girlandy kwiatów.

Część mieszkalna składała się z pięciu pokoi, w dalszych dwóch mieściła się kancelaria. W gabinecie stały skórzane fotele, duże rzeźbione biurko i szafa biblioteczna, wypełniona rzędami zielono oprawionych książek. Obok w poczekalni siadywali chłopi w przepoconych kożuchach i palili cuchnące machorką papierosy. Pod oknem, przy maszynie do pisania siedziała panna Pepa, która tak szybko przebierała palcami po klawiaturze, że chłopi spoglądali na nią z podziwem, i kiwając głowami mówili: *Podywysia, jak szwydko pysze!**.

Ojciec chętnie chodził do kawiarni. Czasem przed południem, kiedy w kancelarii nie było klientów, albo kiedy mogła ich załatwić sama panna Pepa, Ojciec zdejmował kapelusz z wieszaka, i zastrzegając się, że jak tylko będzie potrzebny, żeby zaraz po niego posłać – wychodził na kawę. Panna Pepa kiwała wówczas poważnie głową, chociaż wiadomo było, że posyłać nie ma kogo, bo służąca Marynia musi gotować obiad i pilnować mięsa, aby się nie przypaliło. Kiedy założono nam telefon, jeden z pierwszych w Stanisławowie: czarny, z metalową rączką do nakręcania, numer dwieście sześćdziesiąt cztery („Oleś ma już własny telefon w biurze, do przenoszenia na noc do sypialni" – pisała Mama do Józka). Ojciec zwykł był mawiać „więc jak będę potrzebny, to proszę po mnie zadzwonić!". Panna Pepa i teraz kiwała potakująco głową, uśmiechając się tylko leciutko kącikiem ust, wiedziała bowiem równie dobrze jak Ojciec, że w cukierni pana Krowickiego dotąd jeszcze telefonu nie założono.

* Zobacz, jak szybko pisze!

Rok rocznie wyjeżdżałyśmy z Mamą do Jaremcza.

Położone u podnóża Karpat, oddalone trzydzieści kilometrów od Stanisławowa, było jednym z najbardziej malowniczych miejscowości letniskowych Galicji. Kuracjusze zjeżdżali tu z całej Polski, przede wszystkim ze Lwowa i okolic, a nierzadko również z Krakowa, czy nawet Warszawy, chociaż ci ostatni traktowani byli z pewną dozą nieufności, wobec odwiecznej rywalizacji Galicji z Kongresówką. Letnicy przyjeżdżali całymi rodzinami, zatrzymując się przeważnie w tych samych pensjonatach; niektórzy zajeżdżali do „Majestiku", „Splendidu" czy „Heliosu", inni woleli „Czerwony Dwór" lub „Halkę". Jeszcze inni wybierali pomniejsze wille, zapewniające bardziej domowe warunki i bardziej umiarkowane ceny. Do tych ostatnich należała willa „Irena", w której można było wynająć pokoje bez utrzymania.

Przed pierwszą wojną światową tu właśnie stał letni dom dziadków Gelehrterów. Dom był piętrowy, z dużym ogrodem i wielkim zagajnikiem leszczynowym. Budynek spłonął w 1918 roku, na kilka miesięcy przed zakończeniem wojny. Z czasem kamienne fundamenty zarosły trawą. Mama posadziła tam później kilkanaście krzewów różanych, które, rosnąc półkolem, tworzyły barwne rondo, a zapach róż, mocny i słodki, roznosił się po całej okolicy. Z róż tych Mama smażyła cudownie pachnące konfitury, które były doskonałym środkiem na wszelkiego rodzaju przeziębienia.

Po śmierci dziadków bracia Bronek i Józek zrzekli się swojej części majątku, który w całości dostał się Mamie. Mama podzieliła go na trzy parcele. Na jednej zbudowana została willa „Irena". Drugą odkupiła ciotka Łucja i z czasem stanął na niej nowoczesny pensjonat „Helios"; na trzeciej wujek Ludwik postawił willę „Ludwikówkę". Ludwikówka przeznaczona była całkowicie pod wynajem pokoi letnikom. Wujostwo mieszkali w Czortkowie i rzadko pojawiali się w Jaremczu; podczas wakacji przyjeżdżał tu tylko ich syn Zbyszek, pozostający pod opieką dalekiej kuzynki Mani Klahr. Manię nazywano nie wiadomo dlaczego „Mańka Pryszcz", bo cerę miała białą i gładką, jak wszystkie rudowłose kobiety. Kuzynka Janka przeważnie spędzała wakacje na obozach harcerskich.

Tak więc wszystkie trzy parcele pozostały w rodzinie i

początkowo w ogóle nie były od siebie odgrodzone. Naturalną granicę tworzył lasek leszczynowy i wysoka sosna między „Ireną" i „Heliosem", a cały teren traktowany był przez dzieci jako jedno wielkie miejsce do zabawy w chowanego.

Kiedy przejeżdżał pociąg – w górę do Worochty, czy w dół do Delatyna, a lokomotywa wypluwała z siebie strumienie gorącego powietrza, staliśmy przy torze i, powiewając chusteczką wołaliśmy „Hules! Hules!". Zwyczaj ten narodził się wiele lat temu. Podobno żona inżyniera Hulesa została porzucona przez męża. Wybiegała do każdego pociągu, biegnąc wzdłuż wagonów, a stojący na peronie ludzie ze śmiechem wołali razem z nią: „Hules!".

„Irena" była ukochanym domem Mamy. Budowa jej ukończona została z końcem lat dwudziestych, ale prace przy różnych dobudówkach trwały jeszcze długo.

„Irena" była willą jednopiętrową. Parter nigdy nie był wynajmowany. Jedno z mieszkań – dwa duże pokoje i oszklona weranda ze stołem ping-pongowym i parą wiklinowych foteli – było nasze. Na sosnowych podłogach kolorowe kilimy huculskie, pachniało drzewem, żywicą i bielonym wapnem.

W drugim mieszkaniu zawsze mieszkali państwo Seibaldowie: Janek Seibald, właściciel młyna w Stanisławowie, z żoną Frydzią i córeczką Rutką. Rodzice mieli dużo znajomych: Zygo i Bronia Karpenowie, do których należała największa piekarnia Stanisławowska; właściciele hotelu „Union" na Sapieżyńskiej, państwo Serlesowie; skrzypek Zygo Weiss z narzeczoną Zuzką Holder; dr Wojewidka z żoną Klarą i daleka kuzynka Hela Klahr wraz z mężem, aptekarzem Kubą Drelichem. Byli to znajomi, z którymi Rodzice spotykali się raczej na letnisku w Jeremczu, grali razem w tenisa czy chodzili na fajfy do Skrzyńskiego. Ale prawdziwymi przyjaciółmi byli właśnie Janek, Frydzia i Rutka. Kiedy w drugiej połowie lat trzydziestych Rutka z rodzicami przeprowadziła się do Kołomyi, co roku wyczekiwaliśmy jaremczańskich wakacji z dużą niecierpliwością.

Do Jaremcza przyjeżdżałyśmy z Mamą w połowie maja, zostając tam aż do nastania jesiennych chłodów.

W połowie czerwca do Jaremcza zjeżdżali letnicy. Na deptaku pojawiały się grupy miastowiczów: panowie w jasnych sportowych ubraniach i kolorowo ubrane panie. Było

gwarno i wesoło. Do sąsiednich pensjonatów przyjeżdżali znajomi, pod koniec miesiąca przyjeżdżał Ojciec. Dorośli grali w tenisa i chodzili na górskie wycieczki. W pochmurne dni grali w *bridge*'a albo w ping-ponga, chodzili na kawę do Hanusa i tańczyli na podwieczorkach u Skrzyńskiego. Dzieci grały w serso i puszczały bańki mydlane. Z Rutką, Zbyszkiem i Staszkiem Rzucidło budowaliśmy szałasy i bawiliśmy się w wojnę.

Dorośli i dzieci chodzili na plażę „Pod Słoniem" i kąpali się w Prucie. Rzucali kaczki na wodę i opalali się na rozgrzanych kamieniach. Pod kamiennym wiaduktem kolejowym dzieci krzyczały głośno: „Kto zerwał jabłko z drzewa?", a echo za każdym razem odpowiadało: „Ewa... ewa... ewa...".

Bawiliśmy się w chowanego pod olbrzymim głazem Dobosza, zwisającym nad szosą do Jamny i chodziliśmy do jaskiń Dobosza, zbierając po drodze borówki, ukryte pod listkami, z początku niewidoczne, potem oszałamiające granatową obfitością. I poziomki, pachnące rozgrzaną trawą, i kwiaty polne we wszystkich kolorach tęczy.

Nagle, nie wiadomo kiedy, pojawiało się pierwsze babie lato, a z nim poranny szron na trawie i pożółkłe liście na drzewach. W powietrzu unosił się zapach kartofli, pieczonych na ognisku i sezon letni dobiegał końca. I jeszcze tylko, jak corocznie, pożegnalny festyn dla dzieci: zagadki i żywe obrazy, śpiewy i tańce. Festyn kończył barwny korowód przebierańców, do którego Mama w tajemnicy szyła kostiumy i czapki. A potem już tylko wygaszone lampiony, zwisające smutno z maminej sosny i girlandy kolorowych kwiatów z bibułki, które pan Rzucidło nazajutrz bezlitośnie wyrzucał na śmietnik.

Za to zima w Jaremczu była majestatyczna i dostojna. Fioletowe cienie kładły się na puszystym śniegu. Z dachów zwisały srebrzyste sople lodu. Drzewa uginały się pod śniegowym ciężarem, a wspaniałą ciszę przerywało tylko skrzypienie sań i delikatny dźwięk dzwoneczków końskiej uprzęży.

Zimę spędzałyśmy w Jaremczu same z Mamą. Jeździłyśmy na sankach i nartach, leżakowałyśmy w słońcu, a kiedy zapadał wczesny zimowy zmierzch grałyśmy w „bitwę morską" i „inteligencję".

Od czasu do czasu dojeżdżał do nas Ojciec. Wynajmowaliśmy wtedy u Hucułów sanie i jechaliśmy przed siebie, do

Tatarowa czy Mikuliczyna. Z nieba padały gęste płatki śniegu, powietrze było rześkie i mroźne, a blade słońce z trudem przebijało się przez chmury. Czasami urządzaliśmy „kulig" – my z Mamą, otulone w baranie kożuchy na siedzeniu, a Ojciec, przytroczony do sań kijkami jechał za nami.

Czasami Ojciec zabierał mnie na Zaroślak: najpierw pociągiem do Worochty, potem kolejką górską przez Ardzeluzę, Zawojelę, Kukul i Foreszczenkę. Na Zaroślaku czekały już sanie ze schroniska, posłane przez kierownika, pana Czuczewicza. Jechaliśmy zwolna między ośnieżonymi sosnami, a parujące zady końskie podskakiwały rytmicznie w takt jednostajnej melodii dzwonków.

Ze schroniska na Zaroślaku prowadziły szlaki narciarskie na Pop Iwan, Sywulę i Howerlę. Ojciec uczył mnie jazdy pługiem i podchodów zakosami, pokazywał co to telemark i christiana i jak szusem zjeżdżać z góry między kijkami. Czasami było tak ciepło, że rozbieraliśmy się do pasa i opalaliśmy się w słońcu.

Na Zaroślak jeździliśmy także w lecie. Trasę kolejki górskiej odbywaliśmy wówczas drezyną: siedzieliśmy na platformie, torującej sobie drogę wśród rosnących po obu stronach sztreki krzaków. Gałęzie biły nas po twarzy i wplątywały się we włosy, na niebie jarzyło się rozpalone słońce. Świergotały ptaki, barwne motyle fruwały nad naszymi głowami, a na bliskim horyzoncie majaczyły majestatyczne szczyty Czarnohory.

Z początkiem lat trzydziestych warunki materialne Rodziców bardzo się pogorszyły.

Tak więc, najpierw nieznacznie, a potem coraz dotkliwiej zaczęliśmy odczuwać skutki kryzysu. W domu wprowadzono drobne oszczędności. Ogrzewanie dużego mieszkania stało się problemem. Nagle pojawiły się blaszane piece trocinowe, które były tańsze w użyciu, ale grzały tylko wtedy, kiedy trociny się paliły i bardzo szybko stygły. Dwa pokoje zostały zamienione na stancje dla studentów, przyjeżdżających z pobliskich miasteczek po naukę w miejscowym gimnazjum. Gimnazjum męskie mieściło się tuż za rogiem. W godzinach popołudniowych z bramy gimnazjalnej wysypywał się gwarny tłum młodzieży: ci młodsi, w granatowych mundurkach i czapkach z niebieskimi wypustkami, i starsi – licealiści,

którym wąs już się czernił pod nosem, z wypustkami w kolorze amarantowym.

Lokatorzy byli chłopcami spokojnymi, nikomu nie wadzili, i właściwie mało kiedy było ich widać. Rano wychodzili do gimnazjum. Po południu uczyli się gdzieś w grupach albo udzielali korepetycji na mieście, a regularne przekazy za stancje były pewną pomocą w domowym budżecie.

Skończyły się wypady Ojca do kawiarni, a Mama zaczęła wyrabiać modne kwiaty z włóczki dla sklepu galanteryjnego pana Löwena w pasażu. Ale i to okazało się nie wystarczające.

W 1936 roku musieliśmy opuścić mieszkanie przy 3 Maja i przeprowadzić się na ulicę Sobieskiego.

Mieliśmy teraz trzy pokoje mieszkalne, w czwartym mieściła się kancelaria, a przedpokój został zamieniony na poczekalnię.

W roku 1935 zostałam zapisana do szkoły.

Do obowiązującego wieku szkolnego brakował mi cały rok – musiałam przystąpić do specjalnego egzaminu z polskiego, rachunków i religii. Przygotowywała mnie Mama. Na wiosnę 1935 roku komisja egzaminacyjna przy szkole państwowej im. Królowej Jadwigi zakwalifikowała mnie do drugiej klasy; przez wszystkie lata szkolne byłam więc o dwa lata młodsza od swoich koleżanek.

Dostałam teraz skórzany tornister na plecy i książki szkolne z księgarni pana Bodeka na Sapieżyńskiej. Dostałam też komplet zeszytów – w linijkę do polskiego, w kratkę do rachunków i czysty do przyrody. Mama kupiła mi drewniany piórnik z przegródkami na ołówek, rączkę* i radyrkę**. Po pewnym czasie rączkę zastąpił filfeder*** z gumową pompką do nabierania atramentu. Miałam także granatowy fartuszek z białym pikowym kołnierzykiem i granatowy beret z odznaką szkoły – otwarta książka z łacińskim napisem *Ora et labora*. I co najważniejsze – nareszcie miałam dużo koleżanek.

Wszystkie „kochałyśmy się" w wychowawczyni klasy, pani Jaroszewskiej. Dziewczynki współzawodniczyły ze sobą o jej względy; każda chciała nieść „Pani" teczkę, każda chciała

* rączka – obsadka
** radyrka – gumka
*** filfeder – wieczne pióro

być wybrana do drobnych poleceń. Ta, której „Pani" kazała odnieść katalog do pokoju nauczycielskiego, zebrać zeszyty w klasie, czy nawet zetrzeć tablicę – była przedmiotem zazdrości pozostałych.

Dyrektorką szkoły była panna Hubertówna. Panna Maria Wajsówna uczyła przyrody, a pani Wolańska geografii; nauczycielem religii był pan Segal.

Dzień szkolny rozpoczynał się modlitwą. Najpierw dziewczynki zbierały się w korytarzu i śpiewały hymn do patronki szkoły, królowej Jadwigi: „Święta Jadwigo, Królowo, Pani, cześć Ci oddają Twoi poddani, w opiece Twojej jest nasza szkoła, która do czynów nas wzniosłych woła...". Potem, już we własnych klasach odmawiano modlitwę poranną „Kiedy ranne wstają zorze, Tobie ziemia, Tobie morze, Tobie śpiewa żywioł wszelki, bądź pochwalon, Boże wielki...".

Raz w tygodniu klasa dzieliła się na trzy grupy: jedna przechodziła do klasy na drugim piętrze na lekcję religii mojżeszowej z panem Segalem. Po drugą przychodził ksiądz prawosławny, a trzecia zostawała w klasie na lekcji religii rzymsko-katolickiej.

Wszystkie lubiłyśmy dużą przerwę. Boisko szkolne zapełniało się hałaśliwą gromadą dziewczynek, byle prędzej zjadających przyniesione z domu śniadanie. Potem zostawało jeszcze dużo czasu na zabawę w „złotą kulę" i „jaworowych ludzi", i w starego niedźwiedzia, którego trzeba obchodzić z daleka, bo „jak się zbudzi to nas zje!". Uciekałyśmy wtedy z piskiem, rozbiegając się po całym boisku, i chowałyśmy się między morwowymi drzewami o pysznych słodkich owocach.

Za płotem stał budynek „Sokoła", gdzie Ukraińcy wystawiali swoje amatorskie przedstawienia, „Marusię Bohusławkę" i „Zaporożca za Dunajem". Chłopcy nosili wyszywane soroczki* i barwne kozackie szarawary. Widziałyśmy ich, kiedy zbierali się na próby i każda z nas miała swojego mołojca do cichej adoracji.

Z drugiej strony, od Kilińskiego, stała zakonna szkoła Urszulanek. Nie lubiłyśmy jednak „świętoszek", i uczucia te polegały chyba na wzajemności, bo nie zadawałyśmy się ze sobą nigdy.

Największą pasją lat szkolnych były książki. Najpierw książki „dla panienek" Lidii Czarskiej, potem „Ania z Zielonego Wzgórza", wreszcie najukochańsze „Serce" Amicisa; później przygody z Czarnego Lądu Karola Maya, pochłaniane z wypiekami na twarzy, często czytane ukradkiem pod ławką i wiele, wiele innych, znoszonych do domu ze szkolnej biblioteki.

●

W mieszkaniu przy Sobieskiego mieszkaliśmy dwa lata. Mama coraz częściej zapadała na zdrowiu; skarżyła się na serce, miała duszności. Pewnego dnia była tak słaba, że nie mogła wstać z łóżka. W domu coraz częściej zaczęli pojawiać się lekarze. W pokoju Mamy spuszczono zasłony w oknach, a któregoś dnia wstawiono tam butlę z tlenem. Nagle zjawiła się pielęgniarka, która nie wpuszczała mnie do maminej sypialni.

Zaraz potem musiałam się wyprowadzić z domu. Ojciec zaprowadził mnie do rodziców mojej ukochanej przyjaciółki, Rutki. Mieszkałam z nimi przez kilka miesięcy. Wszyscy starali się być dla mnie bardzo dobrzy. Co kilka dni przychodził Ojciec, ale nic nie mówił o Mamie. Pod koniec marca zaprowadził mnie do domu. Mama leżała pod namiotem tlenowym. Ojciec kazał mi pocałować ją w rękę i zaraz potem wyprowadził z pokoju.

Mama umarła 1 kwietnia 1937 roku.

●

Po śmierci Mamy nastąpiły duże zmiany.

Z mieszkaniem na Sobieskiego wiązało się zbyt wiele złych wspomnień, toteż parę miesięcy później przenieśliśmy się na ulicę Sapieżyńską, blisko starego mieszkania na 3 Maja. W czasie przeprowadzki znikła nagle służąca Marynia, a wraz z nią dużo bielizny pościelowej, trochę srebra i zimowa garderoba Mamy.

Po raz pierwszy nie pojechaliśmy tego roku do Jaremcza. Chodziliśmy często na cmentarz. Cmentarz leżał daleko za miastem, więc jechaliśmy dorożką. Kiedy dorożka stawała przed bramą cmentarną ze wszystkich stron otaczali nas

żebracy. Bałam się ich. Byli obdarci i brudni, i wyciągali ręce po jałmużnę. Dużo było między nimi kalek i ślepców o strasznych, pustych oczodołach.

W domu też wiele się zmieniło. Po powrocie ze szkoły zajmowała się mną panna Pepa. Sprawdzała ze mną lekcje i wychodziła ze mną na spacery. Czasami zabierała mnie do swojego domu. Panna Pepa mieszkała przy ulicy Lipowej, niedaleko parku. Rodzina składała się z ojca, Józefa Solimona, matki Anny, siostry Lusi i brata Kuby. Rodzice byli małomówni, siostra Lusia wesoła i ładna, a brat Kuba, sparaliżowany od wielu lat leżał nieruchomo na łóżku. Cała rodzina mieszkała w dwóch pokojach, z których jeden służył również za kuchnię. W mieszkaniu nie było bieżącej wody; na półpiętrze stała duża, drewniana beczka, napełniana wodą z podwórzowej studni.

W następnych latach panna Pepa spędzała z nami coraz więcej czasu. Przychodziła również w niedzielę. Chodziliśmy razem na mecze futbolowe, a w zimie na ślizgawkę. Wyjeżdżała też z nami na wakacje.

●

Nastał rok 1939.

Coraz częściej mówiono o wojnie z Niemcami. Radio nadawało wojskową muzykę, a gazety pełne były zapewnień, że jesteśmy „silni, zwarci i gotowi" i że „nikt nam nie zrobi nic, nikt nam nie weźmie nic, bo z nami dzielny wódz, marszałek Śmigły-Rydz". Tu i ówdzie chodziły pogłoski, że Niemcy źle traktują Żydów. W Stanisławowie mieszkało podobno kilka rodzin żydowskich wydalonych z Niemiec, ale tak naprawdę to nikt ich właściwie nie widział i nikt się tym za bardzo nie przejmował.

W połowie lipca pojechaliśmy do Jaremcza. Lato było piękne, kuracjusze jak zwykle bawili się u Skrzyńskiego i kąpali w Prucie. Grano w tenisa i chodzono na wycieczki do Jamny i Rafajłowej, a gazety wyśmiewały się z Niemców. Ale coś wisiało w powietrzu, więc już z końcem sierpnia wróciliśmy do Stanisławowa.

Zaraz potem Ojciec pojechał na parę dni do Lwowa, żeby zobaczyć się z rodziną i zabrał mnie ze sobą.

Pewnego dnia kuzyn Zbyszek zabrał mnie do pobliskiego Parku Stryjskiego. Pogoda była piękna; w parku bawiły się dzieci i spacerowały grupy młodzieży. Na ławkach siedziały matki z niemowlętami, starsi panowie czytali gazety i grali w szachy.

Nagle potężny huk wstrząsnął powietrzem i ziemia zatrzęsła się pod nogami. Potem rozległ się dźwięk syren fabrycznych. Nastąpiła panika, ludzie w popłochu rozbiegali się w różnych kierunkach i w parę minut park zupełnie opustoszał. Oszołomieni i przestraszeni wzięliśmy się ze Zbyszkiem za ręce i szybko pobiegliśmy w stronę domu.

Tak właśnie rozpoczęła się wojna.

Radio zapowiadało teraz często alarmy lotnicze. Komunikaty były nadawane jakimś dziwnym, niezrozumiałym językiem. Po każdym komunikacie schodziliśmy do piwnicy, nadsłuchując, z której strony przylatują samoloty i gdzie spadają bomby. Po odwołaniu alarmu szybko wracaliśmy na górę.

3 września wróciliśmy do Stanisławowa. Miasto wyglądało jakoś inaczej. Wszystkie okna zaklejone były paskami z białego papieru. Na skrzyżowaniach ulic leżały worki z piaskiem i stały wiadra z wodą. Sklepy świeciły pustkami, niektóre były w ogóle zamknięte. Na słupach ogłoszeniowych wisiały rozporządzenia Ligi Ochrony Przeciwlotniczej i odezwy do ludności.

Natychmiast po przyjeździe Ojciec zgłosił się do Ochotniczej Służby Przeciwlotniczej. Przydzielono go do punktu obserwacyjnego na dachu Sądu Wojewódzkiego przy ulicy Bilińskiego.

Wszyscy słuchali komunikatów radiowych. Wiadomości były optymistyczne i z dnia na dzień spodziewano się zakończenia wojny. Trwało to może tydzień. Aż pewnego dnia wojsko i policja zniknęły z ulic miasta. Nastąpiła panika, miasto zostało bez władzy, a ulicą zawładnął motłoch. Rabowano sklepy, wybijano szyby w oknach, napadano na ludzi. Przed naszymi oknami leżał zabity mężczyzna.

Służba Przeciwlotnicza została rozwiązana i Ojciec zgłosił się do ochotniczej służby porządkowej. Grupy porządkowe przez dwa dni patrolowały ulice, starając się utrzymać jako taki spokój.

Wreszcie rozeszły się pogłoski, że do Stanisławowa zbliżają się Rosjanie; że Rosjanie zawarli porozumienie z Niemcami, że wschodnie tereny Polski zostają przyłączone do Rosji.

Rosjanie weszli do Stanisławowa w połowie września 1939 r.

Nastąpiły nowe porządki.

Nagle na ulicach pojawiły się czerwone transparenty. Zegary kazano przesunąć o dwie godziny wstecz, na czas moskiewski. Otwarto szkołę, do której teraz chodzili także chłopcy. Szkoła nie nazywała się już szkołą im. Królowej Jadwigi, tylko szkołą nr 2. Ze ścian szkolnych zniknęły portrety Prezydenta Mościckiego i Marszałka Rydza-Śmigłego. Znikło godło państwowe – biały orzeł w koronie – zastąpione czerwonym emblematem z sierpem i młotem. Znikła też dyrektorka szkoły, panna Hubertówna, i ukochana pani Jaroszewska. Zjawił się natomiast nowy dyrektor, *zawped** Szkorupa, który mówił do nas po ukraińsku i którego nazywano Andrejem Andrejewiczem, a lekcje religii zostały zniesione.

Rosjanie wydali zarządzenie o obowiązku pracy dla wszystkich, w myśl zasady, że „kto nie pracuje, ten nie je". Ojciec musiał zamknąć kancelarię. Po kilku dniach udało mu się dostać pracę w towarzystwie sportowym „Spartak". I któregoś dnia, nic nikomu nie mówiąc, ożenił się z panną Pepą. Zaraz potem Pepa dostała nakaz pracy w Miejskiej Komendzie Milicji jako maszynistka.

Na początku 1940 roku zostaliśmy wyrzuceni z naszego mieszkania. Wprowadził się tam ruski *komandir*. Na razie pozwolono nam zostać w jednym pokoju, ale kiedy po jakimś czasie pojawiła się *komandirsza*, wystawiono nasze rzeczy na ulicę.

Przenieśliśmy się więc do mieszkania rodziców Pepy przy ulicy Lipowej koło parku; państwo Salimonowie odstąpili nam frontowy pokój, a sami, wraz z Lusią i sparaliżowanym Kubą zostali w mniejszym, służącym jednocześnie jako kuchnia. Oboje byli ludźmi spokojnymi i rzadko wychodzili ze swego pokoju. W obecności zięcia czuli się skrępowani, utrzymując pełen szacunku dystans. Nigdy nie zwracali się do Ojca po imieniu. Odzywali się bardzo rzadko i tylko wtedy, kiedy byli o coś zapytani.

* *zawped – zwiedujuszczyj pedagogiczeskoj czastiu* – tu: kierownik naukowy.

Czułam się przy nich nieswojo; bałam się bełkotu Kuby i nigdy nie wchodziłam do ich pokoju.

Ojciec wracał z pracy późnym popołudniem. Pepa w drodze do domu stała w kolejkach po artykuły żywnościowe, o które było coraz trudniej.

Po powrocie ze szkoły byłam przeważnie sama. Odrabiałam lekcje, dużo czytałam i pisałam swój pamiętnik.

Pewnego dnia w szkole powstała drużyna młodzieżowa „Pionier". Zawsze zazdrościłam kuzynce Jance, która była harcerką i w lecie wyjeżdżała na obozy harcerskie. Miała też szary mundur, trójkątną chusteczkę na szyi i dużo różnych odznak na rękawie. Kiedy więc zapowiedziano, że pionierzy będą mieli zajęcia świetlicowe, wycieczki i wieczory przy ognisku – bez namysłu zgłosiłam swoje nazwisko. Grupa nasza liczyła 14 osób, wszyscy od razu dostali czerwone chustki i pionierski znaczek na szyję.

Wieczorem nastąpiła nieprzyjemna rozmowa w domu. Ojciec był niezadowolony, choć nie bardzo wiedziałam dlaczego. Rodzice Pepy milczeli jak zwykle, ale milczenie ich było bardzo wymowne. Państwo Salimonowie nie lubili Rosjan, i wcale tego nie ukrywali. Wyrażało się to w formie bardzo specjalnego protestu. Kiedy po wejściu Rosjan do Stanisławowa zaczął obowiązywać nowy czas moskiewski, postanowili nie przestawiać swoich zegarków i przez długie miesiące żyli według „czasu polskiego". Prowadziło to do wielu nieporozumień i w poważnym stopniu utrudniało nam życie.

W końcu zapadła decyzja, że nie mogę wystąpić z organizacji pionierskiej, bo mogłoby to pociągnąć nieprzewidziane konsekwencje.

Od tego czasu bardzo lubiłam zostawać po lekcjach w szkole; śpiewaliśmy w chórze rosyjskie piosenki wojenne, o trzech tankistach, i „Jeśli zawtra wojna", i piosenkę o Katiuszy, która wyprowadzała swego miłego na wojnę. Uczyliśmy się grać na instrumentach muzycznych, trąbce i bębnie. Z czasem powstała orkiestra i grupa taneczna, która miała w repertuarze rosyjskie i ukraińskie tańce ludowe.

Ale kiedy zostałam wytypowana do grupy, która miała

wyjechać na pionierski obóz letni w Arteku na Krymie, Ojciec stanowczo się temu sprzeciwił i, mimo moich oporów, natychmiast przeniósł mnie do innej szkoły. Miało to swoje logiczne uzasadnienie, ponieważ mieszkaliśmy teraz dość daleko. Zostałam więc zapisana do szkoły, położonej dosłownie po drugiej stronie ulicy.

Językiem wykładowym był tu język ruski*. Drużyny pionierskiej nie było, koleżanki trzymały się razem; były starsze ode mnie o dwa albo trzy lata, ubierały się dorośle i miały swoje drobne tajemnice. Nauczyciele byli obcy. Matematyk Waligóra bił po plecach linijką. *Zawped* Stepan Iwanowicz Studiennyj był surowy i niedostępny.

W domu też było niewesoło. W nocy często budziły mnie jęki Kuby i odgłosy dochodzące z sąsiedniego pokoju. Czasami był to płacz Lusi; Rosjanie aresztowali niedawno jej narzeczonego. Czasami prowadzona szeptem rozmowa albo nieuchwytny odgłos szurających za drzwiami kroków nie pozwalał mi zasnąć.

Nie widywaliśmy nikogo z dawnych znajomych.

Czułam się samotna i nieszczęśliwa. Pisałam swój pamiętnik i czytałam. Odkryłam teraz poetów ukraińskich, szczególnie wiersze Tarasa Szewczenki.

●

Od wybuchu wojny minęły dwa lata.

22 czerwca 1941 roku nagle i niespodziewanie wybuchła wojna rosyjsko-niemiecka. Rosjanie w popłochu ewakuowali miasto. Ładowali co się dało do aut ciężarowych – rodziny, meble i dobytek. Ludzie popadli w panikę. W strachu przed Niemcami niektórzy uciekali razem z Rosjanami. Większość postanowiła przeczekać i nie ruszała się z miejsca.

Towarzystwo „Spartak" miało do dyspozycji kilka samochodów. Zaproponowano Ojcu ewakuację w głąb Rosji. *Uchodite skoreje* – mówili – *Germancy idut!*.

Niestety, Ojciec nie skorzystał z tej okazji.

Kiedy władze rosyjskie wycofały się ze Stanisławowa zarząd nad miastem objęli Ukraińcy. Na ulicach pojawiły się

* ruski – ukraiński.

niebiesko-żółte chorągwie, a ludzie pozdrawiali się słowami: *Sława Ukraini!* – odpowiadając – *Sława na wiky!* Znowu rozbijano szyby w sklepach i znowu napadano na ludzi.

Zaczęły dochodzić słuchy o pogromach Żydów na terenach zajętych przez Niemców.

Po kilku dniach do Stanisławowa weszły wojska węgierskie, a po trzech tygodniach skończyła się *samostijna Ukraina* i zjawili się Niemcy.

Wydarzenia następowały teraz szybko. Zaczęło się od szykan ludności żydowskiej: rabina i jego żonę zapędzono do sprzątania ulic. Żydzi musieli ustępować miejsca na chodniku przechodzącym Niemcom. Skonfiskowano Żydom aparaty radiowe, potem kazano oddać biżuterię i futra, a dawny gmach sądu przy ulicy Bilińskiego objęło Gestapo.

Ojciec znalazł pracę jako robotnik na tartaku. Było nas siedem osób, zdanych na jeden zarobek. Coraz trudniej było z jedzeniem. Często jedynym posiłkiem była kasza jaglana z fasolą. Zaczęliśmy sprzedawać ubranie i bieliznę, aby za uzyskane pieniądze kupić od chłopów jakąś żywność.

Wszystko zmieniło się nie do poznania. Dotychczas żyliśmy między ludźmi. Mieliśmy sąsiadów, z którymi mieszkaliśmy od wielu lat. Mieliśmy znajomych, z którymi obcowaliśmy. Miałam koleżanki szkolne i ulubionych nauczycieli. Nagle świat zaczął się dzielić na Polaków, Żydów i Ukraińców. Żaden inny podział nie był już ważny. Okazało się, że sąsiedzi z pierwszego piętra to Ukraińcy, którzy czekają tylko, aby zająć nasze mieszkanie. Że Polak z naprzeciwka, któremu Ojciec zaniósł dywan do sprzedania wyparł się, że go dostał. Że jest kilka mieszanych małżeństw, i że dzieci z tych małżeństw są właściwie Żydami. Że na przykład matka Herty jest Niemką, ale ojciec jest Żydem, więc matce kazano się wyrzec żydowskiego męża doktora Garfunkla. Że dr Wojewidka jest Ukraińcem, ale ma żonę Żydówkę. I że w jakiś czas później żona dr. Garfunkla nie posłuchała niemieckich mocodawców i zginęła razem ze swoją żydowską rodziną, a dr Wojewidka, który chciał uratować żonę został razem z nią zastrzelony przez szefa Gestapo. I że dyrektorka szkoły im. Królowej Jadwigi, panna Hubertówna była wychrzczona, a więc jest właściwie Żydówką, tak samo jak panna Maria Wajsówna od przyrody.

Teraz wydarzenia toczyły się coraz szybciej.

3 sierpnia 1941 roku przedstawiciel stanisławowskiej gminy żydowskiej zawiadomił Ojca, że z polecenia władz niemieckich wszyscy adwokaci-Żydzi mają się stawić w gmachu sądu na Bilińskiego. To samo polecenie dostała cała inteligencja żydowska; rano mieli się zgłosić nauczyciele, inżynierowie i muzycy, po południu, razem z adwokatami – lekarze i dentyści, razem około tysiąca osób.

Wychodząc z domu Ojciec powiedział, żeby nie czekać na niego z obiadem.

Wtedy widziałam go po raz ostatni.

Na drugi dzień rano poszłyśmy z Pepą na Bilińskiego. Pod gmachem sądu stało wiele kobiet z dziećmi.

Ktoś widział samochody ciężarowe, przykryte plandekami. Mówiono, że Niemcy wywożą Żydów do obozów pracy. Polacy twierdzili jednak, że w lesie pod Pawełczem kopano groby i że tam ich rozstrzeliwano.

Na początku sierpnia 1941 roku Niemcy wprowadzili przymus noszenia opasek. Nie były to już żółte wstążki, wprowadzone przez Węgrów, tylko białe opaski z niebieską gwiazdą Dawida. Jeśli ktoś pokazał się bez opaski na ulicy zabierano go na Gestapo i rozstrzeliwano. Opaski musieli nosić wszyscy Żydzi od czternastego roku życia.

Skończyłam dwanaście lat. Na świadectwach szkolnych miałam napisane „Irena Wilderówna, narodowość polska, wyznanie mojżeszowe". Dziadek mój, dr Salomon Gelehrter w 1898 był założycielem Wielkiego Templum w Stanisławowie, ale ja nigdy do bożnicy nie chodziłam. Uczęszczałam na lekcje religii mojżeszowej, ale codziennie razem ze wszystkimi śpiewałam modlitwę poranną. Kiedy umarł Marszałek Piłsudski brałam udział w szkolnym nabożeństwie kościelnym. W domu nie obchodzono żadnych świąt, ale na Wielkanoc malowałam z Marynią pisanki i kleiłam łańcuchy na Boże Narodzenie. Mimo wysiłków pana Segala nie nauczyłam się czytać po hebrajsku, ale znałam na pamięć wszystkie kolędy.

Tego dnia wiedziałam jednak dokładnie kim jestem. Nie pomogły perswazje ani Pepy, ani Niusi, ani nawet jej rodziców; od tego dnia postanowiłam nosić opaskę razem z dorosłymi.

●

Nadszedł dzień 12 października 1941 roku.

Od siódmej rano Niemcy i Ukraińcy zaczęli wyciągać Żydów z mieszkań. Nie pozwolono niczego zabierać. Ułożyliśmy Kubę na dwóch kocach. Był bezwładny i ciężki, i trudno go było znieść po schodach z drugiego piętra. Na ulicy stała długa kolumna ludzi, tak długa, że nie widać było gdzie się zaczyna, a gdzie się kończy. Było zimno, padał deszcze ze śniegiem. Położyliśmy Kubę na asfalcie. Ludzie stali, niektórzy siedzieli na krawężnikach. Czekaliśmy bardzo długo. Wreszcie Niemcy popędzili nas naprzód, ale tylko parę kroków; potem znów stanęliśmy. Powtarzało się to wiele razy – parę kroków naprzód – postój – i tak co kilka metrów. Na skrzyżowaniu ulic dołączono nas do innej kolumny. Krok za krokiem szliśmy przez Belwederską. Niektórzy mówili, że prowadzą nas na roboty. Potem rozeszła się pogłoska, że prowadzą nas na cmentarz. Trwało to cały dzień. Straciłam orientację i nie wiedziałam, gdzie jesteśmy. Kuba zawodził głośno, wszyscy byli głodni i zmęczeni. Musiało już być późno po południu, rozległy się strzały. Nagle kolumna zatrzymała się; staliśmy i przysłuchiwaliśmy się strzelaninie. Staliśmy dość długo, aż wreszcie Niemcy zaczęli nas rozpędzać i kazali wracać do domu. Ci przed nami nie mieli takiego szczęścia. Cmentarz żydowski był szczelnie obstawiony przez Niemców i policję ukraińską z psami. Na cmentarzu wykopany był długi grób. O godzinie pierwszej rozpoczęła się egzekucja. Niemcy kazali rozbierać się grupami, zdjąć wierzchnie ubranie do koszuli; potem pędzono ludzi do grobu. Dwóch Niemców i dwóch Ukraińców strzelało do leżących z karabinów maszynowych. Niektórzy byli tylko zranieni i dusili się przed śmiercią pod warstwą trupów. Wrzucano do grobu kobiety w ciąży i matki z dziećmi przy piersi.

O szóstej godzinie przerwano egzekucję. Niemcy otworzyli bramę cmentarza i psami poszczuli ludzi na ulicę.

Ocalonym pozwolono powrócić do domu.

Wróciliśmy na Lipową. Wnieśliśmy Kubę po schodach na drugie piętro. Mieszkanie było otwarte. Siedzieli w nim ukraińscy sąsiedzi z pierwszego piętra; nie byli zadowoleni z naszego powrotu.

Następnego dnia dowiedzieliśmy się, że zginęło dwanaście tysięcy osób.

W końcu października ustalono granice getta. Wydzielono tereny od mostu Halickiego, przez ulicę Szewczenki i Piotra Skargi do Kazimierzowskiej. Wspólną granicę stanowiła rzeka Bystrzyca, od mostu do przedłużenia cmentarza żydowskiego. W ciągu listopada ludność aryjska miała opuścić te dzielnice, a do końca grudnia mieli się tam przesiedlić Żydzi.

Dwa dni przed moimi trzynastymi urodzinami i kilka dni przed zamknięciem getta zjawił się w naszym mieszkaniu młody człowiek ze Lwowa, Ukrainiec. Przyjechał z poleceniem od ciotki Łucji, aby mnie wywieźć ze Stanisławowa.

Nie chciałam rozstawać się z Pepą, nie chciałam wyjeżdżać. Ale Pepa wiedziała lepiej: „jedź, Irusiu. To tylko na krótko. Niedługo wojna się skończy i znowu będziemy razem".

Uwierzyłam.

18 grudnia 1941 roku zdjęłam opaskę i wyjechałam ze Stanisławowa.

Na zawsze.

Christine WINECKA (Irena WILDER)

Wiersze

Marzena BRODA

CZTEROCALOWY PEJZAŻ

Jak przez palce widziałam okolicę, gdzie mnie nie ma.
Pyłki kwiatów też wywołują katar, nie wołam nikogo
Z tych, co otwarcie kochałam. Przeszłość to jest temat,
Za którym trzasnęły drzwi. Mogłam pójść inną drogą,
Słowom i stopom szłoby się lżej, a stałam się rodzoną
Siostrą Ziemi ustępując miejsce przy stole, ale krzesło
Jeszcze mi się należy, choć w gorzkiej herbacie utonął
Odstawiony czas. Teraz i czekolada smakuje słono,
Więc z nikim jej nie dzielę. Tylko ze sobą na wszystko
Zgadzam się. Gdy słyszę na ulicy głosy odwracam głowę,
By przyuważyć dokąd milczenie sięga, które przytknął
Do skroni dzień. Po sześciu latach jestem swoją połową,
A reszta, kataklizmy lub miasta może obyć się beze mnie.
W parku drzewa znów odzyskują formę, rzucając w fontannę
Centy przestałam mieć życzenia, aby nie było ciemniej,
Kiedy się nie spełnią. Mało wiem o świecie, niestarannie
Zrobionym w porównaniu z wierszem, skórę nawet dotyk
Spojrzenia przecina, który uderzył o rozskrzydlone okno
Łamiąc z chrzęstem złudzenia, lecz jeśli pierwszy motyl
Wskaże dokładnie kierunek, gdzie jest bardziej tłoczno
Rozgoszczę się powtórnie w czterocalowym pejzażu,
Który nie ma kolorów na fotografii, jest w rogach wytarty
Od opuszków palców, a od wpatrywania się nieco zżółkł
I nie jest ważne, czy od początku nazywałam go własnym.

17.04.1997

OGIEŃ KOCHANIA

Trudem wyspokojniał sen, niemądry jest wstyd kochania,
Kochanie, wyprowadź mnie stąd, przeliczając miłość na tłum,
Jeśli dochodzi do wrzenia albo intensywnie przesłania
Kawał świata kryjący zbrodnie mężczyzn. Kochanie, stłum
Z powrotem ogień w połowie należący się tobie, w drugiej
Należący się im, nie by zadać wyszukany, powiem
Cios cwałujący w odosobnienie jak opętany ogier,
Który kalorie spala ociężając miesiącami mięśnie, słowem
Kochanie, weź nas stąd na nakreśloną na skórze mapę
Cielesnych stref, skąd widok na lęk roztacza się pełniej,
By w siatce na owady mieć go możliwie najwięcej,
Gdy jest nią miłość, a nie okrucieństwo: żar kapie
Stopniowymi kroplami, za słodkie staną się od niej
Piękniejsze nim współsmakowanie wysubtelni nas więcej.

1.01.1997

Marzena BRODA

Stanisław DŁUSKI

SYZMA*

Nabożeństwo błota i ociemniałych
domów, ulica wygnańców i odszczepieńców,
dzieci schizmy w połatanych spodniach,
duszach, porzuconych przez Święte Oficjum,
przygarniętych przez bezdomne psy,
pająki, karaluchy, stare szafy z zapachem
ćmy. Drzewa śpiewają hymn ognia,
z którego rodzi się księga pomylonych
słów, grzechów niewinnych jak
ostatnie stokrotki w albumie lata,
zasuszone prababki; księga miłośników

popiołu, obrazu światła przebitego
wzrokiem umierającego ojca; księga
natury gubiąca stronice, liście, kalendarze,
ścięty orzech z którego spadam na
łeb i odzyskuję na chwilę rozum,
by usłyszeć sygnaturkę słowika
wzywającą uparcie na chłodny pod-
wieczorek miłości

Stanisław DŁUSKI

* od gr. schisma – rozłam, w kościele rz.-kat. odszczepieństwo ustrojowe albo dogmatyczne. Historyczna nazwa ulicy w Dębowcu założonym przez Kazimierza Wielkiego (1349).

Grzegorz DOBIECKI

OKULARNIK

Agnieszce Osieckiej

Nie zamknął zezowatych okien
i maj się włamał do mieszkania
Niech włazi, co tam!
Godzina w monoklu pogania, pogania
Robi oko do pana swoim wiernym okiem...
Frunie okularnik, krótkowidz idiota
Latarniom się kłania

Ma bukiet dioptrii majowych
w kieszeni irchowej kapoty
Serce w rękawie
Przyfrunął. I czeka
Żałosny kabotyn
Przy Placu Soczewek Niekontaktowych
Na czerwiec, co przyjdzie w rogowej oprawie
Samotnej brzydoty

maj 1982 r.

Grzegorz DOBIECKI,

Stefan FLOREK

* * *

Nie czuję wdzięczności
do króla malin i cierni

boję się że to grzech
chociaż nie wierzę w grzech

wierzę w braki
które były zanim nastałem

zrywam maliny
i kaleczę się

Stefan FLOREK

Agnieszka LISAK

RUINY KLASZTORU

Ten klasztor
rozebrał cegła po cegle czas
został tylko
wiatr organista
gotyckie sosny
i pochylone brzozy - białe mniszki
pielęgnujące krajobraz
w wirydarzu lasu.

DRZEWO GENEALOGICZNE

Moje drzewo genealogiczne
wyrosło na peryferiach historii
nie ma tu ptaków w koronie
myśliwskich sokołów
dwugłowych orłów.
Wśród pokoleń liści
kołysze się na nim
niedojrzały listek mojej młodości.

Agnieszka LISAK

Adam LIZAKOWSKI

KRÓTKA HISTORIA KALIFORNII

Najpierw po lodowcu na nogach przybyli
Indianie z łukiem i kamiennym toporkiem
w poszukiwaniu jedzenia, w pogoni za jeleniem
nazywając góry, jeziora, drzewa,
chmury, zwierzęta swoimi braćmi
modlili się do słońca i księżyca, bizona.
Następnie statkami z żaglami malowanymi w krzyże
w imieniu króla kochającego złoto i Boga
przypłynęli katolicy - Hiszpanie w pięknych
lśniących zbrojach z mieczem w ręce, różańcem na szyi,
biblią w kuferku, chciwością w sercu,
miejsca swych postojów nazwali imionami świętych
zakładając osady i miasta.
Po nich ze wschodu konno i na wozach przybyli
protestanci z Niemiec i Anglii w poszukiwaniu
lepszego życia i złota z pistoletami na biodrach,
strzelbami na ramieniu,
nazwiskami swoich bohaterów nazwali ulice

wymordowali Indian nie wymordowanych
przez Hiszpanów i potomków Hiszpanów.
Kalifornię przyłączyli do Unii Stanów
cesarstwa kapitalistycznego, sprowadzono Chińczyków
Japończyków, Filipińczyków do sprzątania, prania i gotowania.
Meksykanie zajęli się rolnictwem, czarnych
niewolników awansowano na pomoc domową
biali zajęli się handlem winogronami, założyli banki,
wybudowali szpitale, uniwersytety, kościoły, fortuny.
Zanim ja postawiłem nogę w San Francisco
wszystko było już uporządkowane, ułożone, zaplanowane
Indianie zabici, Hiszpanie przepędzeni, złoto wydobyte
pola winogron podzielone, banki kamerami strzeżone
Chińczyków, Japończyków, Filipińczyków, Murzynów skazano
na getta, Niemcy i Anglicy zostali Amerykanami
marzenia jak drogocenne perły spoczywały bezpiecznie
na dnie w ogniotrwałych kasach pancernych
do których zapomniano tajemnicze szyfry
pozostała najgorzej płatna praca, ale nią gardziłem
oraz tanie wino, które niewybrednym smakuje.

San Francisco, 1987

Adam LIZAKOWSKI

Archiwum polityczne

Podróże kształcą

Do Moskwy zostałem zaproszony przez Instytut Słowianoznawstwa i Bałkanistyki Rosyjskiej Akademii Nauk, by wygłosić referat na konferencji o mniejszościach narodowych we Wschodniej Europie. Zaproszenie przyjąłem chętnie, chciałem wiedzieć, co o mniejszościach sądzi się w Moskwie, a także spotkać dawnych i nowych kolegów.

Unikałem dawniej kontaktów z Instytutem i jego naczalstwem, ale przyjaźniłem się z asystentami i aspirantami. Na emigracji wszelkie kontakty z rosyjskimi kolegami zostały zamrożone. Jednak w czasie gorbaczowowskiej *głasnosti* zmieniło się kierownictwo Instytutu, do głosu doszli dawni asystenci, teraz dojrzali naukowcy. Dyrektorem został Władimir Wołkow, poznałem go w 1993, ale on znał mnie od dawna. Kilka osób opowiadało, jak pożyczywszy w 1967 od Iry Michutinej czy Tusi Agapkinej mój „Imperializm słabości", Wołkow czytał go nocą, by jak najszybciej przekazać kolejnemu czytelnikowi. Mnie przy okazji Wołkow po latach powiedział komplement, myślę, że szczery, jak zafascynowało go to, że moje publikacje różnią się od schematów polskich i sowieckich.

Podróż do Moskwy zaczyna się od konsulatu, w moim przypadku od konsulatu Rosji w Sztokholmie. Gdy byłem tam poprzednio, w 1993, dwa lata po rozpadzie ZSSR, urzędnicy zachowywali się tak, jak gdyby ów Związek istniał i z satysfakcją nadal stosowali pieczęcie z sowieckimi napisami i emblematami. Wówczas nie obeszło się bez incydentu, gdy wbili mi wizę tak, że przyjechałbym po rozpoczęciu konferencji a wyjechał przed jej zakończeniem. W sąsiednim boksie

jakiś syryjski kupiec, w sytuacji podobnej do mojej dowodził, że jego nieobecność spowoduje nieobliczalne szkody dla gospodarki rosyjskiej. Jego prośby wywoływały wzgardliwy uśmiech zadowolonego z siebie „dyplomaty w cywilu". Nietrudno było pojąć, że pragmatyka jest zgoła inna. Obrugałem wicekonsula, uprzedziłem, że naczalstwo, jeśli pogładzi go po główce, to raczej pod włos, a przede wszystkim kazałem wstać, gdy rozmawia ze mną. Wyprężył się, zapis poprawił. Pytał się tylko, czy rzeczywiście jestem Polakiem, widać zafascynowała go znajomość właściwych form. To było jednak cztery lata temu.

Gdy jednak w listopadzie 1996 pojawiłem się w owym konsulacie i znalazłem się oko w oko z tym samym urzędnikiem, nie potrzebowałem ani chwili, by uświadomić sobie, że weźmie odwet za chwilę słabości. I rzeczywiście. Z miejsca dowiedziałem się, że zaproszenie Instytutu Słowianoznawstwa, mimo przezornie wbitej okrągłej pieczęci, nie uprawnia mnie do wizy.

Przyczyna? Urzędnik z sadystycznym uśmiechem powołał się na najnowsze zarządzenie, zezwalające na wpuszczenie do Moskwy tylko osób zaproszonych przez władzę, bądź posiadających zezwolenie MID-u. Rosyjska Akademia Nauk? Nie jest żadną władzą. Kilka dni później okazało się jednak, że prezydium Akademii ma inne zdanie niż konsul i że MID nakazuje wydać mi wizę. Wicekonsul tym razem unikał spotkania ze mną, przeświadczony o moich koneksjach. Wyciągnijmy więc wniosek, że w służbach dyplomatycznych Rosji niewiele się zmieniło. Arogancja, samowola i niekompetencja – jak *za starogo reżima*. Moje wrażenia potwierdzili później urzędnicy prezydium Akademii Nauk. W konsulatach, jak siedzieli kapitanowie i pułkownicy bezpieczeństwa, tak siedzą nadal i nie ma siły, by ich stąd wykurzyć. Czy wszystko jednak pozostało tak jak było? Sam fakt, że w miarę swobodnie na ten temat rozmawiałem w Moskwie dowodzi, że zmieniło się dużo.

W aeroporcie w Szeremietiewie zmiany są wyraźne. Zniknęli ponurzy pogranicznicy obracający paszporty na wszystkie strony, nie było kłopotu z wózkiem bagażowym, terminal był czysty, oświetlony. Na lotnisku czekał na mnie Tolia Anikiejew, młody historyk, asystent dyrektora. Z Szeremietiewa do

miasta jedzie się godzinę, w tym czasie zdołałem otrzymać porcję wiedzy o tym, co się w Rosji dzieje i co się sądzi, porcję tym cenniejszą, że różniącą się od gazetowych sztanc.

Cztery lata temu podziwiałem umiejętność kierowcy wymijania dziur w jezdni. Teraz jedziemy po równym asfalcie. *Kak w Jewropie*. Szofer potwierdza: *dieło* Łużkowa, mera Moskwy. Jego zasługą jest też bezpieczeństwo na ulicach, ludzie już się tak nie boją wychodzić wieczorem. Pobędziecie dzień-dwa w Moskwie, Josif Abramowicz, zobaczycie. Owszem, mordują, ale w ramach porachunków mafijnych, czy dużych skoków.

Rzeczywiście, wystarczyło wejść do hotelu Akademii, by się zorientować, że wejścia bronią trzej ponurzy faceci z jednostki Witiaż, tej samej co niedawno szturmowała gmach parlamentu. Jeden w westibulu, drugi w hallu, trzeci na zewnątrz. Później przekonałem się, że z podobnej ochrony korzystają wszystkie instytucje, w których można coś zrabować, a nawet takie, gdzie rabować nie ma co, jak walący się barak, *pardon*, pałacyk, mieszczący wydział zagraniczny akademii.

Hotel ten sam, ale przecież inny. Zniknęli udający portierów emerytowani funkcjonariusze KGB i MWD (w moskiewskim slangu: *toptuny i liagawyje*) a wraz z nimi również karaluchy i prusaki, których ponoć nie można było wytępić. Okazuje się, można było. Nadal natomiast są brudne urządzenia sanitarne – poczucie czystości trudniej zmienić, niż zwalczyć bandytyzm.

Konferencja. Znajomi, ale dużo nie znanej mi młodzieży. Przysłuchuję się referatom, mam odczucie, że zaszło coś, czego nie potrafię z miejsca pojąć. Zmienił się język. Cztery lata temu referaty były kompetentne, wolne od ideologii imperialnej i od tak zwanego poczucia interesu państwowego, mimo to zgrzytały relikty sowieckiego języka, aprioryczne schematy, kwieciste przymiotniki, nieodłączne atrybuty nowomowy. Nie dziwiłem się, autorzy referatów mieli przeważnie koło sześćdziesiątki, byli produktem systemu, a sami też przez dziesiątki lat produkowali drętwą mowę. Nowomowy teraz już się nie słyszy. Nie wątpię, pozbycie się nawyków językowych było zabiegiem trudnym i bolesnym. Żeby się ich pozbyć potrzeba było jednego – chęci wyzwolenia się, a tego akurat w kręgu kolegów nie zabrakło.

Na sali sami swoi. Jestem jedynym cudzoziemcem. Jest jeszcze Ukrainiec zakarpacki, prof. Puszkasz i Bułgar, Jurij Zudinow, ale mieszkają w Moskwie i są pracownikami instytutu. Program konferencji przewiduje 25 referatów. Wachlarz tematyczny duży. Jeden z ciekawszych referatów proponuje zajęcie się „Osmanami, kemalistami i systemem wersalskim". Referent W. Szeremet przyznaje, że jeszcze nie zdołał dobrze wniknąć w materiał, który na dniach, nieoczekiwanie znalazł na... Malcie, tam bowiem po detronizacji osiadł sułtan Mehmed VI i tam zachowały się jego materiały.

Większość referatów omawia sprawy bliższe. Otwiera konferencję Wołkow. Ładne przemówienie, ostrożne, niczego nie narzucające. Zgłasza propozycję: terminologia Fichtego *narody historyczne* i *niehistoryczne* z wielu względów napotyka na sprzeciwy, zwłaszcza owych niehistorycznych. Wołkow proponuje terminy *narody tytułowe* i *nietytułowe*. Pierwsze to te, których oznaczenia powtarzają się w nazwach państw, te drugie to pozostałe. Można i tak, propozycja ma wiele zalet, choć obawiam się, że nigdy nie zdołamy stworzyć nazewnictwa bez wad, które nie będzie raziło czyjegoś samopoczucia.

Prof. Abaszidze, ale nie Gruzin, bo Osman Huseinowicz, prawnik, dowodzi, że zarówno prawo do samookreślenia jak i w ogóle pojęcie mniejszości narodowej są szczególnością Europy Wschodniej, nie znajdującą odzwierciedlenia w prawodawstwie Zachodu. Młody historyk Aleksiej I. Miller mówi o etnicznej różnorodności Europy Środkowej i Wschodniej. Wyraża poglądy dość pesymistyczne, odnajduję w nich ślady mojego referatu z 1994. W Europie Wschodniej nie da się przeprowadzić sprawiedliwych granic, wszelkie regulacje prawne mogą przynieść pozytywne rezultaty tylko wtedy, jeśli zostanie uregulowana strefa przedprawna, z czym chyba wypada się zgodzić. No cóż, typowy koan Zen-buddyzmu: „czy jest wyjście z sytuacji bez wyjścia?" i utrzymana w tej samej stylistyce odpowiedź: uniwersalnego klucza nie ma, jedyne wyjście to szukać wyjścia stale, ciągle, bez przerwy, z nie gasnącą nadzieją. Ostatnie zdanie jest moim komentarzem.

Sprawom polskim na konferencji poświęcono dość dużo uwagi. Irina Michutina co prawda miała w tytule stosunek rosyjskich partii do kwestii ukraińskiej przed I wojną, ale

dużo mówiła o stosunkach polsko-ukraińskich. Michutina od lat specjalizuje się w historii Polski, jest też autorką dyskusyjnej monografii o wojnie 1920 r. ponoć utrzymanej w dawnej stylistyce. W referacie się tego jednak nie czuje, referat jest właśnie wolny od serwitutów na rzecz rosyjskiej mocarstwowości. Zdaniem Michutinej, Ukraińcy w Polsce międzywojennej nie byli dyskryminowani osobiście, dyskryminacja ograniczała się do sfery społecznej i politycznej. Podobnie brzmiała konkluzja Jurija Tribicowa z Kemerowa. Miałbym zastrzeżenia do nadmiernie optymistycznej oceny obu referentów, ale trzeba wziąć pod uwagę, że w porównaniu z sowiecką praktyką polska polityka mniejszościowa wyglądała sielankowo. Potwierdza się zdanie, że sposób widzenia uzależniony jest od punktu siedzenia.

Przyjemnie zaskoczył mnie referat Margerity (przepraszam, jeśli pomyliłem imię) Czernych, która z zachwytem mówiła o pionierskich pracach warszawskiego Instytutu Spraw Narodowościowych w okresie międzywojennym, nie oczekiwałem w Moskwie znajomości tych prac, rzadko kiedy przecież cytowanych przez polskich badaczy. Podzielając wysoką ocenę ISN, nie mogłem jednak nie zwrócić uwagi, że Instytut ten co prawda korzystał z rządowych subwencji, ale był inicjatywą niewielkiej grupy ludzi dobrej woli, przeważnie wolnomularzy. Wpływ na politykę Instytut miał niewielką.

Referat Iwana Kostiuszki o Polakach w ZSSR w latach 20-tych, fragment przygotowywanej od lat większej pracy, co prawda nie był dla mnie zaskoczeniem, teza bowiem, że „polski komisariat był nastawiony na pracę na zewnątrz" daje się wydedukować z generaliów polityki sowieckiej, ale Kostiuszko wprowadza do obiegu naukowego dużo ciekawego materiału, dotychczas niedostępnego dla badaczy. Co gorsze, obawiam się, że dostępnego tylko przez krótki okres.

Obawa niebezpodstawna. Albina Noskowa – w 1966 oprowadzałem ją po Warszawie, głównie zapoznając z nie znanym jej fenomenem życia kawiarnianego – była autorem jednego z ciekawszych referatów, o deportacji małych narodów pod koniec II wojny. Noskowa z jednej strony potępiała zbiorową odpowiedzialność stosowaną w ZSSR, z drugiej zaś zwracała uwagę, że przywódcy tatarscy kolaborowali z hitlerowcami i snuli zupełnie realistyczne plany wymordowania

wszystkich Rosjan na Krymie, o Żydach nie wspominając, co było kamykiem rzuconym w ogródek rzeczywiście jednostronnego Niekricza.

Noskowa wręcza mi opublikowany przez nią zbiór dokumentów „NKWD a polskie podziemie 1944-1945 w świetle 'osobistych teczek' J.W. Stalina"[1]. Dużo informacji wprowadzających korektury do obrazu Polski po 1944 roku, a przede wszystkim do wiedzy o metodach i celach sowieckiej polityki w Polsce. Dlaczego Stalin, uprawiający „strategię na globusie" interesował się szczegółowo tym, co się w Polsce dzieje i to nawet w Końskich i Biłgoraju? Dokumenty nie dają na to pytanie odpowiedzi wprost, ale winny być przemyślane. O ile się nie mylę, książka Noskowej jednak nie była dotąd w Polsce gruntownie zrecenzowana, a materiały nie weszły do naukowego obiegu.

Dla mnie książka staje się nieoczekiwanie przeżyciem. 14 września 1945 Beria pisze do Stalina, że zwrócił się do niego Osóbka-Morawski, wówczas premier, z prośbą o zwolnienie 13 osób ze sprawy lwowskiej delegatury, skazanych przez władze sowieckie na wieloletnią katorgę. Beria zaopiniował prośbę odmownie, a Stalin zgodził się z Berią. Prośba Osóbki nie była czymś wyjątkowym. Noskowa dowodzi, że jakie władze PRL-u by nie były, to do 1949 jak mogły, tak starały się wydobyć Polaków z sowieckiej matni. Ale kto inspirował Osóbkę? W jego bliskim gronie znajdowali się wówczas lwowscy pepeesowcy, b. delegat Ostrowski i Maria Wierna-Fiderer? Oboje nie cieszą się dobrą opinią, Ostrowski jest wymieniany w polskich publikacjach jako ten, kto wydał Delegaturę w ręce sowieckie. Czy zasadnie? Kto wie? Zmiana orientacji nie musiała się łączyć z działalnością prowokacyjną... Przeżywam mały szok, gdy na czele listy Berii znajduję nazwiska bliskich osób, Czesława Niezabitowskiego (20 lat), kierownika KWC na Galicję Wschodnią i jego syna Andrzeja (10 lat). Ich przeżycia łagierne to duży temat. Nie przypuszczałem, że o ich losach decydowali osobiście Beria ze Stalinem, myślałem, że mieli poważniejsze sprawy na głowie,

1. „NKWD a polskoje podpolie 1944-1945. Po 'osobym papkam' J.W. Stalina". Red. A.F. Noskowa, Instytut Słowianoznawstwa i Bałkanistyki Rosyjskiej Akademii Nauk, Moskwa 1994; s. 306.

ale byłem naiwny, cóż może być w policyjnym systemie ważniejsze niż znęcanie się nad ludźmi. Ciekawe, że ujął się za nimi Osóbka, prośby i protekcje do Mikołajczyka, wówczas wicepremiera, jak wiem, nie odniosły skutku. Niezabitowscy byli działaczami ludowymi. Mikołajczyk do ich losu odniósł się chyba obojętnie.

Noskowa powiedziała mi, że dokumenty wydarła niemal w ostatniej chwili, teraz dostęp do archiwów jest w praktyce niemożliwy, jelcynowska administracja czuje jakąś solidarność ze stalinowską. A w sowieckich archiwach można znaleźć wiele ciekawych materiałów, jak np. okazany mi dokument, z którego wynika, że frakcja natolińska w polskim KC już istniała w 1952 i działała na rzecz pełnej sowietyzacji PZPR i kraju, a na czele jej stał nikt inny (proszę wybaczyć mi rusycyzm, ale czasem właśnie taki zwrot najlepiej odzwierciedla sytuację) jak Konstanty Rokossowski.

By wreszcie skończyć z polskim wątkiem: jeden z referentów, opierając się o materiały prasowe wyciągnął wniosek o kwitnącej w Polsce lat 90-tych rusofobii. Pozwoliłem sobie na polemikę. Po 1989, rzeczywiście można był oczekiwać takiego zjawiska, podstaw ku rusofobii było niemało. Będąc w kraju w 1989 i 1990 zwracałem uwagę, na ile występuje ona w życiu powszednim. Pamiętam rozmowy na pchlim targu w Poznaniu, toczone wspólnie z Leszkiem Dymarskim. Byłem zaskoczony zrozumieniem z jakim tzw. lud odnosił się do handlujących Rosjan: „No cóż, biedni ludzie, rok temu to myśmy w ten sam sposób handlowali w Berlinie, tylko że tam traktowano nas gorzej". Referent przyjął moją poprawkę, ale i ja przyznałem mu rację, że jakaś część polskich mass mediów odnosi się z demonstracyjną wrogością i pogardą do Rosji i Rosjan. Zjawisko psychologicznie zrozumiałe dla kogoś, kto obserwował, jak ludzie wcześniej, dla złudnej kariery nadskakujący Żydom, w 1968 r. prześcigali się w antysemityzmie. Do tego wrócę.

Historia a współczesność – temat odwieczny, choć ciągle aktualny. Uważny czytelnik widzi, że wielu referentów uciekało w przeszłość, nie powiązaną z dramatycznymi pytaniami współczesności. Nie wszyscy. Jurij Zudinow wygłosił drastyczny referat o problemach jak najbardziej współczesnej Bułgarii. Dowodził, że istnieje coś wspólnego między komu-

nistami, postkomunistami i antykomunistami, mianowicie gorliwy nacjonalizm w traktowaniu mniejszości narodowych, głównie tureckiej, ale i Cyganów. Jeśli Bułgaria będzie dążyła do powiązania ze strukturami europejskimi, to nacjonalizm okaże się jedną z najpoważniejszych przeszkód. Większość referentów rzeczywiście uciekała jednak w swoistą naukowość. Mogę to zrozumieć, po latach produkowania prac usługowych musi nastąpić reakcja. Miła Rita Pietrowna Griszina, niestrudzony *spiritus movens* konferencji, w odpowiedzi na moje żale westchnęła: *Gospodi*, po pierwsze – nam się nie chce, po drugie nikt naszego głosu nie słucha. Miała rację. Nie pytałem, kto w Instytucie ma jakie poglądy, ale i nie potrzebowałem tego czynić. Referenci akcentowali te same wartości, co zachodni intelektualiści, może nawet bardziej konsekwentnie niż ich polscy koledzy. Zwrócenie się per *towariszcz* w Instytucie uważane jest za obelgę, w najlepszym wypadku za niesmaczny dowcip. Tylko jedna osoba podziela poglądy Żirinowskiego, ale czyni to prywatnie, w jej referacie nie znalazłem śladu ciągot nacjonalistycznych. Można więc przyjąć, że demokratyczne i liberalne ekspertyzy pracowników Instytutu nie znalazłyby posłuchu w kręgach wysokiej władzy.

Mój referat omawiał dwuetniczność w Europie Wschodniej. Rzecz w tym, że zwykliśmy traktować przynależność narodową jako wybór jednoznaczny, wyłączający i nawet przeciwstawny. Stąd głupie w istocie spory o narodowość Kopernika, Mickiewicza, stąd oburzenie na Miłosza litewskość, itd. Tymczasem mamy w tej części Europy do czynienia z milionami ludzi, których wciskanie do jednej przegródki jest kaleczącym zabiegiem. Najczęściej widać to na przykładzie żydowskich intelektualistów, których chce się bądź uwolnić od ich żydowskości, lub przeciwnie, z racji żydowskości usunąć poza nawias kultury rosyjskiej, polskiej, czeskiej itd. Rzecz jednak nie sprowadza się tylko do styku z żydowskością, to samo dzieje się, nawet w szerszej skali na styku rosyjsko-ukraińskim, czesko-słowackim, polsko-niemieckim itd. Stąd również pole do wielkich uproszczeń, a często i nadużyć, o czym wie każdy stykający się ze statystyką demograficzną. Stąd niebezpieczne symplifikacje w polityce.

Wykład był zaskoczeniem dla wielu uczestników, na tyle odbiegał od utartej metody historycznej, sprowadzającej się, jak wiadomo do omówienia dokumentalnych zapisów, ale spotkał się z życzliwym przyjęciem. W kuluarach uczestnicy referowali mi przykłady własne, często zaskakujące.

Konferencję zorganizowała kierowniczka zakładu historii prof. Rita Petrowna Griszina i prowadziła ją z dużą kompetencją i kulturą. Niestety, jej wykładu o zagadnieniach bułgarskich nie zdołałem zanotować, gdyż w tym czasie przewodniczyłem obradom.

●

W Moskwie spędziłem dwa tygodnie. Wrażeń wiele, wszystkiego nie opiszę. Wreszcie udało mi się spotkać kolegę z dawnych lat, prof. Igora Orlika-Warlika. Nie zapomnę naszego spotkania 31 marca 1964 roku u niego w Moskwie. Igor pracował wówczas w Instytucie Spraw Międzynarodowych. Gdy przyszedłem o umówionej porze, gospodarz wydawał mi się zmęczony. – Igor, chyba przyszedłem nie w porę – zapytałem. – Nie, właśnie przyszedłeś jak najbardziej w porę. Zrozum, to nie tak, że my tylko myślimy o tym, jak ten biedny lud ciemiężyć i wyzyskiwać. Nie, czasem udaje się coś nawet zrobić dla jego dobra. Tyle tylko, że załatwienie nawet prostej sprawy dla dobra społeczeństwa wymaga takiego wysiłku, takiego krętactwa i wyszukiwania sztucznych argumentów, że nawet w przypadku sukcesu człowiek jest wypompowany i nie ma chęci do niczego.

Nic dziwnego, że wypiliśmy wówczas, Igor, jego goście i ja, równo po butelce koniaku. Przy okazji śpiewaliśmy obozowe pieśni, za które w Moskwie wówczas nie głaskano. Kilka dni później Raisa Maksimowna Titarenko potwierdziła, że w kręgach młodych reformatorów Igor jest czymś w rodzaju wyroczni etycznej, a jego rekomendacja otwiera dużo zamkniętych na ogół drzwi. I zamkniętych ust. Kontakt wznowiliśmy w 1991. Teraz spotkaliśmy się w Instytucie Międzynarodowych Ekonomicznych i Politycznych Badań Rosyjskiej Akademii Nauk, czyli, jak w Moskwie mówią po prostu – w Instytucie Bogomołowa. Reorganizując jeden z zakładów „drętwej mowy", przekształcając go w dynamiczny zakład naukowy, Oleg Bogomołow zaproponował Orlikowi stanowisko zastępcy.

Tu – zdaje się – nikt od zagadnień współczesności nie ucieka. Przywiozłem parę publikacji Instytutu. Tu ograniczę się do stwierdzenia, że są to teksty przeważnie na najwyższym światowym poziomie, świadczące, że w Rosji dzisiejszej nie brak intelektów. W Instytucie Bogomołowa jednak natrętnie nasuwało się to samo pytanie, co w poprzednim instytucie, a mianowicie, jaka korzyść płynie z tych mądrych prac. Obawiam się, że niewielka. (Uczeni od Bogomołowa mają światłe poglądy, podobnie jak słowianoznawcy są liberałami i demokratami, trzeźwo i wszechstronnie, bez zahamowań analizują przyczyny rosyjskich nieszczęść, ale porównanie ich prac z praktyką rządzenia świadczy, że ich wątłe głosy nie docierają do kręgów *włast' prederżawszich*, jak brzmi stary rosyjski termin.) A wydawane w mikroskopijnych nakładach, niedostępne w księgarniach, nie docierają niestety i do społeczeństwa.

Igor zapoznał mnie z kilkoma współpracownikami. Ciekawi ludzie, szerokie horyzonty, poglądy nie odbiegające od moich. Czy wszystko jest tam jednak tak różowe? Sporadyczny kontakt z mało znanym środowiskiem, z wybranymi ludźmi w obcym jednak kraju może łatwo prowadzić do uproszczonych sądów. Już w domu przeczytałem ciekawą broszurę, zapis „rosyjsko-ukraińskiego okrągłego stołu uczonych" w Odessie 23-24 maja 1996[2]. W czasie tego spotkania nie znany mi W.I. Dasziczew, dyrektor Centrum Badań Europejskich w Moskwie wygłosił mowę dość ciekawą. Pozwolę sobie na kilka symptomatycznych cytatów:

Mimo starań amerykańskich i zachodnich propagandzistów przedstawienia rozszerzenia NATO jako niczym nie grożącego Rosji, jasne jest, że jest ono skierowane przeciw Rosji i grozi jej interesom. [...] Reformy przeprowadzone przez drużynę Jelcyna wedle wskazówek Międzynarodowego Funduszu Walutowego doprowadziły do zniszczenia gospodarki Rosji i jej naukowo-technicznego potencjału. [...] Teraz wschodnioeuropejskie państwa zmuszone zostały stanąć w kolejce do kwatery sztabowej NATO w oczekiwaniu na

2. „Rossijsko-Ukraińskije Otnoszenija. Preemstvennost' i razwitie", Odessa 1996.

przyjęcie do sojuszu. Na czele kolejki – Polska, dla NATO najbardziej cenna z punktu widzenia położenia strategicznego i wpływów kół politycznych, orientujących się na Zachód i zarażonych „katyńskim syndromem".

I tak konsekwentnie dalej, przez cały referat. Dasziczew jednak nie uważa się za ekstremistę i chyba rzeczywiście nim nie jest, bowiem odrzuca o wiele badziej radykalne konkluzje moskiewskiego Instytutu Badań Obronnych. Ów Instytut ni mniej ni więcej proponuje:

po pierwsze – stworzenie antynatowskiego bloku wojskowego członków WNP;

po drugie – ponieważ Rosja teraz jest wielokrotnie słabsza w sferze wojsk lądowych, oprzeć się na broni jądrowej. Nacisk położyć na broń jądrową taktyczną, którą należy rozmieścić na Białorusi, w obw. Kaliningradzkim, na okrętach floty bałtyckiej, półwyspie Kola, w bazach wojskowych na Krymie i w republikach kaukaskich;

po trzecie – jeśli zostanie podjęta decyzja o przyjęciu do NATO republik bałtyckich – należy wprowadzić tam rosyjskie wojska;

po czwarte – w wypadku zerwania stosunków z USA Rosja ma do dyspozycji takie „przekonujące" argumenty, jak jądrowy potencjał rakietowy tudzież przekazanie broni jądrowej Iranowi, Irakowi i Libii, z którymi można zawrzeć sojusz wojskowy.

To jednak nie propozycje Dasziczewa a wojskowego instytutu badawczego. Dasziczew uważa propozycje te za nierealistyczne, głównie dlatego, że wysiłki na rzecz stworzenia bloku wojskowego Wspólnoty Niezależnych Państw nie mają szans powodzenia, nie tylko Ukraina, ale i państwa Środkowej Azji do takiego bloku nie zechcą przystąpić. (Zauważmy przy okazji, że inaczej niż w języku polskim, w rosyjskim używa się określenia *blok wojenny*, tak subtelność semantyczna). Warto jednak pamiętać i Dasziczewa jak i ów Instytut Badań Obronnych. Obawiam się bowiem, że tacy jak oni mają większy w chwili obecnej wpływ na rosyjską politykę niż rozważni, mądrzy profesorowie.

Skończmy jednak z Dasziczewem, przejdźmy do życiowej prozy. Instytut Bogomołowa boryka się z trudnościami, kiedyś dysponował dużym budynkiem w Nowych Czeriomuszkach, jest tam nadal, ale gnieździ się w jednym skrzydle, resztę podnajął bankom, przedsiębiorstwom. Z tego poniekąd żyje. A w ogóle główny problem nauk humanistycznych i społecznych to zapewnienie naukowcom nawet nie minimum egzystencji, ale czegoś bardzo skromnego, kromki chleba. Bo miesięczne pobory profesora to 400-500 tys. rubli, odpowiednik 47-63 $. Gdy byłem w Moskwie państwo zalegało z poborami za 3 miesiące. Wołkow był rozpromieniony, bo udało mu się akurat wydrzeć dla pracowników płace za jeden miesiąc. Jak można w tych warunkach żyć? Nie można. Przeżywszy wojnę w ZSSR wiem, że żyć musi się, więc się żyje. Ciężko mi było, gdy widziałem jak ludzie się męczą.

●

I jeszcze jedno spotkanie. Sasza, tak go nazwę, jest dużej miary naukowcem, co więcej – poinformowano mnie – jest, z racji jakichś tam powiązań, doradcą Jelcyna, Czernomyrdina i innych czołowych władców. Udałem, że o tym nie wiem, on udawał że nie wie, iż ja wiem. Nie ukrywał pesymizmu. Głównym źródłem nieszczęść – uważa – jest to, że upadek ZSSR nie był poprzedzony ukształtowaniem się społeczeństwa. Rosją praktycznie nikt nie rządzi, *vacuum* władzy jest przyczyną siły mafii, władzy równoległej. Polityczna scena Rosji jest chaotyczna. Partie polityczne bez ideologii, złączone w niewyraźne struktury wokół „opatrznościowych" wodzów. Jelcyn nie rządzi, utrzymuje się na szczytach administracji tylko z powodu braku alternatywy. Ludzie głosują na Żirinowskiego czy na komunistów nie z powodu jakiegoś spójnego programu, nadającego się do realizacji, ale z rozpaczy. – Ech, gdyby w Rosji byli tacy postkomuniści jak w Polsze, Josif! Zresztą Żirinowski – Sasza nie krył satysfakcji – traci wpływy, jak długo ludzie mogą cieszyć się błaznem?

Wasza prasa pisze dużo o antyamerykańskich i antynatowskich nastrojach w Rosji. Słusznie, frazes antynatowski zdaje się obecnie, z braku innego spoiwa, łączyć Rosjan. Nie zdajecie sobie natomiast sprawy, jak silne są teraz w Moskwie

nastroje antypolskie. Że zawsze były silne? Nie jak teraz. Ty obracasz się w Moskwie, jeśli nie w sferze zawodowych polonofilów, to przynajmniej intelektualistów, nie dostrzegasz, że w chwili obecnej Polska i Polacy są drugim takim spoiwem dla rosyjskiej przeciętności. Nawiasem mówiąc, w Moskwie nie istnieje żadne polskie *lobby* i nie widzę żadnych starań Warszawy by je stworzyć. Czy ma szanse? Nieważne, czy są szanse, ważne żeby montować jakieś organizacje działające na rzecz zbliżenia, przecież wieloletnie zapuszczenia nie zostaną naprawione od razu. Zauważ, polska prasa podnieca się antynatowskimi wypowiedziami w Moskwie, a nie dostrzega, że rosyjskie *veto* przeciw rozszerzeniu NATO ma przede wszystkim antypolskie ostrze. Bo rosyjska hegemonia w Europie Wschodniej stoi i pada wraz z rosyjskim wpływem w Polsce, takie jest rosyjskie przeświadczenie, zgadzające się z grubsza z tym, co i ty, pisałeś. Charakterystyczne – ciągnie Sasza – były kuluarowe rozmowy w kręgach Kremla w związku ze wspólnym oświadczeniem (XI 96) Polski, Ukrainy i Litwy na sytuację na Białorusi. Oświadczenie spokojne, zresztą w sytuacyjnym kontekście naturalne, przecież byłoby dziwne, gdyby w obliczu wydarzeń na Białorusi sąsiadujące z nią państwa nie zabrały głosu i nie przedstawiły swego stanowiska. A wiesz, jak to skomentowali ludzie skądinąd całkiem poważni? Że korzystając z naszej słabości Polska dąży do zajęcia pozycji starszego brata i hegemonii w Europie Środkowej czy Wschodniej.

Rozmowa z Saszą była dla mnie impulsem do rozmyślań. Myślę nie tyle o Rosji, co o Polsce i Polakach. W swoim czasie Wacław Lednicki pisał o (nie wymienionym z nazwiska) Becku, że ten czułby się najlepiej, gdyby Rosji w ogóle nie było. Ale nawet jeśli Rosja istnieje, to nie stanowi ona dla niego kłopotu, bo można przecież zachowywać się tak, jak gdyby nie istniała. To ponad pół wieku temu, ale i teraz niemal codziennie trafiają mi się wielosłowne publikacje, których autorzy zdają się być tego samego zdania. Ta erupcja słów, wiara w ich magiczne działanie, ich przewaga nad działaniem, to chyba nieuleczalna choroba nadwiślańska. Rosja jednak – chcemy lub (jak Beck) nie chcemy – istnieje i istnieć będzie. Osłabiona, nadal jest potęgą i nie zanosi się, by przestała nią być. I trzeba mieć na względzie nie tylko

istnienie Rosji, ale również narodu, ponad stumilionowego narodu, z którym będziemy musieli znaleźć sposób na współpracę w coraz ciaśniejszej Europie. Jak współżyć w tak niełatwej sytuacji, gdy tylu Rosjan widzi w Polakach przeszkodę na drodze do świata, gdy Polacy, nawet życzliwi dla Rosjan, główne zagrożenie dla siebie widzą w niestabilnej Rosji? Jeśli są słowa, które jątrzą, to chyba są i takie, które działają uspokajająco. Polska polityka zagraniczna jest na ogół rozsądna, co ciekawe, nawet niezależnie od tego jakie ugrupowanie desygnuje rząd i szefa dyplomacji, ale jątrzy paplanina prasy, zwłaszcza prawicowej i TV. I ta nieumiejętność odróżnienia zmieniających się władców od narodu. Wydaje się, że wielu ludzi w Polsce nie potrafi dostrzec, że Stalin mordował nie tylko Polaków.

Czy nie można uprawiać polityki konsekwentnie akcentując i to na każdym kroku, że czas hegemonów w Europie się skończył, że Polska dąży do ułożenia stosunków bez „starszych braci"? Że to już mówiono dziesiątki razy i że do tego polska polityka dąży? Wiem, mówiono i nadal się mówi, ale widocznie trzeba to powtarzać ciągle, wciąż, na każdym kroku i we wszystkich metajęzykach! I nie tylko wobec Rosjan, ale i na użytek wewnętrzny, tak by to wreszcie zrozumiały telewizyjne pampersy! Działanie na rzecz polskiego *lobby* w Moskwie winno być jednym z głównych zadań polskiej polityki. Czy coś się robi w tym kierunku? Obawiam się, że nic, że nawet nie dostrzega się takiej potrzeby – do takiego wniosku prowadzi obserwacja kilku nominacji w ambasadzie i wokół niej. Odniosłem wrażenie, że robi się – w sferze co prawda pozadyplomatycznej, ale przecież politycznej – dużo, by istnienie takiego *lobby* uniemożliwić. Przecież Rosja nie zniknie z mapy świata tylko dlatego, że tego chcieliby niektórzy rodacy.

Józef LEWANDOWSKI

Kraj

Referendum, pielgrzymka, lato i wybory

Konstytucja została zatwierdzona w referendum i byłaby już ogłoszona w *Dzienniku Ustaw*, gdyby nie ok. 300 protestów przekazanych do rozpatrzenia Sądowi Najwyższemu, który dotąd uporał się z 60-ma, przyznając rację tylko jednemu skarżącemu (chodziło o unieważnienie jednego głosu, co oczywiście nie ma istotnego wpływu na wynik głosowania krajowego). Większość skarg, to pretensje o zbyt małą frekwencję (42,86%). Ich podstawą ma być art. 19 p. 3 tzw. małej konstytucji: „Jeżeli w referendum wzięła udział więcej niż połowa uprawnionych wynik referendum jest wiążący". Jak widać, artykuł ten nie stanowi bynajmniej, iżby niższa frekwencja oznaczała odrzucenie wniosku. Natomiast ustawa o trybie przygotowania konstytucji, również mająca rangę konstytucyjną, przewiduje, że projekt ustawy zasadniczej zatwierdza się w referendum większością głosów bez względu na frekwencję. Innymi słowy, podstawa prawna tych skarg jest dęta, co widać gołym okiem.

Wiarą w bezstronność sędziów mocno ostatnio zachwiał wyczyn Trybunału Konstytucyjnego, który już przed przybyciem Jana Pawła II zrobił papieżowi prezent uznając za niekonstytucyjne złagodzenie ustawy antyaborcyjnej (dopuszczalność aborcji ze względu na „ciężkie warunki życiowe lub trudną sytuację osobistą kobiety"). Pisemne uzasadnienie dopiero teraz (11 czerwca) wpłynęło do Sejmu, nie chcę więc pozbawić czytelnika przyjemności poznania pełnego wywodu, zastępując go dziennikarskim streszczeniem ustnego streszczenia w wykonaniu prezesa TK. Zdradzę natomiast tajemnicę

Trybunału: orzeczenia przyjęto większością 7:5, z tym że trzech sędziów zgłosiło *vota separata*, wpisując się tym samym po nazwisku do rejestru sług szatana. Prawnicy w Warszawie nie mają wątpliwości, że TK dokonał samowolnej nadinterpretacji i przepisów konstytucyjnych, i tekstu kwestionowanej ustawy oraz przyznał sobie prawo do filozoficznych i metafizycznych rozważań o sensie terminów „życie ludzkie" i „człowiek". Tyle tylko, że prawnicy gotowi są go za to wielbić, co przypomina wszystkim starą prawdę, że na polu walki trudno o obiektywizm, bezstronność i... państwo prawa. Prof. dr hab. Hanna Świda-Ziemba, filozof, niewierząca (jak się sama określa) rozpacza: „...Trybunał stracił dla mnie cały prestiż. Aby Trybunał Konstytucyjny mógł cieszyć się autorytetem – muszą w nim zasiadać ludzie, dla których najwyższą normą jest pełna bezstronność, niezależna od politycznych fluktuacji i poglądów osobistych (...) Ostatnie orzeczenie Trybunału – który miał być bastionem bezstronności – sprawiło, że uformował się we mnie stan podobnego wyobcowania i zagrożenia, jakie towarzyszyły memu życiu w PRL (...) Przewiduję natomiast, że ewentualne przyszłe rządy Akcji Wyborczej „Solidarności" popierającej integrystyczne tendencje Kościoła katolickiego demonstrujące nietolerancję dla inaczej myślących (obserwując dodatkowo kłamstwa bez skrupułów serwowane przez to ugrupowanie ludziom – na temat uchwalonej przez Zgromadzenie Narodowe Konstytucji) wiązać się będzie z lękiem i konformizmem w społeczeństwie, a równocześnie z eliminacją i ostracyzmem wobec ludzi o podobnych do moich poglądach (...)" (tekst listu w *Gazecie Wyborczej* 11 VI). Zacytowałem obszernie, ponieważ list pani profesor dobrze ilustruje nastroje w tych inteligenckich środowiskach laickich, które wpisuje się w tradycje Ossowskich i którym ...jeszcze na czymś zależy. Nie jest to wesołe, ale – i tu kończę długą dygresję – nie sądzę, by przykład Trybunału Konstytucyjnego miał znaleźć naśladowców w Sądzie Najwyższym. Referendum konstytucyjne nie będzie unieważnione. Jego wynik był z pewnością ciężką kleską prawicy i wspierającej ją hierarchii kościelnej, zwłaszcza zważywszy na nakład emocji i temperaturę argumentów, nie był natomiast, ze względu na stosunkowo niską frekwencję, taką mniej więcej jak w wyborach

parlamentarnych, zbyt przekonującym sukcesem czteropartyjnej „koalicji konstytucyjnej". Okazało się więc, że sprawy nie były tak proste, jak sobie wyobrażali przeciwnicy konstytucji, ani tak wiekopomne jak sobie pochlebiali jej autorzy. Wielu wyborców mając do czynienia ze skomplikowanym produktem pracy legislacyjnej i piętrowych kompromisów nie miało ochoty dopowiadać, „tak" bądź „nie". Zarazem obywatele młodego państwa nie mieli bynajmniej poczucia, iżby konstytucja była czymś tak bardzo doniosłym. Dlaczegóż by mieli mieć to poczucie? Czyż którykolwiek przełom, jakich pokolenia Polaków zaznały aż nadto, był związany z uchwalaniem konstytucji? Wchodziły wojska, wychodziły wojska, zmieniały się ustroje, ale ustawy zasadnicze bywały przecież tylko nalepkami na faktach, a kiedy raz w dziejach (3 Maja) zdarzyło się, że miano fakty kreować, to fakty nie zdążyły. Zresztą w innych krajach prawdziwe ogólnonarodowe dyskusje konstytucyjne toczą się przy uchwalaniu w konkretnych sprawach pojedynczych poprawek do konstytucji znanych i wypraktykowanych, natomiast całkiem nowe konstytucje, stanowiące o nowym ustroju państwa bywają dziełem rewolucji bądź przewrotów, są więc albo wytworem powszechnego rozbudzenia społeczeństwa, albo wprost przeciwnie, są mu narzucane z góry. Tak czy inaczej, nie ma wtedy problemu z frekwencją.

Wniosek z tego taki, że wynik referendum był ...prawidłowy. Do prawidłowości życia politycznego w Polsce należy bowiem i to, że politycy mają słaby wpływ na wyborców, nawet własnych, słabszy niż im się wydaje, kiedy oglądają siebie samych w telewizji.

Zaraz potem przyjechał papież.

1.

Pielgrzymka papieska była obszernie relacjonowana w prasie i programach telewizyjnych, m.in. w Telewizji Polonia, a wydawnictwo „Znak" w dzień po zakończeniu wizyty wydało w książce komplet przemówień i homilii wygłoszonych przez Jana Pawła II. Mogę tylko dodać, że tak solidnej oprawy informacyjnej nie miała chyba żadna z poprzednich pielgrzymek papieskich w Polsce. Papież też na to, z uznaniem zwrócił uwagę.

Wyłącznie polityczne sprawozdania i komentowanie wystąpień głowy Kościoła katolickiego jest zawsze spłaszczaniem rzeczywistości, tym razem byłoby jednak wprost niemożliwe: tak duży dystans wobec polityki utrzymywał i wręcz afiszował papież. Politycy liczący na pochwałę i wsparcie obeszli się smakiem. Było to, oczywiście, szczególnie przykre dla ludzi AWS i ROP, którzy dopiero co skorzystali z poparcia episkopatu w kampanii konstytucyjnej i mieli nadzieję, że papież doda im otuchy i zachęci do wytrwania na słusznej drodze: „wszak wybory za trzy miesiące. Ale papież nie powtórzył sławnego „tak trzymać i nie popuszczać" sprzed kilku miesięcy w Rzymie (do pielgrzymki solidarnościowców) i ograniczył się do ogólnikowego „Sursum corda", które każdy mógł wziąć do siebie, i które nie padło w ogóle w kontekście nadającym się do politycznej interpretacji. Jeśli Aleksander Kwaśniewski mniej się rozczarował, to chyba tylko dlatego, że niewielkich oczekiwał prezentów. Wprawdzie w przemówieniu powitalnym sugerował, że dobrze byłoby, gdyby dostojny gość zechciał się przyczynić do obniżenia temperatury konfrontacji politycznej w Polsce, ale w istocie zadowolił się zapewne tym, że papież rzeczywiście ani jednym gestem czy słowem nie zaogniał sporów. W przemówieniu pożegnalnym znalazło się nawet zdanie o „zmianach zachodzących w Ojczyźnie" i serdeczne za to „gratulacje" oraz taki akapit:

„Oczywiście, jest też wiele problemów, które domagają się rozwiązania. Jestem przekonany, iż Polacy znajdą w sobie dość mądrości i wytrwałości w budowaniu Polski sprawiedliwej, która gwarantuje godne życie wszystkim swym obywatelom, Polski, która umie się jednoczyć wokół wspólnych celów i wartości podstawowych dla każdego człowieka".

Jak widać, nikt nie mógłby zapisać tych słów na własne konto, ale też nikt nie został nimi wykluczony z polskiej jedności. A ekskluzje są dziś specjalnością prawicy.

Sądzę, że główną intencją pielgrzymki było uporządkowanie spraw Kościoła, całej wspólnoty katolickiej w Polsce przede wszystkim w sensie skierowania jej energii bardziej na życie społeczne, w tym na rozwijanie całej sieci stowarzyszeń katolickich, nie zaś na stosunki z państwem, z władzą, na politykę. Nie było w ogóle mowy o konkordacie. O ochronie „życia nie narodzonego" mowa była w Kaliszu w apelu skierowanym „do wszystkich ludzi, nie wyłączając nikogo" – i w Krakowie na spotkaniu z lekarzami, którym papież dziękował za postawienie prawa boskiego ponad ludzkim i odmowę wykonywania aborcji, nawet u kobiet zgwałconych (zabiegi dopuszczone w poprzedniej ustawie). Jeden apel brzmi bardzo ekumenicznie, drugi twardo i dogmatycznie, ale oba skierowane były właśnie ku ludziom i ich stowarzyszeniom, nie zaś ku państwu, parlamentowi czy sądom. Implikowały nie zmianę ustawy, ale jej zlekceważenie, co przypomina, że „społeczne" zamiast „państwowego" nakierowanie wspólnoty katolickiej nie jest bynajmniej jakimś rozmiękczeniem doktryny.

Za postulowaną korektą nastawień Kościoła i jego energii kryje się odmienna topografia zagrożeń. Pamięć w homiliach papieskich ma znaczenie kulturotwórcze, wiąże się z tożsamością narodu i wspólnot ludzkich, nigdy natomiast nie jest narzędziem rewanżu czy lustracji. Zaznaczam tę pozorną oczywistość, ponieważ politycznym wielbicielom Jana Pawła II w Polsce jest ona najzupełniej niedostępna. Papieża jako głowę Kościoła obchodzą zawsze zagrożenia aktualne, nie zaś resztki dawnych. Polsce nie zagraża recydywa komunizmu czy totalitarnego państwa. Polska jest zagrożona duchowo przez liberalną cywilizację, egoizm konsumpcji. Do chłopów w Dukli papież apeluje: „Nie dopuśćcie aby wam odebrano waszą chrześcijańską godność – bo próbuje się to robić! Świat pełen jest zagrożeń. Docierają one poprzez środki przekazu także do polskiej wsi. Twórzcie kulturę wsi, w której obok nowych wymiarów, jakie niosą czasy, pozostanie – jak u dobrego gospodarza – miejsce na rzeczy stare, uświęcone tradycją, potwierdzone przez prawdę wieków".

W topografii zagrożeń rozpoznawanych przez papieża w roku 1997 nie było w zasadzie nic, czego nie mówił już przedtem, może tylko akcenty były mocniej stawiane wobec zbliżających się terminów akcesu Polski do struktur zachodnich, zwłaszcza do Unii Europejskiej. Zapewne dlatego papież tak bardzo nalegał na chrześcijański wymiar jedności europejskiej i wkład do niej Polski i polskich dziejów. Stąd wybór św. Wojciecha i św. Jadwigi. Nie zawsze brzmiało to szczęśliwie. Dziękował papież Bogu „za twoją mądrość, Jadwigo, za to, żeś rozeznała zamysł Boży nie tylko w stosunku do swego własnego powołania, ale także w stosunku do powołania na-

rodów: naszego dziejowego powołania i do powołania Europy, która za twoją sprawą dopełniała obrazu ewangelizacji na własnym kontynencie, żeby potem móc podjąć ewangelizację innych krajów i kontynentów na całym świecie..." A przecież ta „misja ewangelizacyjna" była zarazem podbojem i zniewoleniem, często rzezią i czasem eksterminacją... W aktualnym procesie zjednoczeniowym nie będzie to przykład chętnie przywoływany.

Jest możliwe, że nadmierna aktualizacja Żywotów Świętych, związana z chęcią wydobycia z nich jak najwięcej nauk i pouczeń, czyni takie potknięcie nieuchronnym; potknięcie, bo nikt przecież nie sądzi, że papież pochwala zbrodnie konkwistadorów. Ale rzecz ma szerszy aspekt.

Wśród wszystkich zagrożeń, na które głośno Jan Paweł II wskazał Kościołowi i wiernym w Polsce, nie było zagrożenia nacjonalizmem czy zacietrzewieniem religijnym. Owszem, wiadomo, czy też raczej przypuszcza się, że zalecił episkopatowi wzięcie w ryzy Radia Maryja – zapowiedział to otwarcie zaraz po wyjeździe papieża sekretarz episkopatu, bp Pieronek (który *nota bene* udzielał papieżowi ostatnich informacji przed odlotem z Watykanu i którego „linię" poprzednio odrzuconą przez episkopat, papież zatwierdził). Z tego jednak, co słychać, bp. Pieronka (i zapewne papieża) niepokoją raczej zbyt bezwzględne zaangażowania polityczne ks. Rydzyka, nie zaś szowinistyczne, endeckie z ducha treści, które przekazuje zarówno Radio Maryja jak i rozmaita prasa diecezjalna z tygodnikiem *Niedziela*.

Była już mowa o niezaspokojonych pragnieniach prawicy i nie całkiem spełnionych nadziejach Aleksandra Kwaśniewskiego. Ale naprawdę zawiedzeni papieską wizytą są katoliccy liberałowie z Unii Wolności i okolic. Po bejruckim wystąpieniu Jana Pawła II spodziewali się poświęcenia przez papieża więcej uwagi niebezpieczeństwu nacjonalizmów w Polsce i w Europie Wschodniej, nie tylko w polityce ale przede wszystkim w mentalności, jako groźnemu produktowi rozkładu komunizmu. Nie doczekali się. Nadto jako liberałowie nie byli też zachwyceni ostrzeżeniami przed „pokusą wyzysku" i pragnieniem „natychmiastowego zysku", jakie papież skierował do polskich pracodawców.

Jest ze wszechmiar znamienne dla sytuacji w Polsce, kraju

„Solidarności" (!), że społeczna nauka Kościoła, którą Jan Paweł tak stara się ożywić („*Laborem exercens*"), jest obecna w przemówieniach polityków i na seminariach u dominikanów, ale jej wpływ nie wykracza poza rytualne wzmianki. W rozumieniu hierarchii problem sprowadza się w praktyce do działalności charytatywnej. Natomiast w rozumieniu polityków, którzy posługują się tym terminem, „społeczna nauka Kościoła" jest tym, co oni sami aktualnie stosują lub czego się domagają w polityce ekonomicznej. Jedyne bardziej konkretne użycie tego określenia w dyskursie politycznym, z jakim spotkałem się w tym roku, to opinia, że społeczna nauka Kościoła nakazuje najwyższą ostrożność w stosunkach z Unią Europejską (PSL)!

Refleksja na marginesie

W Europie Zachodniej nie brak poważnych i bynajmniej nie nostalgicznych sił politycznych, które starają się skorygować dzisiejszy kształt Unii Europejskiej tak, aby „Europie społecznej" przyznać pierwszeństwo przed bankierską i monetarystyczną. Wystarczy pobieżna analiza, aby zauważyć zbieżność tych postulatów z wieloma tezami społecznej doktryny kościelnej, również tymi, które przypomniał papież w Legnicy i Gorzowie. Ale cóż, polscy katolicy są albo liberałami ze „szkoły" Balcerowicza, albo „katolikami narodowymi" z ROP i AWS. „Europę społeczną" pierwsi odrzucają z miejsca ze względów doktrynalnych, drudzy zaś dlatego, że hasło to lansują „różowi", zwłaszcza szczególnie podejrzani socjaliści francuscy. Kiedy Jospin wygrał wybory, w warszawskich salonach politycznych liberalnych i opozycyjnych wzdychano z niedowierzaniem nad francuską nieodpowiedzialnością. Wiadomo, czerwoni i zepsuci.

3.

Otrzymałem egzemplarz datowanego „Warszawa, maj 1997 roku" dokumentu pt. „Program Akcji Wyborczej 'Solidarność'". Po zadeklarowaniu, że celem jest zbudowanie „Prawej Polski, Rzeczpospolitej XXI wieku", która ostatecznie zerwie z komunistyczną przeszłością, autorzy programu obiecują wszystko wszystkim, a nadto „ograniczenie wysokości podatków". Źródeł finansowania tej wszelkiej obfitości nie

wskazuje się niemal wcale. Owo „niemal" dotyczy dwóch wyjątków: „środków z monopolu loteryjnego" i „usunięcia barier na rynku sztuki" jako sposobów zasilania kultury oraz „uruchomienia wszelkich możliwych (!) środków, w tym kredytów krajowych i zagranicznych" na „narodowy program budownictwa mieszkaniowego".

Jest oczywiste, że taki tekst (14 małych stroniczek) nie nadaje się w ogóle do dyskusji, jest rodzajem „Manifestu Majowego AWS". Marian Krzaklewski obiecuje za to, że w sierpniu ogłaszać będzie sukcesywnie projekty ustaw, które zaraz po wyborach AWS wniesie pod obrady parlamentu. Taki rozkład czasowy kampanii może istotnie okazać się owocny: powstanie wrażenie konkretyzacji obietnic, choć rachunku ekonomicznego nie będzie nadal... Ale nie przesądzajmy wydarzeń. Jak dotąd, z programu AWS wynika tylko tyle, że zrezygnowano z głośno kiedyś zapowiadanego pomysłu, że wszystkie dobrodziejstwa sfinansuje się konfiskatą postkomunistycznego majątku. Dzięki temu program AWS jest samą słodyczą i nikogo nie przestraszy, ale za to nie ma nawet pozorów realizmu.

Atoli KPN nie pochyla głowy i wnosi już do Sejmu pierwsze projekty „lustracji gospodarczej": kampania wyborcza AWS będzie mieć różne kolory tęczy.

Warszawa, 14 czerwca 1997

Krzysztof WOLICKI

Z ukosa

W Zamku Królewskim spotkanie Szymborskiej z Miłoszem, i Miłosza z Szymborską. Wszyscy przewidywali że będzie to wielkie wydarzenie, bo oto dwa największe polskie sukcesy artystyczne z drugiej połowy tego wieku będą ze sobą rozmawiać. Przed spotkaniem, osoby bliskie laureatom miały pewne obawy wynikające z faktu, że Szymborska bardzo nie

lubi publicznie mówić i najlepiej się czuje, kiedy publicznie milczy. A Miłosz, który lubi publicznie mówić i jest w świetnej formie, nie najlepiej słyszy, co nie przeszkadza monologowi, ale utrudnia dialog. Złowieszcze znaki zostały zlekceważone, a sala kapiąca od luster i złota, pełna była polskiej elity, która czekała na historyczne wydarzenie.

Laureaci pojawili się w asyście licznych, zbyt licznych, fotoreporterów. Chór żeński odziany w zielone szaty zaintonował pieśń po łacinie. Laureaci zostali ustawieni naprzeciw dwóch krzeseł i wydani na łup fotografów. W błyskach niezliczonych fleszy, w śpiewie anielskim wydawali się być wniebobrani. Szymborska cierpiała, marząc by się zdematerializować, gdy Miłosz godnościowo się nasrożył. Trwało to wystarczająco długo by nawet silny organizm nadwerężyć, ale laureaci przetrwali próbę flesza i ponownie unoszeni skrzydłami chóru, zbliżyli się do zabytkowego stolika pełnego mikrofonów. Główki tych mikrofonów przypominały głowy węży. Dwa krzesła dostojnie czekały.Wtedy wyłonił się problem, kto po której stronie siedzi, „to ty tu, a ja tu, nie ja tu ty tu, ja tam ty tu..." Z tego dialogu, pomyślałem, powstanie wiersz nie w stylu Miłosza lub Szymborskiej, raczej w tonacji Białoszewskiego. I tak laureaci dreptali to tu, to tam, nie mogąc podjąć decyzji. Zdecydowała się laska Miłosza i upadła.

Potem swój jad ujawniły mikrofony, nie działały. Miłosz źle słyszał, dwoje prowadzących pogrążało się coraz głębiej w bezradności i w rozpaczy. Niesłusznie. Był to najlepszy niemy film gagowy jaki od lat widziałem.

Nie twierdzę, że we fragmentach słyszalnych nie padły słowa ważne, czy nawet frazy istotne dla naszej kultury, ale ich nie pamiętam. Zapamiętałem, jak Szymborska nagle milknie, rozgląda się jakby zgubiła torebkę. I mówi z rozpaczą „zgubiłam wątek". Na sali ogólne poruszenie, ale nikt zgubionego wątku nie znalazł, może nie śmiano go zwrócić, może ktoś go sobie zostawił na pamiątkę?

„Co za brak profesjonalizmu" – mówi mi potem Janusz Głowacki, prosto z New Yorku. A ja mu na to: „i całe szczęście, jakie to byłoby nudne w twoim Nowym Jorku, a tu bawiłem się jak nigdy".

W finale było przyjęcie, a kelner wielkim nożem kroił coś, co mój pusty żołądek rozpoznał jako wielki tort, a co

okazało się niestety tylko wielką kanapką wielkości kanapy. I nagle straszna myśl – gdyby kelner tym nożem ugodził w naszych noblistów i pozbawił ich życia, przeszedłby do historii literatury, a nie przejdzie do niej nikt z setek niezwykle godnych gości tej elitarnej debaty.

Wracam w promieniach tego spotkania do domu, a przed nim mafia z mojej dzielnicy grzeje się na słońcu w towarzystwie okolicznych pijaczków, którzy w chwilach względnej trzeźwości świadczą im różne usługi. Mafia stoi przy swoich limuzynach, gardłuje. Bardzo są pewni siebie i bardzo z życia zadowoleni. Rządzą się naprzeciw wielkiego gmachu MSW, gdzie mnie kiedyś wwieźli w kajdankach. Teraz pracownicy tej twierdzy są moimi sojusznikami, ale bynajmniej nie mam poczucia by zagrażali mafii. Do towarzystwa przyłączył się sąsiad, pijany w dym, który od lat umiera na raka, i od lat mi proponuje abym jako pisarz zrobił z jego umierania książkę. Jak mu elegancko wyjaśnić, że każdy prędzej czy później będzie miał swoje umieranie, ja wiem, że w tej chwili jego właśnie jest najważniejsze, ale gdyby z każdego umierania robić książkę, to świat by umarł od nadmiaru złych książek o umieraniu.

Jestem na otwarciu warszawskich Targów Książki w Teatrze Dramatycznym. Za wiele przemówień, zła muzyka, po prostu amatorstwo. Mowę wygłasza Basia Labuda, dzisiaj minister Kancelarii Prezydenta Kwaśniewskiego, kiedyś bohaterka wrocławskiego podziemia. Jest ostrą feministką, a każde ostre uproszczenie świata powoduje, że dokonuje się uproszczonych wyborów. Stanęła niedawno po stronie tych, którzy wydali jej się bardziej liberalni. Ze sceny otwarcia Targów, mówiła jednak rzeczy kuriozalne. Przypominając wielkie zasługi drugiego obiegu, wsadziła go w ramiona prezydenta Kwaśniewskiego, że niby prezydent ogromnie ceni, zawsze cenił, niewiele brakowało abyśmy się dowiedzieli, że prezydent kiedy był dygnitarzem PZPR współpracował z podziemiem jako kolporter. Labuda komplementowała też ministra kultury Zdzisława Podkańskiego, który chwalony mościł się w fotelu. Potem bardzo z siebie zadowolona usiadła obok ministra i wymieniała z nim pieszczoty. W końcu wystąpił sam Podkański. Doprawdy ogromnie trudno byłoby na ministra kultury znaleźć człowieka równie mało kulturalnego. Ten brak nie jest jego winą. Tylko jak można było dokonać takiej nominacji? Potem nasza dzielna Basia szła korytarzami pełnymi ludzi, a jak spotykała kogoś, co kiedyś był w podziemiu, to mówiła: „ale was pochwaliłam, słyszeliście?". Ja niestety słyszałem. Co za brak smaku i taktu. Ludzie doprawdy w Polsce powariowali. Z nienawiści do prawicy narodowej, albo z nienawiści do postkomunistów, porobiły się dwa typy wariactwa.

Po latach dzwonię do Andrzeja Drawicza. On też przelazł na tamtą stronę i ma posadę u prezydenta. Od lat z nim nie rozmawiałem. Dziwię się, że tam poszedł, ale nie potrafię go nie szanować, pamiętam jego odwagę przed i po stanie wojennym, sam ją kilka razy testowałem. Jak łatwo dzisiaj zapomina się o dawnej odwadze ludzi, byle co ją wyciera jak datę ze szkolnej tablicy. Decyzja Drawicza by publicznie pracować dla postkomunistów, nawet jeśli dla mnie niepojęta, też świadczy o jego odwadze. Mówię, że chciałbym się z nim spotkać, porozmawiać, zrozumieć. Umawiamy się. Nazajutrz w radiu słyszę, że nagle umarł.

Na cmentarzu jestem w innej sprawie. Spotykam wśród spokojnych grobów bardzo niespokojnego obywatela, biega tam i z powrotem jak opętany i klnie na polski naród. Okazuje się, że na grób przyjaciela przyniósł piękne kwiaty, odszedł na kilka minut, a kwiaty ktoś ukradł. Zbierają się wokół jego nieszczęścia wdowy, kobiety cmentarnie doświadczone i nie mogą się nadziwić, jak dzisiaj człowiek może być tak naiwny i zostawiać kwiaty nie malowane. Kwiaty przeznaczone na groby maluje się olejną farbą, najlepiej łodygi, ale płatki też można skropić. Jedna z kobiet pokazuje takie skropione kwiaty, mówi z dumą: „takich to już nikt nie sprzeda". Inna kobieta komentuje: „takie czasy". Ale pokrzywdzony mężczyzna jest uparty, mówi: „co za naród", biedak nie może dojść do siebie. Niewiasta ma jednak swój upór: „nie naród, a czasy".

Naród czy czasy? Oto jest pytanie. Czy rozstrzygniemy je na powązkowskim cmentarzu? Jednego jestem pewien, to jest najładniejsza dzielnica Warszawy.

A jednak gdy wiosna uderzyła w nas obuchem, obudziliśmy się półprzytomni w nowym mieście. Bo w stolicy

jest wiele drzew, które są piękne, dlatego w lecie miasto ma inne oblicze. Ale i bez drzew Warszawa z każdym rokiem zyskuje, bardzo wiele się buduje, może nie tak ładnie jak powinno, to jest niestety architektura europejska z drugiej ręki, ale oprawa z drzew rekompensuje braki. I jednak tak wiele zmienia się na lepsze. Zachodzę na Uniwersytet, aby obwąchać stare kąty. Jak tu wyładniało, kawiarnie, schludne skwerki, aż mnie zabolało serce, że za czasów moich studiów tego nie było. Celebruje ten nowy wystrój mój syn, więc nie mam poczucia straty. Młodzież ładna, świetnie ubrana, roześmiana. Europa już nie pełną gębą, a pełną twarzą.

Im bardziej zbliża się referendum w sprawie nowej konstytucji uchwalonej przez Zgromadzenie Narodowe, tym bardziej jej przeciwnicy ją demonizują. Mówi się o kolejnym rozbiorze Polski. Kościół, który miał nie angażować się w referendum, konsekwentnie się nie angażuje, jedynie episkopat wydaje komunikat gdzie jest zdanie: „Uwzględniając historyczne znaczenie tego aktu, wzywamy wszystkich do podjęcia w sumieniu decyzji wyrażającej odpowiedzialność przed Bogiem i historią, ponieważ tekst Konstytucji budzi poważne zastrzeżenia moralne". Prymas Józef Glemp też się nie angażuje tylko pyta: „Dlaczego nas ogarnia lęk przed nową Konstytucją? Jest to lęk przed manipulacją". Arcybiskup Józef Michalik, też nie zajmuje stanowiska tylko mówi: „Chrześcijanin nie może tej Konstytucji przyjąć". Biskup Paweł Socha, oświadcza: „Absencja w referendum konstytucyjnym będzie aktem Piłata" itd. itp. Tak oto Kościół polski nie zaangażował się po żadnej stronie w sprawie referendum.

Polska została przy okazji zasypana oświadczeniami prawicy, które mają narodowi uświadomić co mu grozi. W swoich drzwiach zastałem ulotkę jakiegoś prawicowego tworu, a w niej Piotr Jaroszyński ujawnia, że: „Oficjalne prace nad przeforsowaniem projektu konstytucji trwały bardzo krótko, ale ukryty scenariusz tych prac przygotowywany był długo i misternie, i nie kilka miesięcy, lecz prawdopodobnie lat. Całości zaś przyświecał jeden cel: zachować kierunek prowadzonej polityki grabieży Polski... (...) to wszystko co widzimy na zewnątrz jest tylko teatrem, a to co znajduje się wewnątrz napawa grozą i przerażeniem". Konkluzja tych spis-

kowych a przydługich wywodów jest taka, że jeśli w referendum wybierzemy konstytucję, to „postkomuniści zdążą jeszcze przed nowymi wyborami dokonać aktu rozbioru Polski". W finale autor woła: „prawico zjednocz się dla Polski!"

Unia Wolności coraz mocniej popiera projekt konstytucji, ale jest tak przerażona, że idzie ramię w ramię z postkomunistami, że zaraz wali w nich jak w bęben. Ten zabieg jest w swoim dramatyzmie bardzo sztuczny. Prawda jest taka, że państwo polskie dosyć źle funkcjonuje, ale zarazem i funkcjonuje zaskakująco dobrze. W tym państwie jest wiele zaniedbań i zaniechań, za wiele rzeczy odpowiedzialni są postkomuniści, ale za zaniedbania i zaniechania jest też odpowiedzialny rząd Mazowieckiego, oraz rządy następne. Są odpowiedzialni choćby za to, że na kilku ulicach nie mogę znaleźć czynnego automatu telefonicznego, to brak prywatyzacji polskiej telekomunikacji, wina zbiorowej nieudolności kolejnych ekip, nie tylko ostatniej. W sumie jednak nie można mówić o jakiejś wielkiej kompromitacji postkomunistów jako ekipy sprawującej władzę. Niestety, a może jednak dla Polski, na szczęście. Prawdziwym nieszczęściem Polski jest nie siła postkomunistów, ale słabość mózgowa polskiej prawicy.

No i mają czego chcieli. Kość konstytucji walnęła nasz Kościół i postendecję w głowę. Bo naród jednak powiedział tak, szedł opornie do referendowych urn, głosowało tylko niewielu. Nie rozumiem jednak biadolenia specjalistów i polityków, że ta frekwencja jest haniebnie niska. Biorąc pod uwagę okoliczności towarzyszące, ślimaczenie się tej konstytucji, otorbianie jej histerią, głupim gadaniem, i owo trafne poczucie, że i bez konstytucji demokracja u nas będzie funkcjonować nie lepiej, nie gorzej, to frekwencja nie była taka niska. Potwierdziło się, że wierni nie słuchają Kościoła. I że jest wyraźny podział na dwa obozy, a postkomuniści chociaż coraz mocniej osadzają się w siodle europejsko-liberalnym, mogą mieć poczucie, że sprawę konstytucji wygrali, ale też przegrali, bo okrzepli ich przeciwnicy. Widać jak na dłoni, że przegrali wszyscy. A tu wszyscy właśnie mówią, że wygrali. Ja już naprawdę nie wiem, jak trzeba w Polsce przegrać, aby trzeba było się do tego przyznać.

Prymas komentując wyniki referendum, mówi o konstytucji, która „została jakoś sklecona, a większość ją jakoś po-

parła". Niesmak wobec polskiego narodu jest widoczny w obliczu Prymasa. Coraz jest bardziej oczywiste, że polski naród nie zasłużył na taki mądry Kościół i patriotyczną prawicę, nasz naród nie dorósł.

W telewizji dyskusja o uchwalonej konstytucji, po jednej stronie prof. Bronisław Geremek z Unii Wolności, po drugiej Jarosław Kaczyński, stary prawicowy lis. Jest tak czujny i sprytny, że potrafi przechytrzyć siebie samego. I pomyśleć, że to jeden z mądrzejszych i trzeźwiej myślących polityków prawicy, dlatego jest w AWS-ie odsuwany. Ale tak naprawdę to martwi mnie Bronisław Geremek. Wszystko co mówi jest niezwykle inteligentne i trafne, problem j a k mówi. On wygłasza kazania, pół szeptem, a w tym szepcie słowa zdumiewająco wyciągają się, więc on nie mówi a śpiewa, co układa się w jakiś zdumiewający, intelektualny lament. Gdy z kolei mówi Tadeusz Mazowiecki to między jego słowa można wkładać grube książki, tyle tam jest miejsca. To jest problem Unii, partii, której Polska potrzebuje jak nigdy – brak energii i autentyczności słowa, mimo że te słowa są tak ładnie ubrane i zawsze noszą garnitury i krawaty. Najlepszy jest w tym salonie Leszek Balcerowicz. Spotykam go na koncercie i udaje nam się nie powiedzieć jednego słowa o polityce, to jest wyczyn. A podziały w Polsce zaczynają mieć dynamikę psychopatyczną, co zresztą sygnalizuję od dłuższego czasu. Biedni obywatele, którzy mają lęk przestrzeni. Człowiek spotyka człowieka, stają naprzeciw siebie, a tu nagle między nimi przepaść.

Nagły najazd przyjaciół ze świata, Tel-Awiw, Moskwa, Los Angeles. Jakby zeszła na mnie lawina myśli i słów z odległych gór wielkiego świata.

Znany krytyk z Tel-Awiwu mówi oczywiście po polsku. Dzielimy się uwagami o podobieństwach polsko-izraelskich, jego też to uderza. Poruszony Warszawą – dawno tu nie był – że tak wyszlachetniała. Nie śmiem przy nim narzekać na naszą scenę polityczną, bo wiem, że tam jest prawdziwy dramat, gdy u nas tylko jest polityczny folklor.

Kolega z Moskwy R. zostanie u mnie na noc. Przyjeżdżał do mnie, gdy w latach 70-tych kwitła opozycja. Jego fascynacja tamtą Polską, naszą odwagą i klasą. Jego ekscytacja, pamiętam, karmiła w tamtych latach moją determinację i pewność, że mamy rację. Rozmawiając mieszamy polski, rosyjski i angielski – czy właśnie nie taki koktajl robi się z myślenia całego tego regionu? W końcu upieram się przy rosyjskim. Jestem zafascynowany tym językiem, który kiedyś tak dobrze znałem, a tak mi zardzewiał. Stoi teraz we mnie jak kombajn przed łanami zboża, chce ruszyć z miejsca, ale nie może.

Jak R. był kiedyś zafascynowany Polską, tak jest nadal. Był rok w Stanach, pracuje w Moskwie dla Amerykanów, ale Polska nie straciła dla niego czaru i magii. Jest ekonomistą, obserwuje Polskę z boku, a teraz kiedy ogląda ją od środka, to jest pewien, że niezwykle skoczyliśmy do przodu. Geografia jego zachwytów pokrywa się paradoksalnie z geografią moich złości na Polskę. Zachwycony, że tak mało w Polsce wandalizmu, że nasze okrutnie zaniedbane podwórka i klatki schodowe są takie zadbane. Że alarmy samochodowe, których głosy szarpią mój układ nerwowy, są takie milczące, w Moskwie wyją nieustannie. Że na ulicy nie widać pysków mafii, że tak dyskretnie ludzie używają komórkowych telefonów, taki spokój i kultura na ulicach, kierowcy jeżdżą kulturalnie, nie agresywnie...

Otóż ja byłem pewien, że we wszystkich tych sprawach jest dokładnie na odwrót. O, względności wszystkich rzeczy! Ale zgadzam się z nim – winniśmy docenić, że w Polsce powstały wzorce, tego nie było za komunizmu. Tego nadal nie ma w Rosji. Kilkanaście warszawskich firm taksówkarskich działa jak szwajcarski zegarek. W Moskwie to nie funkcjonuje. Dlatego R. uparcie chce zamawiać taksówkę na dzień naprzód, nie mogę go przekonać, że wystarczy na kilka minut przed wyznaczonym czasem. Dogadujemy się, że jeśli w kraju jakiś procent instytucji, urzędów, usług publicznych działa dobrze, to reszta zostanie przez to „dobrze" prędzej czy później wessana, przynajmniej można liczyć się z taką nadzieją. W Rosji wedle R. nadal wszystko jest przytłoczone przez bałagan, chamstwo, niekompetencję, dręczące poczucie braku stabilizacji i braku pewności jak będzie jutro. Na szczęście pojawiło się sporo ludzi myślących zdrowo, więcej ich jest niż można się było spodziewać po takim maglowaniu mózgu. Oglądamy razem rosyjską telewizję, twarze polityków budzą jego emocje, tak wielkie, jak to było u nas na przeło-

mie. Zapomniałem jak to smakuje, dzisiaj nasza polityka to mdły smak obojętności, czasami lekkiej irytacji.

A. przyleciał z Los Angeles, spod nóg litery H na wzgórzach Hollywood. Niedawno poświęciłem się i poszedłem na film którego był operatorem – „Maksimum ryzyka" z Van Damem. Rzeczywiście mój przyjaciel opanował do perfekcji fotografowanie mordobicia i pościgi samochodowe. A kiedy w takim mozole pod koniec lat 60. jechaliśmy autostopem na Hel, pamiętam, że nie potrafił mi zrobić zdjęcia, kiedy stanąłem zrezygnowany na szosie.

Idziemy razem na urodzinowe przyjęcie do kolegi z tamtych lat, a poznaliśmy się w latach, gdy nastoletni piłkarz Włodzimierz Lubański był naszym idolem. Bierzemy ze sobą R. z Moskwy. Mój amerykański przyjaciel wstrząśnięty, bo właśnie gdzieś przeczytał, że Lubański skończył 50 lat. Ja też jestem tym faktem wstrząśnięty. To przecież jakoś ma się do nas. Na przyjęciu zlot duchów. J. nie widziałem 27 lat. Negatyw jej urody stoi we mnie i nie potrafię na to nałożyć jej obecnej twarzy. Będę więc teraz nosił dwa jej oblicza, jak dwie strony tej samej monety. Mnie też ktoś nie poznaje, co boli i dziwi, ja przecież nie zmieniłem się nic a nic, a w każdym razie czuję się tak samo. To właściwie przerażające, jestem w środku tak samo młody, jak przed laty i widzę jak bezzębnymi ustami mówi do mnie czyjaś myśl: „Czas zje wszystko, bo ma czas".

R. zafascynowany tym polskim przyjęciem. Ludzie inaczej mówią niż w Rosji, o tak, jest w tym jakiś „szczególny polski styl". A. choć z Hollywood, też mam wrażenie, że jest poruszony światem, który utracił, który teraz na chwilę odzyskuje, bo chociaż tam gdzie żyje, jest podobno Olimp naszego świata, ale tak naprawdę: „to nie ma z kim wypić i o czym pogadać".

Tak Moskwa i Hollywood mogą sobie więc podać dłonie w Warszawie w roku 97. Mój Rosjanin nagle zwierza mi się, że na tym przyjęciu czuje się jakby łaził po filmie Wajdy „Wszystko na sprzedaż". Więc kiedy na przyjęciu zjawia się sam Wajda, mój gość z Moskwy z wrażenia niemal traci przytomność. „Jak na polskim filmie" – powtarza jak w transie. Wyjaśniam mu, że to nie może być film współczesny, bo polscy reżyserzy zupełnie się zagubili, nie wiedzą gdzie żyją,

robią gnioty, które dzieją się nigdzie. Teraz widać jak nasze dawne kino, cała sztuka, pomogło myślącym Rosjanom jakoś przetrwać.

Rozmawiamy o upadku naszego filmu: „Polscy reżyserzy mają dzisiaj za małe serca, by zrobić dobry film" – mówi Wajda. Czy to problem serca, myślę? Wiem, że przy sercu język wygląda nieładnie, ale to chyba przede wszystkim problem języka. A może za mało mamy serca w języku?

Już samo zestawienie nazwisk polityków z czasów przedwojennych i współczesnych kompromituje nasze życie polityczne. Jak na dłoni widać, że ma miejsce całkowity upadek:

Józef Piłsudski... Lech Wałęsa
Roman Dmowski... Marian Pałka
Wincenty Witos... Waldemar Pawlak.

Niestety niemal tak samo można by schodzić w dół po schodach nazwiskami pisarzy. Czyżby czasy nasze spsiały? Trudno się zgodzić z taką generalizacją. Wydaje się, że upowszechnienie się wykształcenia, dostępu do wiedzy i myśli, a potem telefony, komputery, jak miliony młoteczków rozbijają myśli na kawałki, a to spowodowało wielką dekoncentrację i spłaszczenie, we wszystkich dziedzinach.

Odmowa przez Kościół pochowania w święconej ziemi znanego ginekologa profesora Deca, lekarza i człowieka ogromnie cenionego i lubianego, wzburzyła liberalną Polską. Profesor Dec mówił odważnie co myśli o ustawie zakazującej przerywanie ciąży. Miał też odwagę dokonywać zabiegi, kiedy uważał, że to konieczne.

A tu nagle Trybunał Konstytucyjny oświadcza, że istniejące „prawo do aborcji ze względów społecznych jest wbrew konstytucji". Teraz to się będzie paskudzić w Sejmie, bez względu na to czym sprawa się skończy, mamy odnowienie wojny aborcyjnej.

Oto podsunięto nam jeden z głównych tematów kampanii wyborczej, który zagłuszy pytania o gospodarkę i politykę. Postkomuniści i liberałowie są rozsierdzeni tym werdyktem Trybunału, grożą postendecji i Kościołowi referendum w sprawie aborcji, mówi się nawet, że można je połączyć z wyborami. To jest pomysł iście diabelski. Bo ten temat może bardzo pomóc postkomunistom w wyborach. I co bę-

dzie jak naród wybierze za jednym zamachem i postkomunistów i aborcję, czyli opowie się za mordem powszechnym, za komorami gazowymi i za Oświęcimiem? A tak określa aborcję ksiądz Rydzyk i jego radio. Kościół kropi więc pomysł aborcyjnego referendum święconą wodą i kreśli krucyfiksem, ale pomysł nie znika, jak to się zdarza szczególnie upartym czartom. Zastanawiam się czy jestem w stanie znieść kolejną dawkę fotografii nie narodzonych płodów, płomiennych sporów kiedy poczyna się życie, a też głębi publicznego filozoficznego zamyślenia tylu niefilozoficznych obliczy naszych polityków, zadumania nad kwestią, kiedy się poczyna życie? A to wszystko w kraju, gdzie każda wizyta w szpitalu, każe myśleć o braku szacunku dla ludzi narodzonych, dla najważniejszej klamry istnienia, dla chwili narodzin i chwili śmierci. Zajmijmy się edukacją w szkołach i antykoncepcją, a wtedy problem aborcji przestanie istnieć. No tak, ale prawica narodowa i Kościół uważają, że edukacja seksualna w szkołach to gwałt moralny na naszych dzieciach, a pigułka jest grzechem. Chyba jednak znowu zaczynam się denerwować.

Do Polski przybywa papież. W tym samym dniu jest mecz piłkarski Polska – Anglia... Dzwoni do mnie P. Mówię mu, że z przerażeniem odkrywam, że „wizyta papieża i mecz niewiele mnie obchodzą".

– Mnie nie obchodzą nic – mówi.

– Co to znaczy? – pytam.

– To znaczy, że z nami jest bardzo dobrze – mówi.

Czy ma rację?

W Teatrze Polskim sztuka Włodzimierza Perzyńskiego „Polityka". Ta sztuka bez litości kpi z korupcji i z głupoty polskiej sceny politycznej, w rok po odzyskaniu pierwszej niepodległości. Nie jest to wielki teatr, ale ogromnie bawi jako znak dawnego czasu, który dla publiczności jest tak uderzająco i groteskowo podobny do lat pod progiem końca wieku, że liczne kwestie nagradza oklaskami, szczególnie gdy autor mówi o korupcji, kiedy kpi z drapieżnego podziału na lewicę i prawicę. Niepokoi aktualność tej sztuki z roku 1919 w roku 1997.

SMECZ

Kartki ze skażonej strefy

– Po ile te palta? – pytam sprzedawcę.

– Ze szczurem czy bez szczura?

„Szczur" oznacza obramowanie z futerka, które znacznie podwyższa cenę.

Pan Józef ma stoisko z płaszczami na Stadionie Dziesięciolecia w Warszawie. Maleńki kwadracik ziemi pod gołym niebem oddzielony od innych podobnych stoisk szmacianym przepierzeniem. Handluje tu płaszczami od czwartej rano do dwunastej w południe przez cztery poru roku, świątek-piątek, deszcz, mróz czy skwar, bez różnicy. Po południu Stadion wyludnia się, handel staje, przychodzą sprzątacze a sprzedawcy jadą w Polskę po towar. Pan Józef aż pod Łódź. Tradycja drobnej manufaktury odzieżowej w tym regionie, zamrożona w okresie komunizmu, odżyła z nastaniem wolnego rynku. Zgiętych w pałąk przy igle niegdysiejszych żydowskich krawców zastąpiły brygady wolnych szwaczek, bywa rekrutujących się również z obywatelek krajów zza naszej wschodniej granicy.

Procedura w tym przypadku jest taka: najpierw przedsiębiorca buduje dom z dużą suteryną, potem jedzie zmontować odpowiedni zespół ludzki na Ukrainę czy Białoruś. Przywozi szwaczki na miejsce i instaluje w domu. Umowa mówi, że śpią w dzień a pracują na dole w nocy, nie wolno wychodzić. Szyją wszystko, co jest do uszycia wedle szablonów. Pod koniec umownego okresu (na ogół trzy miesiące) przedsiębiorca wypłaca im zarobione pieniądze i wiezie na Stadion, żeby porobiły zakupy. Stąd prosto są transportowane do swojego kraju. Wszystko odbywa się zgodnie z zawartą transakcją, warunki z góry podane, stawki niezłe. Znam Ukrainkę, która parokrotnie z takiej oferty pracy korzystała. Zadowolona. Nikt więc nikogo nie oszukuje, nikt na tym nie cierpi. Z wyjątkiem pewnie polskiego fiskusa. Ale tu – gęba na kłódkę!

Powracam na Stadion. Pan Józef, za komunizmu robotnik narzędziowy, pracująca żona, dwoje dzieci. Dziś jako

wolny kupiec zarabia na Stadionie na czysto cztery średnie pensje krajowe, żona w domu, i byłby raj, gdyby ...

– Gdyby Ruskim wypłacili zaległe pensje, to by się żyło – konstatuje z gniewem pan Józef. – Przecież im zalegają z wypłatą i do roku czasu. Mówiła mi jedna nauczycielka z Charkowa, że siedem miesięcy na zaliczkach jadą z całą rodziną. – I tak jest ze wszystkimi, czy robotnik, czy umysłowy; cud że oni jeszcze jakoś kombinują. Ale, pani, to już mogiła, to koniec – podnosi głos. – Oni nie mają za co u nas kupować, i nie mają z czym do nas przyjeżdżać. Agonia – rozkłada ręce dramatycznym gestem.

I tak oto żywot największego targowiska Europy, ulokowanego w środku stolicy Polski, splata się ze stanem kieszeni górnika z Donbasu i w ogóle wielu szeregowych obywateli państw byłego Związku Sowieckiego od Bugu po Ural.

Stadion Dziesięciolecia, zawarty w czworoboku między prawym brzegiem Wisły, Mostem Poniatowskiego, ulicami Zieleniecką i Targową, zbudowano jak nazwa wskazuje, na cześć istnienia dziesięciu lat PRL-u, z właściwą dla totalitaryzmu gigantomanią. Nieważne było, czemu ma służyć, ważne było, żeby był wielki niezależnie od potrzeb. Toteż oprócz spędów propagandowych jak dożynki czy start lub finisz sztandarowego kolarskiego Wyścigu Pokoju, Stadion nigdy nie zagrał pełnią trybun. Był, po prostu, za duży. Pamiętam, byłam tam raz na międzynarodowych zawodach lekkoatletycznych, kiedy telewizja dopiero się u nas rodziła, więc zwykli ludzie, w niczym nie przypominający dzisiejszych rozwydrzonych młodocianych kibiców, chodzili na boiska, żeby oglądać imprezy sportowe. Przyszły i wtedy tłumy, ale na trybunach byli ledwie widziani; przygniótł ich ogrom Stadionu. Wkrótce obiekt zamknięto na cztery spusty. Stał martwy w środku miasta a erozja chwastów rozsadzała go od wewnątrz.

I naraz, niemal z wybiciem godziny wolności, Stadion ożył. Nie wiadomo, kto pierwszy ustawił na jego koronie symboliczne już jako sygnał reformy Balcerowicza „łóżeczko z bananami", i prawie natychmiast rozrosło się tu wielkie targowisko. I to targowisko Ruskich, jak w Polsce nazywa się Rosjan, Ukraińców, Białorusinów, Ormian, Tatarów czyli wszystkie ludy ze Wschodu.

„Agonia" – mówi pan Józef. Rozglądam się wokoło. Nie widzę. Przypłynęłam tu rankiem z falą ludzką przejściem podziemnym pod Rondem Waszyngtona, idąc stale lekko pod górę wśród morza straganów. Najpierw rzucają się w oczy torby podróżne mamucich rozmiarów, wiszą i leżą, śmierdząc podłym gatunkiem sztucznego tworzywa. Kupuje się je na towar. Potem jest już tylko towar, towar, towar czyli wszystko, czego dusza zapragnie, od bajgli krakowskich po biustonosze, adidasy, dżinsy, koszule, kurtki, suknie, palta, kosmetyki, ikony, kryształy, kabury, „leniny", ordery, pirackie kompakty, lornetki, noże sprężynowe, kamery, aparaty, młynki, miksery – czyli jak mówi pan Józef, „całe to żelastwo przodującej techniki sowieckiej", której niestety, według niego, coraz to mniej. Jednakże, *gros* towaru stadionowego stanowiło i stanowi nie „żelastwo sowieckie", które jest jedynie ubarwieniem, ale nasze tekstylia leżące tu wszędzie w wielkich belach i pryzmach.

Słuchowo – istna Wieża Babel. Prócz języków słowiańskich, wychwytuję armeński i całkiem już dziś w Polsce egzotyczny – jidisz.

Socjologicznie – pełen przekrój społeczny. Dużo rosyjskiej inteligencji płci obojga. Przypominają naszych doktorantów zmywających naczynia w zachodnich knajpach. Dla nas jest to już czas miniony, dla nich – teraźniejszość. Są też ludzie różnych profesji, dla których handel obwoźny po Europie stał się chlebem powszednim. Słyszę ubolewanie: „musiałam dziesięć kompletów szachów sprzedać w Neapolu po cenie kosztów, bo już wyjeżdżaliśmy..." Wszyscy, raczej młodzi niż starzy, różnie ubrani; są oczywiście kieszonkowcy, przed którymi trzeba się pilnować, ale brak na oko elementu przestępczego grubszego kalibru, ci grasują w innych regionach. Tu, na Stadionie, odbywa się czysty handel.

Przystaję przy kawie. Sypana do szklanki, zalewana wrzątkiem.

– Jaka to kawa, że taka dobra? – pytam.

– Nie jaka, tylko ile. Dużo kawy, dobra kawa. Jak się do garnka nie włoży, to się z garnka nie wyjmie – odpowiada sentencjonalnie właścicielka straganu-baru.

Obok na podgrzewaczach skwierczą podsmażane kartofle, wątróbka z cebulką, pyzy podlane sosem z pieczeni, gołąbki,

biała kiełbasa z chrzanem, mielone, schabowe – zapach, aż miło. Sączę kawę i patrzę.

Rosjanka, elegancka jak Paryżanka, z lotniczą torbą podróżną na kiju, targuje kwieciste jedwabne bluzki, kupuje ich kilkanaście, płaci dolarami. Tu każda waluta dobra, byle mocna, przeliczana błyskawicznie. Wszędzie pytając o ceny słyszy się w odpowiedzi: „hurt czy detal?" Jeżeli detal, cena niebotycznie rośnie.

Na Stadionie wcale nie jest tanio. To mit. Supermarkety są tańsze. Ale Stadion to międzynarodowy adres. Klienci ze Wschodu nie mają czasu. Nie mogą rozlewać się po mieście, nie są turystami. Tu im najporęczniej. Dworzec Wschodni i parking autokarowy obok. Załatw swoje i żegnaj. Do zobaczenia następnym razem. Taka jest zasada.

– Agonia, agonia – kracze pan Józef. – Pani nie ma optyki, pani nie widzi, jak to schodzi w dół. Za chwilę nie będzie ich, nie będzie nas. – I nagle. – Do jasnej cholery, dlaczego im pensji nie wypłacają?! Taka podłość! Zdechnąć mają z głodu, czy co?

Po raz pierwszy chyba w historii naszych narodów Polak martwi się, z czego Rosjanin będzie żyć.

Przeciskając się ku wyjściu, myślę, że byłoby szkoda, gdyby Stadion padł. Wprawdzie handel ze Wschodem może iść innymi kanałami, ale tu odbywa się coś więcej niż zwykła wymiana towarowa. W naturalny sposób, przez nikogo nie aranżowana i nie wydumana, powstanie nić interpersonalnych relacji, która ma swoją wartość, wartość nie do oszacowania w pieniądzu, ale bezcenną w kształtowaniu się sąsiedzkich stosunków.

●

Pojechaliśmy na zabitą wieś po jajka prosto od kury. Jeszcze oblepione łajnem i piórkami. Podobno, takie trzeba jeść. Im jajko młodsze, tym mniej ma cholesterolu.

Utarł się między nami zwyczaj, że my od nich jajka, krzyże zbijane na miejscu z uciętej brzozy na rodzinne groby, a oni od nas – papierosy, słodycze dla dzieci, odzież, bo na rolniku w polu ubranie się pali, nie sposób nastarczyć.

Zawsze przy takiej okazji obsiadamy zwalone drzewo i

jest gadka. Oni złaknieni polityki. Nie tej gazetowej czy telewizyjnej, do której nie mają głowy ani czasu, ale tej z ust do ust, praktycznej.

– Powiedzcie, na kogo głosować? – pytają. Chodzą w niedzielę do kościoła jak Pan Bóg przykazał, ale nie chcą tej odpowiedzi od księdza. On nie od tego. Wolą od nas, cywilów.

I bądź tu mądry, człowieku! Co im powiedzieć? Wykład robić? Przecież od tego są posłowie i senatorowie, z których każdy ma obowiązek zaprezentować program swojej partii. Jest ich w parlamencie ponad pięciuset, powinni teraz już objeżdżać nie tylko większe ośrodki, ale wioski i sioła regionów, z których kandydują i objaśniać, objaśniać, objaśniać, aż do upadłego. Ale tego nie robią. Żaden.

Prasa chętnie wyłapuje skandale z Wiejskiej. Oto senator Henryk Kanicki zwierza się reporterowi *Expressu Wieczornego*, że owszem, zapraszał sobie do pokoju w Sejmie kurwy (dokładnie tak!), czasem nawet cztery, ale wchodziły drzwiami, a nie jak do innych po drabinie, którą widać było aż z Placu Trzech Krzyży.

Prasa pełna jest takich kawałków, bo i parlamentarzyści dostarczają w bród takiego materiału, ale prasa nie pisze o zwykłym lenistwie i gnuśności posłów i senatorów, bo to temat nudny, choć zjawisko powszechne, niezależnie od orientacji.

Nasze najwyższe izby cechuje gnuśność, co w połączeniu z nieumiejętnością wyważania właściwych proporcji sprawom, którymi się zajmują, daje efekt tragikomiczny. Przykładów pełno, choćby ten, pierwszy z brzegu: palić czy nie palić podczas prowadzenia samochodu. Poświęcił temu solenną debatę Sejm. I nie chodzi o to, że przy okazji była kupa śmiechu, ale chodzi o to, że bez najmniejszego wyczucia hierarchii spraw oddano temu zagadnieniu ogrom czasu odbierając go innym, stokroć ważniejszym zagadnieniom, choćby takim, jakim w okresie przedwyborczym staje się przede wszystkim praca w terenie.

I jak tu dziwić się, że potem chłopi, albo w ogóle nie idą do wyborów, albo z braku laku pytają jednak księdza, jak głosować.

●

Podobno w latach osiemdziesiątych ksiądz Tadeusz Rydzyk był młodziutkim, świetnie zapowiadającym się duszpasterzem grupy uczniów starszych klas licealnych. Wzorem Warszawskiego Uniwersytetu Latającego organizował im dokształcanie w zakresie przedmiotów zakazanych. Takim zapamiętał go jeden z redaktorów *Tygodnika Powszechnego*, którego ksiądz Rydzyk prosił o wykłady z historii dla swoich podopiecznych. Potem redaktora długo nie było w kraju, a gdy wrócił, nie chciał uwierzyć, że tamten jego Rydzyk to jest ten Rydzyk od Radia Maryja. Zmiana kolosalna.

Andrzej Milczanowski, były minister spraw wewnętrznych, zdawałoby się, że mimo różnych nawałnic, które były jego udziałem, pozostał człowiekiem logicznego myślenia, nagle przystępuje do AWS-u i grzecznie przełyka nonsensy, szczególnie chyba bolesne dla prawniczego ucha – głoszone przez to ugrupowanie. Na przykład, stwierdzenia dwóch wiceprzewodniczących Akcji Wyborczej „Solidarność", Mariana Piłki i Kazimierza Kapery, którzy publicznie głoszą, że śmierć przez powieszenie czy na krześle elektrycznym można uznać za naturalny zgon. No, bo muszą jakoś pogodzić dwie wykluczające się a głoszone przez AWS tezy o ochronie życia od poczęcia aż po naturalny zgon z karą śmierci.

Andrzej Drawicz, niekwestionowany sympatyk Unii Wolności, nagle robi zwrot, głosuje na prezydenta Kwaśniewskiego i staje się doradcą premiera Cimoszewicza. Nie dla kariery, bo nadal pozostaje profesorem rusycystyki. Więc dlaczego? Jedni wiążą tę przemianę z poniżeniem, jakiego doznał od Wałęsy podczas jednej z jego pierwszych akcji w ramach „wojny na górze". Wałęsa przyszedł na zebranie Solidarności w telewizji, której Drawicz zaczął właśnie prezesować, ostentacyjnie się z nim nie przywitał i wyraźnie podjudzał zebranych do wygwizdywania nowego kierownictwa. Świadkowie mówią, że było to wyjątkowo odrażające widowisko i że Drawicz nigdy Wałęsie tego nie zapomniał. Ale czy rana zadana przez jednego człowieka mogła być przyczyną nagłego zwrotu w orientacji politycznej? Inni mówią, że pociągnęło wilka do lasu, czyli że, kto za młodu komunizował to i tam powróci. Ale argument ten nie jest przekonujący, bo nie może się ostać w świetle wielu podobnych życiorysów

tego pokolenia. Więc co?

Maciej Jankowski, szef Solidarności regionu Mazowsze, do niedawna szalejący hunwejnbin Związku, dziś – jeden z bardziej wyważonych, rozumnych jego przywódców, widzący sprawy państwa bez syndykalistycznej ciasnoty. Tylko patrzeć, jak się zetrze z Krzaklewskim, albo odejdzie. Dokąd?

Wybrałam te przykłady na chybił trafił. Nie są spójne, są wręcz od Sasa do lasa. To dlatego, że ani rusz nie mogę się w nich rozeznać. Wiem, że ludzie zawsze zmieniali poglądy, zwłaszcza ludzie polityki. I robią to nadal z przyczyn koniunkturalnych i wszelkich innych, z tą wszakże różnicą, że w ukształtowanych demokracjach motywacje ich są czytelne. Tymczasem z komunizmu wykluł się człowiek-zagadka, sfrustrowany i pokręcony psychicznie, którego posunięcia bywają nawet dla niego samego zaskoczeniem. Działa na oślep, pod impulsem chwili, agresywnie, niecelnie, i co najgorsze, jeśli jest politykiem, że bez wizji na przyszłość. Można się pocieszać – cierpliwości, to minie wraz ze skażoną strefą. Trzeba poczekać, aż się powietrze polityczne oczyści i wyklarują się partie o jasnych, dalekosiężnych programach. Wtedy poszczególni ludzie łatwiej rozpoznają, gdzie chcą przynależeć. Problem w tym, że nie wiadomo, czy sytuacja międzynarodowa poczeka, bo właśnie teraz, a może być to tylko chwila, zdarzyła nam się światowa koniunktura.

●

W przytulnie zaniedbanym, wiecznie bezpieniężnym, ale przygarniającym ciepłą atmosferą, lokalu warszawskiego Klubu Inteligencji Katolickiej czyli w KIK-u, odbyło się pierwsze spotkanie Koła Świętego Jerzego. Tak postanowiliśmy się nazwać, nawiązując do orderu tego świętego, przyznawanego dorocznie przez *Tygodnik Powszechny* osobom, które „niezależnie od zmiennych prądów historii nadają żywą treść ideałom społeczeństwa otwartego". Nasza inicjatywa ma mieć na celu – mówiąc w największym skrócie – dialog między kulturą chrześcijańską, katolicyzmem soborowym, a innymi nurtami humanizmu europejskiego. Dialog nawiązujący nie tylko do ducha krakowskiego *Tygodnika*, ale głębiej, do tradycji takich ruchów jak Odrodzenie, Verbum czy Laski.

Tradycji wcale nie martwych, ale przeciwnie, szczególnie żywych dziś wobec dramatycznie zarysowującego się podziału katolików w Polsce. Podział idzie z góry, od członków episkopatu, czyli biskupów, po doły. Dzieli nas nie wiara w dogmaty, ale poglądy polityczne, ściślej – zapatrywania na rolę Kościoła w tej mierze. Dzieli jednak tak ostro jak cięcie mieczem. A więc po jednej stronie mamy – katolików soborowych, otwartych, ekumenicznych, a po drugiej – zamkniętych, „maryjnych", czyli integrystów i fundamentalistów. Ci ostatni mówiąc o pierwszych: Żydzi, masoni, postmoderna, katolewica. I jedni, i drudzy wyznają tę samą wiarę. Jak mają ze sobą rozmawiać? Jak się porozumiewać?

Dziś sprawa stała się jawna i głośna, ale konflikt po cichu dojrzewał od dawna. W latach osiemdziesiątych, kiedy masowe pielgrzymki na Jasną Górę były jednym wielkim marszem wolności, gdzie obok wykładów w marszu, podczas których młodzież uczyła się wszystkiego, czego nie dawano w szkole, gdzie nie było tematów tabu – to jednak już wtedy, gdy mijaliśmy kościoły i zgrupowania ludzkie, podnosiliśmy w górę nasze pielgrzymie krzyże, skandując: „Tylko pod tym krzyżem, tylko pod tym znakiem Polska jest Polską, a Polak Polakiem". Tekst jakby wyjęty z pogramu późniejszego ZChN-u. Pamiętam, powstała wówczas dyskusja, ktoś powiedział, że może wymienić kilkadziesiąt osób nie spod tego znaku, które jednak są dobrymi Polakami. Nie zakrzyczano go, rozmawiano spokojnie. Wróg był przecież gdzie indziej. Pamiętam, ukuto wówczas powiedzenie, „niewierzący, ale dobry chrześcijanin". W tym paradoksie zawierała się wielka prawda, nie tylko na tamte czasy.

Teraz, w KIK-u, temat powraca. Na spotkanie przyszło sporo ludzi z „różnych parafii", dziennikarzy, zakonników, działaczy społecznych, księży paru obrządków. Dyskusja, choć chaotyczna, była ciekawa, bo spontaniczna, każdy mówił o doświadczeniach z własnego podwórka. Było czego posłuchać.

Przytoczę scenkę z kolejki na poczcie, opowiedzianą mi na boku przez znajomą. Stała za osobą zaczytaną w ultraprawicowej *Naszej Polsce*. Osoba ta z cichej lektury przechodziła co rusz na głośną, cytując kawałki o Żydach i masonach, którzy nas niszczą, opatrując je własnym komentarzem brzmiącym „prawda, prawda, aż do bólu". Wreszcie

moja znajoma nie wytrzymała i zadała z głupia frant pytanie: „A wiersz 'Stoi na stacji lokomotywa' Pani zna?" „Znam od dziecka, a bo co?" „A to, że to Żyd napisał". Kobieta zdębiała i ze słowami „wyszło szydło z worka" opuściła kolejkę.

Niestety, jest to prawda, prawda aż do bólu, że wyrósł nam w Polsce dziwny antysemityzm bez Żydów, twór spiskowej teorii historii, którym posługują się, niestety, z powodzeniem, niewydarzeni, ale przeambicjonowani politycy.

W KIK-u stanęło na tym, że ustaliliśmy termin następnego spotkania, już bardziej uporządkowanego, z wykładem o naszej chorej religijności.

Nie jestem społecznicą, nie lubię działania w zorganizowanych grupach, ale do Koła Świętego Jerzego przystąpię. Raz, że uważam tę inicjatywę wyjątkowo na czasie, temat jest nabrzmiały, ważny i wobec tego należy o nim mówić, mówić i jeszcze raz mówić, nie zaklepywać rzeczywistości, nie udawać, że sprawy nie ma, a dwa – że mam zaufanie do wszystkiego, co rodzi się w warszawskim KIK-u. Instytucja sprawdzona, mądra, moralna i skromna, mimo że to właśnie na jej pokojach rodziła się nowa władza.

Pamiętam tutaj pierwsze zebrania raczkującej Solidarności, kiedy „Mazowsze" nie miało jeszcze własnego lokalu; tych młodych ideowych działaczy z całej Polski, tak dziś podtatusiałych psychicznie, ważniackich i poróżnionych. Białą czapkę Uniwersytetu Warszawskiego pamiętam (gdzie dziś takie oglądać?! Chyba tylko w sklepach ze starociami), wciśniętą Wałęsie na głowę przez studentów. Potem pamiętam intensywną wielostronną działalność konspiracyjną KIK-u w stanie wojennym. Następnie, to tutaj, w tych murach i za pośrednictwem tych ludzi powstawały pierwsze przymiarki do rozmów Okrągłego Stołu. A jeszcze później, gdy już wszystko się rozegrało, trzon Kikowców pozostał na miejscu i zajął się swoją mało efektowną, ale niezwykle pożyteczną robotą w sekcjach o najprzeróżniejszym profilu, ale zawsze w imię pomocy najbardziej potrzebującym na świecie, oraz szybkim reagowaniem na to, co życie niosło. Tu, wpierw niż gdzie indziej, odbywały się arcyciekawe spotkania z ludźmi ze Wschodu w atmosferze całkowicie pozbawionej owego snobistycznego posmaku, tak charakterystycznego dla naszych elit.

Może więc i z tego „Świętego Jerzego" coś sensownego wyjdzie?

●

Przez czterdzieści z górą lat, gdy zbliżały się żniwa, cała Polska żyła jedną troską i powtarzała na wiele głosów trzy słowa – „sznurek do snopowiązałek". Czy wyprodukują, czy zdążą, czy nastarczą? Nie, zabrakło, nie ma, klęska! Sznurek do snopowiązałek – był to wielki narodowy problem. Dziś czytam, że staliśmy się europejską potęgą w tym zakresie. Nasz sznurek do snopowiązałek obsługuje większość krajów w Europie.

Dla mnie, bomba.

●

„W Białymstoku odbył się wiec w obronie Stoczni Gdańskiej, zorganizowany przez Radio Maryja, radnych z prawicowego klubu Jedność i Ruch Odbudowy Polski. Modlono się o lepszą przyszłość słowami nieco zmodyfikowanej pieśni 'Od powietrza, głodu, ognia i narodu wybranego, zachowaj nas Panie'". Wzięte z tygodnika *Senior*, z rubryki „Wesoły senior".

Dla mnie, raczej smutny.

Ewa BERBERYUSZ

Przyszłość polskiej polityki ekologicznej

Dyskusja na temat nowelizacji Ustawy o Ochronie i Kształtowaniu Środowiska nie znalazła należnego jej miejsca w polskich mediach. W Sejmie i Senacie znajduje się aktual-

nie około 200 projektów ustaw. W dodatku referendum konstytucyjne i zbliżające się wybory nie sprzyjały dyskutowaniu „mniej znaczących" problemów społecznych. Tym większego znaczenia nabierają stosunkowo nieliczne wypowiedzi na temat zmian prawnych mających przecież decydujący wpływ na polską politykę wobec przyrody, a zatem na jakość życia kilkudziesięciu milionów ludzi w Środkowej Europie.

Profesor Aleksander Lipiński, kierownik Katedry Prawa Górniczego i Ochrony Środowiska Uniwersytetu Śląskiego przedstawił w *Rzeczypospolitej* (2-4 maja 1997) analizę prawną kilku aspektów przygotowywanych zmian. Autor tego jakże potrzebnego artykułu ubolewa zrzesztą iż zdecydowano się na nowelizację tzn. poprawę ułomnego stanu prawnego zamiast skonstruować całkiem nową ustawę pomimo, że projekt noweli liczy czterdzieści pięć stron i zawiera propozycje zmian niemal stu przepisów. Artykuł zawiera wiele cennych uwag, m.in. wskazuje na osłabienie w nowej ustawie dotychczasowych instrumentów ochrony środowiska, a także zwraca uwagę na problem powoływania biegłych. Jest to tym ważniejsze, że w ostatnich latach administracja państwowa prezentowała w Polsce „ekspertyzy" wywołujące delikatnie mówiąc zdziwienie specjalistów. Pilną potrzebą jest zatem ustalenie nie tylko sposobu powoływania biegłych, ale także ich odpowiedzialności finansowej i zawodowej za konsekwencje decyzji podejmowanych zgodnie z zaleceniami owych „ekspertyz".

Przygotowywana nowelizacja jest dobrą okazją do podjęcia dyskusji na temat: Jakiej polityki ekologicznej potrzebują Polacy? Wszyscy są w zasadzie zgodni, iż nowa sytuacja w jakiej znalazła się Polska po upadku komunizmu wymaga sformułowania i realizacji zupełnie nowych zasad polityki ekologicznej. Zarówno jej „ogólna filozofia" jak i szczegóły już w najbliższym czasie zostaną skonfrontowane z bardzo trudnymi problemami jak i licznymi konfliktami związanymi z ceną, jaką trzeba płacić aby móc realizować racjonalną politykę gospodarki zasobami naturalnymi w kraju o zdewastowanej przyrodzie.

Jednym z najważniejszych problemów w nowej sytuacji jest pytanie (stawiane zresztą na całym świecie) o miejsce ekologii w rynkowym, wolnokonkurencyjnym systemie gospodarczym. Ochrona przyrody kłóci się ze skrajnie liberalną wizją systemu społecznego i państwa. Konflikt jest pozorny albowiem w owym „czysto kapitalistycznym" rachunku często

nie bierze się pod uwagę olbrzymich ekonomicznych i społecznych kosztów niszczenia przyrody, co jest zresztą sprzeczne z tendencjami panującymi już do kilkunastu lat w wysokorozwiniętych krajach Zachodu. Niestety czytając wypowiedzi licznych polskich liberałów można odnieść wrażenie, że zupełnie nie znane pozostają dla nich takie opracowania jak przygotowana na nowojorskim uniwersytecie *Economics and Ecology* czy brytyjska *Environmental Valuation New Perspectives*, a także, że jedynym możliwym dla Polski modelem jest dość mgliście przedstawiana wizja krajów Azji Południowo-Wschodniej. Jakby przez zapomnienie w wypowiedziach owych ekonomistów nie dostrzega się ekologicznego wysiłku wielu wielkich koncernów, by wymienić choćby Volvo czy IBM.

W dodatku konieczność ochrony przyrody siłą rzeczy wymaga tak nie lubianej przez liberałów sytuacji, w której „centralne" organy państwowe nierzadko ograniczają prawo do własności prywatnej i do przedsiębiorczości.

Polityka ekologiczna państwa znajduje się w bardzo delikatnej sytuacji. Ochrona przyrody jest bowiem z jednej strony traktowana przez liberałów jako „zamach na wolność" ekonomiczną. Z drugiej srony lewica broniąca nieopłacalnych molochów produkujących (w Polsce jak i gdzie indziej) nie dostrzega ekologicznych konsekwencji takiego działania i to pomimo rzekomego „wyczulenia na problematykę społeczną". Zarówno liberałowie jak i lewica, a nawet ludowcy nie zauważają, że np. zaostrzenie ekologicznych kryteriów produkcji rolnej jest jedyną w dzisiejszych czasach możliwą metodą ochrony własnej produkcji rolnej wobec napływu żywności z krajów gdzie jej masowa produkcja jest siłą rzeczy tańsza niż w Europie.

Dyskusji wymaga także miejsce polityki ekologicznej w reformie administracyjnej. Zgodnie z realizacją zasady samorządności postuluje się zwiększenie kompetencji gmin. Realizując tę niewątpliwie słuszną politykę nie wolno dopuścić do sytuacji pozbawienia instytucji centralnych państwa możliwości interwencji. Ochrona przyrody jest kosztowna i bardzo często nie leży w natychmiastowym finansowym interesie bezpośredniego użytkownika. Sytuacje, w której gminy prowadzą działania sprzeczne z zasadami ekologii i ogólnospołecznym interesem, nie należą przecież do rzadkości.

Nie tylko władze i samorządy terytorialne, ale także organizacje ochrony przyrody, zazwyczaj niezależne, powinny

znaleźć swoje miejsce w formułowaniu polityki ekologicznej i podejmowaniu konkretnych decyzji. Stanowią one przecież ważny element społeczeństwa obywatelskiego. Lekceważenie podobnych organizacji nie ma zresztą najmniejszego sensu w dobie potęgi mediów. Siła Greenpeace'u dowodzi jak bardzo duży wpływ może uzyskać mała na początku organizacja. Warto także pamiętać, że polityczne „spychanie na margines" powoduje ich radykalizację w kierunku „ekologicznego ekstremizmu", który zamiast przyczyniać się do usprawnienia gospodarki i ratowania przyrody prowadzi jedynie do potężnych akcji protestacyjnych i w rezultacie często przyczynia się do kryzysu wielu dziedzin gospodarki.

Wydaje się także, że niektóre z organów administracji centralnej wymagają reformy. Doświadczenie kilku krajów (zwłaszcza Francji) dowodzi, że administracyjne łączenie ochrony przyrody z innymi resortami powinno być przeprowadzane nadzwyczaj ostrożnie. Oddanie w kompetencje jednego ministerstwa ochrony środowiska z leśnictwem i gospodarką zasobami naturalnymi, powoduje z oczywistych względów konflikt interesów. Argumenty zwolenników ochrony przyrody niewiele ważą wobec „ekonomicznej" strony eksploatacji i siłą rzeczy uniemożliwia to prawidłowe funkcjonowanie tego jakże ważnego resortu administracji.

Ważnym problemem jest także dostosowanie polskiej polityki do ekologicznych wymogów stawianych przez Wspólnotę Europejską. Niewątpliwie napotyka to w Polsce podobnie jak i gdzie indziej na wiele oporów. Nacjonaliści w wielu krajach nie zgadzają się np. ze stwierdzeniem, „że miejsca o szczególnym znaczeniu przyrodniczym są częścią dziedzictwa Wspólnoty, a poszczególne kraje są traktowane jedynie jako ich depozytariusze". W dodatku nawet krajowi o znaczeniu Francji nie udały się próby rewizji np. niektórych założeń dyrektywy „Habitat". W tej sytuacji niezbędnym staje się przedstawienie społeczeństwu korzyści płynących z realizacji europejskiej polityki ekologicznej, ale także nieukrywanie jej kosztów.

Europejska koncepcja ochrony przyrody jest niewątpliwie bardzo nowoczesna. Doświadczenia Wspólnoty są dla Polski o tyle cenne, że w przeciwieństwie do amerykańskich, dotyczą krajów o zbliżonej do naszej sytuacji ekologicznej (podobny klimat, silna presja gospodarcza). Realizacja tej polityki powinna stosunkowo szybko przynieść podniesienie jakości i środowiska, i co za tym idzie życia mieszkańców Polski.

Warto pamiętać, że owa kompleksowa polityka ekologiczna wiele zawdzięcza polskim tradycjom, jej korzeni należy bowiem poszukiwać także w dorobku przyrodoznawstwa międzywojennego dwudziestolecia i teoretycznych pracach Paczoskiego, Wodziczki i Szafera. Podkreślanie tego jest bardzo ważne, albowiem nawet w Polsce bardzo często nie pamięta się o tej jakże pięknej tradycji i wkładzie naszego kraju do dorobku europejskiego.

Realizacja polityki europejskiej może być także korzystna ekonomicznie. Autorzy dyrektywy „Habitat" zdawali sobie sprawę z sytuacji, w której często kraje biedniejsze są zmuszone do większych wydatków na politykę ekologiczną i postanowili zrównoważyć owe różnice przy pomocy subwencji. Jak wiadomo Polska nawet po zjednoczeniu, przynajmniej w pierwszym okresie, należeć będzie do krajów biedniejszych. Już teraz ekologiczne przygotowywanie się do zjednoczenia stwarza szanse znalezienia funduszy na przeprowadzenie bardzo istotnych badań naukowych, a mających nikłe szanse na znalezienie sponsorów na wolnym rynku, jak choćby inwentaryzacja fauny i flory. Siłą rzeczy, tego typu badania angażują znaczną ilość przyrodników amatorów i przyczyniają się do jakże ważnego upowszechnienia kultury przyrodniczej i dowartościowania pozainstytucjonalnych badań naukowych.

Wcześniejsze wdrożenie europejskiej polityki ochrony przyrody to także cenne doświadczenie na temat kłopotów, jakie napotyka realizacja polityki wspólnotowej .W przypadku ochrony przyrody już pierwsze dyrektywy 79/409/CEE w sprawie ochrony dzikiego ptactwa napotkały na znaczący opór. Pozostałe akty spotykały się z podejrzliwością i już pierwsze kroki powodowały konflikty np. rządu brytyjskiego i organizacji ekologicznych w sprawie rozbudowy portu Sheerness (region o dużym bezrobociu). Brytyjskie władze usiłowały nie dopuścić do uznania części strefy za odpowiadającą kryteriom dyrektywy „Habitat". Władze przegrały konflikt, albowiem choć dyrektywa przewiduje możliwość wyjątków z ważnych przyczyn ekonomicznych czy społecznych, to jednak nie jest możliwe interweniowanie na etapie określania miejsc o szczególnym znaczeniu przyrodniczym. Za spóźnienia w realizacji europejskiej polityki nakładane są wysokie kary, np. za nieprzestrzeganie postanowień dotyczących ustaleń w sprawie ochrony wód została nałożona na jeden z członkowskich krajów 264 tys. ecu za każdy dzień opóźnienia.

Dostosowywanie już teraz polskiej polityki i prawa do zasad Wspólnoty jest ważnym argumentem w negocjacjach zjednoczeniowych. Tym bardziej, że za jej poszerzeniem opowiadają się ci sami członkowie, którzy forsują prawa chroniące europejską przyrodę. Właśnie dlatego tak ważne jest dostosowanie do standardów europejskich zasady wyznaczania miejsc chronionych, sposobu ich zatwierdzania, przygotowywanie dokumentacji, i opracowanie systemu kompensacji finansowych dla właścicieli narażonych na straty. Konieczne jest także szybkie tłumaczenie na język polski i rozpowszechnianie zasad europejskiej polityki ochrony przyrody.

Piotr DASZKIEWICZ

KSIĄŻKI POLSKIE
ORAZ POLSKI DOTYCZĄCE
DAWNE I NOWE
W DOKONANYM PRZEZ SIEBIE WYBORZE
POLECA
ANDRZEJ DOBOSZ W SWOJEJ KSIĘGARNI
7, rue de la Bûcherie 75005 Paris
Telefon 01 40 51 76 40
Fax 01 40 51 78 32
Metro: Maubert-Mutualité
Autobusy: 24, 47, 63, 86, 87
od wtorku do soboty od godziny 10 do 19
SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA KATALOGI

Sprawy i troski

Śmierć komunistki

Nienawiść do komunistów była w armii Andersa powszechna. Tłumiona w swych przejawach na terenie Rosji Sowieckiej, znalazła swoje odbicie w czystce faktycznych lub domniemanych „czerwonych" czy „różowych", dokonanej po przejściu na teren Środkowego Wschodu i przemianowaniu Polskich Sił Zbrojnych w ZSSR na APW, Armię Polską na Wschodzie. Dotyczyła głównie oficerów. Wielu przeniesiono do tzw. drugiej grupy, na swego rodzaju przedwczesną emeryturę, o dwóch wiadomo, że zostali skazani na więzienie: kpt. Kazimierz Rozen-Zawadzki, późniejszy *attaché* wojskowy w Rzymie i por. Eugeniusz Milnikiel, późniejszy ambasador PRL w Londynie. Te „środki zapobiegawcze" znajdowały poparcie, nawet poklask wśród braci żołnierskiej wtedy, na Środkowym Wschodzie i później, w wywodzącym się z APW II Korpusie, ale myśl o rozrachunku w formie gwałtu, skrytobójstwa, była jej obca. A przecież nie było tajemnicą, że tu i ówdzie, w kompanii czy baterii, są komuniści czy sympatycy komunizmu, tacy, których realia sowieckie nie odstraszyły od utopii – pozostali wierni hasłom.

Hasła te zresztą nie były ich monopolem. Bezpośrednie zetknięcie się z „bolszewicką zarazą" bez następstw nie pozostało. Jeszcze w Rosji, będąc oficerem oświatowym pułku, musiałem tłumaczyć żołnierzom, że demokracja to nie *urawniłowka*. Pamiętam też wyraźny pomruk niezadowolenia masy żołnierskiej na negatywną ocenę ze strony dowództwa Korpusu uchwały krajowej Rady Jedności Narodowej z 15 marca 1944 roku, postulującej ograniczenie własności ziemskiej do 50 ha. Niejeden, chłopskim rozumem się kierując,

„ksiendza przeora słuchoł, ale swoje se myśloł" – lewicował.

Tym bardziej niezrozumiały na tym tle, nieuzasadniony byłby fakt rozliczenia się z politycznym przeciwnikiem w drodze gwałtu. A jednak zdarzyło się. Wtedy spotkało się to z oburzeniem, potępieniem, domysłami odnośnie sprawcy, którego się domyślano, ale nikt nie ośmielił się wskazać. Pół wieku potem Jerzy Giedroyc w swej „Autobiografii na cztery ręce"[1] dał obraz zbrodni i zaapelował o wyjaśnienie.

W pierwszych oddziałach Andersa, które przyszły na Środkowy Wschód, była pani Ligia[2] Żółkiewska-Żołądkowska. Byłem wtedy w kompanii transportowej, a ich obóz był niedaleko od naszego. Pani Żółkiewska opowiadała bardzo ciekawe rzeczy o Rosji: o Archangielsku, o lesozagotowkach, o reakcjach Białorusinów wywiezionych do okręgu archangielskiego, którzy wierzyli – gdy przyszła wiadomość o wybuchu wojny – że Piłsudski idzie ich wyzwalać. Było to tym bardziej przekonujące, że pani Żółkiewska nie ukrywała swoich poglądów komunistycznych. Była bardzo ideową komunistką, ale świetną świetliczanką, która prowadziła swoją robotę świetlicową bardzo przyzwoicie, bez żadnych akcentów propagandowych. Później poznał ją Józio i trochę się nią opiekowaliśmy.

Nagle zaczął ją tępić Stahl[3] jako komunistkę, którą koniecznie trzeba usunąć, żeby nie demoralizowała żołnierzy. Na ten temat mieliśmy szereg scysji. Ale Stahl postawił na swoim, tak że pani Żółkiewska pracowała potem w szpitalu jako siostra. Kiedyś dostała przepustkę i pojechała odwiedzić kogoś do Ancony. Na drodze koło tego miasta, znaleziono jej trupa. Była goła, związana drutem kolczastym, bestialsko zamordowana. W moim przekonaniu zrobiła to polska Dwójka, ale nie miałem na to, rzecz jasna, żadnych dowodów. Chociaż razem z Czapskim bardzośmy szaleli, by wyświetlić tę sprawę i doprowadzić do ukarania winnych, nigdy nie zdołaliśmy się dowiedzieć, co się stało.

---

1. Opracował i posłowiem opatrzył Krzysztof Pomian. Czytelnik, Warszawa 1994, str. 15.

2. W oryginalnym tekście podano błędnie Lidia. Kontrowersję Lidia czy Ligia rozstrzygnął cytowany poniżej list p. Witolda Żółkiewskiego, brata Ligii. Również pani Irena Chmieleńska w liście do Redaktora *Kultury* (18.04.96) wyjaśniła, że ksiądz, nadając to imię zaczerpnięte z „Quo vadis" nie figurujące w spisie świętych, uległ „zdecydowanym naleganiom" swej bratowej, matki Ligii.

3. Zdzisław, wtedy por. dr, przed wojną docent UJK we Lwowie, wykładowca doktryn ekonomicznych.

Między pierwszym a drugim (1996) wydaniem „Autobiografii" jej autor otrzymał z Warszawy list p. Witolda Żółkiewskiego, brata Ligii, który przyznaje, że jego „poszukiwania danych o bliżej określonym czasie wydarzenia i miejscu pogrzebania zwłok nie dały żadnego rezultatu. Nawet 'Wykaz poległych i zmarłych żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Obczyźnie w latach 1939-46' (Londyn 1952) nie podaje nazwiska Siostry, a doniesienia krajowe nawet obecnie przyjmowane są w Londynie jako prowokacja propagandowa" (16 czerwca 1995).

Po otrzymaniu tego listu – pisze Giedroyc – **zacząłem prowadzić poszukiwania, bardzo trudne, gdyż nie żyje już niemal nikt, kto by mógł na ten temat coś powiedzieć. W toku tych poszukiwań dowiedziałem się czegoś bardzo zaskakującego. Otóż w Instytucie Sikorskiego, w wykazie członków Drugiego Korpusu Ligia Żółkiewska-Żołądkowska po prostu nie figuruje. Nie ma jej. A przecież jako świetliczanka była na etacie PSK, tzn. Pomocniczej Służby Kobiet. Nie ma też najmniejszej wzmianki o jej śmierci. Dodam, że poszukiwania prowadzili ludzie, którzy znają doskonale archiwa Drugiego Korpusu i do których mam pełne zaufanie. Tajemnicza historia (str. 312).**

Istotnie, jest to „tajemnicza historia" – przyznał w liście do mnie (23.4.97) kierownik archiwum Instytutu, p. Andrzej Suchcitz. Równie „tajemniczy" wydaje się być fakt, że „archiwum nie posiada pełnego spisu wszystkich żołnierzy (w tym PWSK) 2. Korpusu". Najbardziej pełna kartoteka, jaka istnieje, tłumaczył p. Suchcitz, to brytyjska, obejmująca żołnierzy PSZ, włącznie z PWSK, „pod dowództwem brytyjskim", ale w niej nazwiska Ligii Żółkiewskiej-Żołądkowskiej nie ma. Ponieważ wiadomo, że była pod dowództwem brytyjskim zarówno na Środkowym Wschodzie jak i we Włoszech, istnieje możliwość – i ta wydaje się najbardziej prawdopodobna – „że jej teczka została usunięta z Oddziału V (Personalnego) Sztabu NW jeszcze przed stworzeniem PZPR i późniejszym przekazaniem tych teczek Anglikom".

Na podstawie wyników mych dotychczasowych starań o wyjaśnienie okoliczności zbrodni, mam prawo wnioskować, że teczka Ligii Żółkiewskiej nie dotarła do Oddziału V, bo w porę postarał się o jej zniknięcie inny Oddział.

Sprawa tych dochodzeń tak beznadziejnie, jak to

przedstawił p. Giedroyc, nie wyglądała. Los zrządził bowiem, że w tym czasie byli przy życiu co najmniej czterej oficerowie korpuśnej Dwójki, i w chwili gdy piszę te słowa nie jest mi wiadome, by który z nich przeniósł się do nirwany. Wprawdzie żaden z nich nie był bezpośrednio w zbrodnię wplątany, ale o niej, po fakcie, wiedzieli.

O wiele więcej dowiedziałem się z listów czy bezpośrednich rozmów z kilkoma paniami, byłymi członkiniami PSK, które poczuły się w obowiązku odpowiedzi na apel ogłoszony w londyńskim *Tygodniu Polskim* (3.8.1996), *Dzienniku Polskim* (14.8.1996) i w paryskiej *Kulturze* (nr 10/589, str. 160):

APEL DO PAŃ B. OCHOTNICZEK APW i 2-go KORPUSU

Na życzenie redaktora *Kultury*, p. Jerzego Giedroycia jak też powodowany własną ambicją szperacza, podjąłem się próby ustalenia okoliczności śmierci Ligii Żółkiewskiej-Żołądkowskiej, wpierw świetliczanki, potem siostry szpitalnej PSK, której zwłoki znaleziono w rejonie Ankony – Porto San Giorgio.

Będę wdzięczny Paniom, które znały Żółkiewską osobiście, względnie o niej słyszały (plotek nie wyłączam, ich konfrontacje prowadzą często do właściwych wniosków), jeśli będą tak uprzejme przekazać mi cokolwiek w tej sprawie wiedzą. Głównie chodzi mi o wiadomości dotyczące jej śmierci: jak to tłumaczono, na kogo zwalano winę, jakie były ewentualne późniejsze echa itp. Daty śmierci nie udało mi się ustalić. Z góry też dziękuję.

Kazimierz ZAMORSKI
Höslstrasse 32
D-81927 München

Jedną z pierwszych była opowieść mej dobrej znajomej „z tamtych lat", gdy była jeszcze nastolatką i przez pewien czas pracowała w Biurze Dokumentów, wtedy w Jerozolimie. Ponieważ nie życzy sobie ujawniania swego nazwiska, posługiwać się będę w tym tekście kryptonimem „Marysia". Ligię Żółkiewską poznała na przełomie lat 1942/43 w Khanaqinie (Irak) w Centrum Wyszkolenia Armii.

Moim głównym szefem był Biegański[4], a poniżej niego był Stahl. Ten był szefem oddziału kulturalno-prasowego, czy coś takiego i ja byłam przydzielona tam jako świetliczanka, ale Ligia właściwie była nade mną, bo przecież ona była dużo starsza i była już po jakichś uniwersyteckich studiach. Pamiętam ją bardzo dobrze, blondynka, krótko obcięte włosy i zawsze papieros jej wisiał w ustach, nie rozstawała się z papierosem. Miała takie jakieś dziwne konszachty z różnymi żołnierzami, uczyła się prowadzić samochód i bardzo często nam znikała, po parę dni nawet jej nie było. Tego nikt nie robił poza nią. Stahl mnie parę razy wzywał do siebie i wypytywał o nią. Byłam wtedy bardzo młoda i innymi oczami patrzyłam na to wszystko. Dziś z odległości czasu, w dojrzałym wieku inaczej bym to oceniała. Przede wszystkim nie wiedziałam wtedy, że Ligia była komunistką. Była w jakimś więzieniu w Rosji i wyszła na wolność po amnestii tak jak każdy inny Polak.

Potem nasze drogi się rozeszły, już nie pamiętam czy jechałyśmy razem do Palestyny, to znaczy czy byłyśmy razem do czerwca 1943. Nie pamiętam. Potem ja się z Ligią nie widziałam, spotkałam ją dopiero we Włoszech. To było w maju 1944, już po Monte Cassino. Ja byłam w Marina di Taranto, taki obóz tuż pod Taranto, też jako świetliczanka, ale jak trzeba było wozić żołnierzy z tego domu ozdrowieńców do szpitala, to myśmy czasem musiały pojechać, bo tam były trudności z personelem. Najbliższy szpital był trzeci w Palagiano i tam właśnie spotkałam Ligię. Pamiętam jak dziś, Ligia stoi przed tym szpitalem i mówi: „Marysiu, popatrz, jak mnie zdegradowali". Ja mówię „dlaczego ciebie zdegradowali?" „Bo ja teraz pracuję" – ona mówi – „w tym dziale brudnej bielizny". Tam była pralnia jakaś z tyłu, pamiętam, i ona tam pracowała. Zawsze tam ktoś do niej przyjeżdżał.

Pewnego dnia przyjechałam do szpitala, pytam o nią i dowiaduję się, że stało się coś dziwnego: przyjechała ciężarówka, wysiadło z niej dwóch żołnierzy, Ligia wsiadła do tej ciężarówki, odjechała i od tej pory ślad po niej zaginął. Po pewnym czasie dowiedziałam się od wachmistrza żandarmerii, który przyjechał na motocyklu tam do szpitala w Palagiano, że Ligię zamordowano, a zwłoki jej, zakopane płytko u jakiegoś *contadino*[5], wykopały świnki. Ten wachmistrz chciał, bym pojechała zidentyfikować zwłoki, ale odmówiłam. To już było po zdobyciu Rzymu i chyba po zdobyciu Ankony w lipcu 1944, gdy droga była wolna, a zresztą może i wcześniej[6].

4. Stanisław, dr płk dypl.

5. Rolnik.

6. Autoryzowane streszczenie zapisu rozmowy telefonicznej z 7 sierpnia i osobistej w Londynie w dniu 15 września 1996.

Zanim zapoznam Czytelników z innymi relacjami dotyczącymi okoliczności śmierci Ligii Żółkiewskiej, postaram się na podstawie dokumentów udostępnionych mi przez Redaktora *Kultury*, a pochodzących ze źródeł krajowych, zarysować jej sylwetkę, przedstawić to co uważała za swą misję życiową, a co stało się motywem zbrodni.

Pani Ida Poznańska-Hagari, przyjaciółka Ligii z czasów uniwersyteckich, w liście z Izraela (19.2.1963) pisze:

Opuściłam Polskę w 1939 roku tuż przed wybuchem wojny. Spotkałyśmy się niespodzianie w roku 1942. Ligia przybyła z armią Andersa. Zmieniła się bardzo, ogorzała, przytyła. W tyfusie obcięto jej włosy, głowę jej okrywały krótkie jasne loki[7]. Podczas wojny owdowiała. Mówiła o Bohdanie[8], towarzyszu swego życia, jakby nie umarł, dla niej on istniał, jego się w myślach radziła, z jego zdaniem, którego się domyślała, liczyła. Wiedziała, że po jego śmierci nie jest jej zadaniem opłakiwać go, lecz wypełniać i prowadzić dalej to co on zaczął. ...Organizowała świetlice, odczyty, pogadanki, troszczyła się o każdego z osobna i o wszystkich razem... Była bardzo popularna i miała olbrzymi wpływ na masy żołnierzy. Ten wpływ nie bardzo podobał się władzom, które zorientowały się w jej politycznym lewicowym kierunku. Poziom kulturalny żołnierzy się podnosił, lecz kto by dbał o takie sprawy, gdy ich dusza dostawała pokarm polityczny zakażony...

Ligia była aktywna w stosunku do każdego, z którym się zetknęła. Nie była obojętna i na mój los. Ona była tą, która wpłynęła na mnie, bym poszła do kibucu, komuny rolnej. „Gdybym była Żydówką, nie wahałabym się ani chwili" – przekonywała mnie. Ona towarzyszyła mi w mych pierwszych krokach. Szybko potem znalazłam się w kibucu. Niestety Ligia nie odwiedziła mnie nigdy na mym nowym terenie. Grube mury

7. Tyfus przeszła w Rosji. Wiosną 1942 spotkał ją jako świetliczankę w Centrum Wyszkolenia Armii we Wrewskoje (Uzbekistan) Zdzisław Bau: „Była po tyfusie i jeszcze prawie łysa" (*Kultura* nr 1/364-2/365, styczeń-luty 1978, str. 97.).

8. Wg „Wielkiej Encyklopedii Powszechnej" PWN, 1969: ŻOŁĄDKOWSKI Bogdan (taka pisownia imienia - kz), ur. 1905 w Petersburgu, zm. 7 III 1941 we Lwowie, działacz KZMP i KPP; od 1923 członek ZPMS, następnie w KZMP; 1926-30 dwukrotnie aresztowany, od 1930 z ramienia KC KZMP kierował lewicowym ruchem studenckim, działał w ZNMS „Życie", od 1935 w KPP, gdzie pracował w Centralnym Wydziale (sprawy inteligencji), kierował akcją jednolitofrontową w związkach zawodowych, z ramienia KPP prowadził rozmowy z PPS; od września 1939 we Lwowie.

więzienia jerozolimskiego odgrodziły ją od świata. Kręciłam się godzinami pod więziennym budynkiem, lecz nie dostałam pozwolenia odwiedzenia Ligii. Następnie zwolnili ją jakoby i przewieźli do Włoch. Tam bez sądu, jakby przypadkiem, gdy szła ulicą, skończyli z nią podstępnie. Takie słuchy doszły mnie o jej zgonie. („Wspomnienie o Ligii Żółkiewskiej" – fragmenty, jak zaznaczono).

Inna koleżanka Ligii ze studiów, pani Irena Chmieleńska, przesłała obszerną opowieść, z której wynotowuję istotne momenty.

Ligia była najstarszą (ur. we wrześniu 1907 w Kijowie) spośród czworga rodzeństwa. Po niej przyszły na świat bliźniaczki Wanda i Bronisława[9], a w 1910 roku brat Witold. W 1922 roku rodzina, bardzo patriotyczna, przeniosła się do Krzemieńca, skąd pochodził ojciec Feliks, farmaceuta. Młodzi uczęszczali tam do słynnego liceum. Po maturze Ligia przyjechała do Warszawy, gdzie studiowała psychologię wychowawczą na Uniwersytecie Warszawskim. Po magisterium pracowała w Ministerstwie Sprawiedliwości, z ramienia którego jeździła po Polsce, przeprowadzając wywiady środowiskowe oraz badania inteligencji nieletnich oskarżonych o dokonanie zbrodni; przez pewien też czas w Ośrodku Opieki Społecznej, wreszcie w Państwowym Instytucie Higieny Psychicznej jako psycholog na oddziale dziecięcym. Nie kryła się ze swoimi poglądami politycznymi. O jej lojalności świadczyć może fakt, że przed objęciem pracy w Instytucie poinformowała jego szefa, dra Kazimierza Dąbrowskiego, że jest komunistką.

Z Bohdanem Żołądkowskim związała się, gdyż – jak patetycznie pisze p. Chmieleńska – „wyznawał ten sam system wartości i tak samo widział cel swego życia". Wiążąc się z nim „z góry rezygnowała z macierzyństwa, przynajmniej do czasu rewolucji. Dziecko uniemożliwiłoby jej pełne oddanie się Sprawie".

Kiedy Bohdan spotkał Ligię był człowiekiem żonatym i ojcem małego synka. Żona jego też była komunistką bodaj z rodziny lewicowych pepeesowców. Ci, którzy ją znali mówili o niej

9. Obie wpisane jako ofiary NKWD na cegiełkach wmurowanych w zewnętrzną ścianę kościoła św. Karola Boromeusza na Powązkach.

bardzo dobrze, więc powodem rozejścia się jej z mężem nie były nieporozumienia, ale – najwidoczniej – silne uczucie, jakie w Bohdanie wzbudziła jego łączniczka Ligia. Nigdy nie rozmawiałam o tym, ale jestem przekonana, że Ligia nie wywierała na Bohdana wpływu w tej sprawie i że rozstanie się z żoną było jego własną decyzją. Wiem tylko, że Bohdan co niedziela wyprawiał się z synkiem czy do lasu lub parku, czy do Zoo lub Baja. Pamiętam też, że na niskiej szafce w kawalerce na żoliborskim WSNie stała w ramkach spora fotografia pierwszej żony Bohdana z dedykacją u dołu: Ligii i Bohdanowi na szczęście – Zofia.

We wrześniu 1939 Ligia z mężem wyjechali z Warszawy do Lwowa, gdzie już pod sowiecką okupacją, on dostał pracę w jakiejś fabryce jako buchalter, ona w szkolnictwie. „Kiedy wiosną 1940 roku zaczęto masowo wywozić Polaków na Wschód, Bohdan udał się do władz z zapytaniem o powody podjęcia tej akcji. Wkrótce potem zabrano go nocą z domu" – pisze p. Chmieleńska. Jeśli tak było, a nie mam podstawy, by w to wątpić, świadczy to tylko o bezgranicznej naiwności ówczesnych polskich komunistów, tych maluczkich roboczych mrówek. Żona Bohdana, Ligia też do tej kategorii należała. P. Chmieleńska wspomina:

Kiedy doszło do rozwiązania partii przez Komintern i wymordowania jej przywódców, spytałam Ligię czy uwierzyła w słuszność postawionych im zarzutów. „Przecież ich osobiście znałaś?" – spytałam. „Znałam, ale okazuje się, że nie dość dobrze. Komintern mógł dokładniej zbadać i ocenić ich działalność". Ta wypowiedź wstrząsnęła mną. Pomyślałam, że różnica między nami może być w dużym stopniu rezultatem wychowania domowego. Jak niegdyś Roma, tak tym razem Moskwa *locuta – causa finita*. Ja nie byłam zdolna do takiej pokory.

Odnośnie aresztowania obojga i zesłania w głąb ZSSR dysponuję dwiema relacjami, różniącymi się w dość istotnych szczegółach. Z obowiązku nie tyle dziennikarskiego co lojalnego szperacza, podaję obie wersje. P. Chmieleńska pisze:

Ligii, która poszła dowiedzieć się, co się dzieje z mężem, podano nazwę dworca i godzinę odjazdu pociągu, którym miał Bohdan jechać na wysiedlenie. Wsiadła więc do tego pociągu. Bohdana tam nie było, a ona wysiadła pod Archangielskiem i została, jak wszyscy inni pasażerowie, zatrudniona – dobrowol-

nie – przy wyrębie lasu. Mogła utrzymywać kontakt listowny z rodziną.

Rodzina nie zachwycona jej poglądami politycznymi liczyła na to, że Ligia się w nich zachwieje. Ale to nie nastąpiło. Nie nastąpiło nawet, kiedy Witold powiadomił ją o śmierci Bohdana. „Teraz będę musiała pracować za dwoje" – napisała do rodziny.

Bohdan wrócił do Lwowa 12 marca 1941 roku, aby trzeciego dnia umrzeć na rękach szwagra. Mówił, że był na dalekiej północy. W redakcji „Słownika Biograficznego Działaczy Ruchu Robotniczego" jest odręczna notatka, że był w republice Komi.

Wg notatki p. Witolda Żółkiewskiego (Warszawa, 15 VI 1995 r.) „sporządzonej w imieniu dwu Sióstr łączniczek AK zmarłych w łagrach Pieczory i okr. Kemerowskiego i swoim", przesłanej Redaktorowi *Kultury:*

Ligia zgłosiła się na wyjazd wraz z mężem, ciężkim inwalidą, w naiwności sądząc, że danym im będzie przebywać razem. Zesłana została do Okręgu Archangielskiego do wyrębu tajgi. (Mąż, po parumiesięcznym śledztwie, został zesłany do łagru pracy przy Wołgostroju w Rybińsku. Zwolniony po 6 miesiącach ze względu na stan zdrowia zmarł w kilka dni po powrocie do Lwowa). Losów męża Ligia nie była świadoma.

Do czasu. Bo spotkawszy w Izraelu, ówczesnej Palestynie, koleżankę ze studiów, opowiadała jej o zmarłym mężu. Czy było to już w 1942 roku czy 1943, trudno mi ustalić, skłaniam się raczej do wersji 1943, co wynikałoby z relacji „Marysi". Pani Poznańska-Hagari wspomina też, że usiłowała odwiedzić Ligię w więzieniu jerozolimskim, co mogło mieć miejsce dopiero w październiku 1943.

Wtedy bowiem, jak pisał jerozolimski korespondent *Polski Zbrojnej*[10] Jan Hłasko, „nastąpiło znane aresztowanie 6 oficerów i szeregowców oraz 1 ochotniczki", którą była właśnie Ligia Żółkiewska-Żołądkowska. Kreśląc jej sylwetkę, Hłasko dostarcza, trochę odmienną od znanych już, wersję jej „podróży" do Rosji. „Po wybuchu wojny w 1939 r. znalazła się we Lwowie, skąd władze sowieckie wysłały ją wraz z innymi uchodźcami do tak zwanego posiołka". Po amnestii wstąpiła do Armii Polskiej, gdzie pracowała jako świetliczanka. Pracę tę, pisze Hłasko, uważano za szkodliwą:

10. Nr 73 i 74 z 26 i 27 marca 1946.

Mówił to jej wprost p. Stahl, ozonowy redaktor przedwojennej *Gazety Polskiej*. Otoczono ją sforą szpicli w spodniach i w spódnicy. Dlatego też wystarczyło jej zetknięcie się na terenie Palestyny z podejrzanymi przez II Oddział, by została aresztowana.

W więzieniu w Jerozolimie była jedyną kobietą. Traktowano ją też wyjątkowo źle. Przez 6 tygodni siedziała w karcerze piwnicznym, nie pozwalano jej korzystać ze spacerów, nie dopuszczano gazet ani książek. Głodzono. Chciano ją skazać, lecz sprawa aresztowanych wyszła na światło dzienne. Poruszył ją m.in. amerykański korespondent dziennika *Chicago Daily News* p. Mowrer. Dlatego też por. Jaworski z II Oddziału musiał jej oświadczyć:

„Gdyby to zależało ode mnie, nikt z was nie ujrzałby światła dziennego; niestety, posiadam rozkaz uwolnienia pani".

... W 24 godziny po wypuszczeniu z więzienia znalazła się w Kairze, gdzie odkomenderowano ją do pracy w PCK, przydzieliwszy „anioła stróża" z II Oddziału, niejaką Halinę.

Wg relacji Hłaski był tam też por. Stanisław Lukas z II Oddziału, który zaproponował Ligii małżeństwo, co oczywiście byłoby jednoznaczne z „rehabilitacją". Gdy i to nie pomogło, „10 maja 1944 r. posłano ją do obozu w Qassasinie, skąd przerzucono ją do Włoch. I odtąd już tylko z listów dokładnie cenzurowanych można było dowiedzieć się czegoś o jej życiu". W listach tych, cytowanych przez Hłaskę, a wysyłanych do przyjaciółki, z którą jeszcze w Kairze uzgodniła jakiś naiwny szyfr w rodzaju Janka, Klara, Edward, pisała:

Pracuję w szpitalu w składzie bielizny. Praca jest ciężka, nieciekawa, ale potrzebna. Cieszę się, że pracuję dla rannych...

Wpadłam zdaje się w „galopującą depresję". Nie wiem kto jest przy zdrowych zmysłach – czy ja czy otaczający mnie świat...

Nie wiem nic o moich najbliższych, a wiadomości o Warszawie są straszne...

Nadal pracuję w moim składzie, a wieczory po staremu spędzam w świetlicy, gdzie jeszcze mogę słuchać radia i czytać.

Listy przychodziły do dnia 14 I 45 r. – pisze Hłasko. Data ta niekoniecznie oznacza, że ostatni list był wysłany np. 10 stycznia. Bardziej prawdopodobne jest, że przed dojściem do celu przeleżał się parę dobrych tygodni w cenzurze, a jeszcze

parę tygodni w II Oddziale, gdzie z jego treścią chciał, czy miał obowiązek zapoznać się oficer, któremu zlecono inwigilację Ligii. Jeśli akurat był chory albo na urlopie, następowała dalsza zwłoka.

Bardziej rewelacyjny, jeśli chodzi o chronologię i okoliczności śmierci Ligii Żółkiewskiej, wydaje się być następujący ustęp artykułu Hłaski:

Jeszcze w marcu przyjaciele jej prosili znajomego podoficera, by odszukał Ligię. Bardzo ucieszyła się ze spotkania. Gdy jednak podoficer ten po raz drugi zgłosił się do jej obozu, żandarmeria zakomunikowała mu, że Ligia Żółkiewska „zdezerterowała". W tym samym czasie Wojskowa Policja Brytyjska znalazła na szosie trupa kobiety, której czaszka zmiażdżona była kołami samochodu. Lecz wystarczyło pobieżne badanie, aby stwierdzić, że kobieta ta przed dostaniem się pod koła samochodu otrzymała w głowę pocisk pistoletowy. Kobieta ta posiadała papiery na nazwisko Ligii Żółkiewskiej. Pieniądze jakie miała przy sobie nie zostały skradzione. Przed zniknięciem z obozu widziano ją w towarzystwie polskiego żołnierza, którego jednak nikt nie rozpoznawał, a którego podobno nigdy więcej nie zobaczono.

Wydaje mi się, że ta wersja śmierci Ligii posłużyła późniejszym „świadkom historii". Na przykład, z relacji Romualda Gadomskiego nagranej w ZHP w grudniu 1965 dowiedzieć się można, że już w Iraku „mieliśmy lewicową grupkę, do której przyłączyła się Lidia (*sic*) Żółkiewska". Ze Środkowego Wschodu została wysłana do Włoch.

Tam została zamordowana przez „Dwójkę", wywabiono ją z obozu, w którym przebywała, i przestrzelono jej głowę (dostała dwa pociski w tył głowy. Aby to zakamuflować, przejechano ją kilkakrotnie autem).

W swych „Szkicach emigracyjnych", Warszawa 1948, Mikołaj Jerzy Górszczyk (Poleszczuk) pisze (str. 126) o „pestce", innej niż jej koleżanki:

Zamiast marzyć o karierze filmowej, marzyła o jak najszybszym powrocie do kraju i nie ukrywała swej tęsknoty. Nie pamiętam jej nazwiska, zdaje się, że była to Żółkiewska. Wyznaczono ją na transport do Włoch. W parę tygodni później we Włoszech, na zapylonej szosie znaleziono trupa dziewczyny z rozpłataną głową... To tylko katastrofa wozu ciężarowego.

Podaję te relacje z pełnym dobrodziejstwem inwentarza. Dla dalszych rozważań i konfrontacji z innymi źródłami, ważne będą dwa zagadnienia: data i rodzaj śmierci.

Motyw jest już znany. Najwyraźniej określił go Józef Czapski w liście do pułkownika Wincentego Bąkiewicza[11], w którym czyni mu zarzut, o aresztowanie Żółkiewskiej, „bo była podejrzana o Berlingostwo" (podkr. - kz). W rozumieniu Dwójki, i nie tylko Dwójki, całego Korpusu, Berling był synonimem zdrady, dezerterem. Stąd Berlingostwo to coś więcej niż komunizm. Ale nie wyobrażam sobie, by przeciętny andersowiec domagał się za to kary śmierci.

Wracam do odpowiedzi na mój „Apel" – do relacji Pań, które spotkały Ligię na terenie Włoch. Z dalekiej Australii przesłała mi swą opowieść (24.11.96) pani Angela Wohlman, czytelnikom *Kultury* i *Zeszytów Historycznych* znana ze swych wspomnień wileńskich Nika Kłosowska.

Znałam Ligię Żółkiewską. Miałyśmy obie przydział do Szpitala Wojennego Nr 3 w Palagiano (Calabria). Otóż Ligia ze świetliczanki zjechała nie na siostrę szpitalną – to nie byłoby tak źle – ale na jedną z praczek w szpitalu. To było pranie zakrwawionej i zaropiałej bielizny pościelowej ciężko rannych, bo w tym szpitalu byli tylko ciężko ranni. Inne szpitale polowe miały lżejszych.

Nie przyjaźniłam się z nią bo po 1-sze miałyśmy zupełnie inne przydziały, ja byłam maszynistką-tłumaczem – ona w tej pralni. Po 2-gie była to osoba b. zamknięta w sobie i nieskłonna do zbliżeń. Ale kiedyś, przy jakimś przypadkowym spotkaniu, spytałam czemu nie zaprotestuje, nie zwróci się choćby do samego Generała – który był człowiekiem b. dostępnym – przeciwko tego rodzaju upokorzeniom. Wiedziałam zresztą o jej komunistycznej przeszłości, za którą swoje odsiedziała w sowieckim łagrze. Ale skoro przyjęto ją do Korpusu to za co ta degradacja? Jej odpowiedź dotąd tkwi mi w pamięci: „Oni chcą

11. Pisany ręcznie – 4 strony – list bez daty, której można się domyślić z treści, a więc po 19 czerwca 1944, kiedy mjr Czapski przestał być szefem Oddziału Kultury i Prasy II Korpusu. Sygnatura wg angielskiego skrótu *The Polish Institute and Sikorski Museum*: PISM, KOL 138/177c.

mnie doprowadzić do samobójstwa, ale to się im nie uda". Udało się co innego. To się stało latem 1944, ale miesiąca nie pamiętam, chyba lipiec albo sierpień, pod Loreto. Ligia dostała urlop i wybrała się jak my wszyscy wtedy, czyli „autostopem". Znaleziono jej trupa, podobno była naga i poraniona, ale nie zastrzelona. Trzeba było zabierać jej ubogie manatki z namiotu.

Mówiło się o tym mało *post factum*. Ja osobiście posądzałam o to „dwójkę" – O. II Korpusu.

Kiedyś, po paru miesiącach, zapytałam zaprzyjaźnionego oficera O. II. Przecież musiało być jakieś śledztwo w tej sprawie? Odpowiedział mi, żebym nie wsadzała nosa w sprawy, które wcale mnie nie powinny interesować.

W następnym liście (30.12.96) p. Wohlman podała mi nazwisko oficera II Oddziału, który jej doradzał *désintéressement* w sprawie Ligii: Jan Bohatyrewicz, niezawodowy, rezerwa. Nie znałem go. Raz jeszcze, na moje wyraźne pytanie, p. Wohlman potwierdziła datę śmierci Ligii Żółkiewskiej: rok 1944.

W połowie sierpnia 1996 dostałem od pani Elżbiety Piekarskiej z Londynu taką zwięzłą relację, z której wynikało, że autorka wie grubo więcej niż napisała:

Byłam siostrą PCK w 3 szpitalu wojennym w Palagiano (lato 1944). Znajomi moi, którzy pracowali w Bari (tzw. „dwójka") powiedzieli mi, że następnego dnia przyjedzie do szpitala jako „siostra" p. Ligia Żółkiewska; (Nazwiska tych panów nie pamiętam). Na drugi dzień zauważyłam w naszym kasynie siedzącą samotnie przy stoliku nowo przybyłą siostrę. Zdziwiło mnie to, że miała na sobie biały fartuch, jaki nosiły sanitariuszki. My, siostry PCK, dawno miałyśmy własne sukienki i fartuszki z odznakami Czerwonego Krzyża na ramionach i czapkach. Fartuszki były konieczne, pracując przy rannych, musiałyśmy je często zmieniać.

Podeszłam do stolika i próbowałam nawiązać rozmowę. Żal mi jej było, bo wyglądała zgubiona i trochę zaniedbana. Z rozmowy nie dowiedziałam się nawet skąd do nas przyszła. Wyraźnie nie chciała rozmawiać.

Nie trwało to wszystko dłużej jak jakieś dwa tygodnie. Dokładnie nie pamiętam. Pewnego dnia rano przyjechało kilku wojskowych (wojskowy samochód i motocykl). Służbowa została wysłana po siostrę Ligię. Wróciła prędko z niczym. Ligia zniknęła. Uciekła w nocy, zostawiając wszystkie swoje rzeczy. Musiał ktoś po nią przyjechać, bo piechotą nigdzie by nie zaszła. Poruszenie było ogromne, plotek jeszcze więcej.

Po kilku dniach dowiedziałam się, że ciało jej zostało znalezione w lesie koło drogi. Podobno była zastrzelona.

„Nie żałuj jej – zasłużyła na to" – to była odpowiedź na moje pytania.

Jest zrozumiałe, że nie mogłem poprzestać na tak skąpym opisie. Na szereg pytań uzyskałem odpowiedź, wpierw w bezpośredniej rozmowie z p. Piekarską w dniu 9.9.1996 w jej mieszkaniu w Catford pod Londynem, następnie w obszernym liście z 6.3.1997, uzupełniającym zapis tamtej rozmowy.

Jako wprowadzenie do dalszej opowieści wyjaśnię, że początkowe skrupuły p. Piekarskiej odnośnie ujawnienia nazwisk dwóch oficerów Dwójki ustąpiły po mym zapewnieniu, że nie żyją. Byli to por. Stanisław Chaszkowski, który miał przydomek „Żuczek" i opinię „romansowego kawalera", jego bliskim przyjacielem, głównie od kielicha, był por. Zbigniew Piątkowski, który do Korpusu przyjechał z Jugosławii, gdzie był oficerem wywiadu brytyjskiego do maja 1944, gdy Brytyjczykom przestał się podobać dowódca czetników gen. Mihajlovicz, a bardziej pożyteczny okazał się Tito.

Żuczka Chaszkowskiego poznałam dużo wcześniej, nie pamiętam kiedy – chyba jeszcze w Iraku. We Włoszech prędko nawiązaliśmy kontakt (zakwitł romans pomiędzy Żuczkiem a moją koleżanką). W Bari poznałam kilku jego kolegów, między innymi Zbyszka Piątkowskiego, który nazywał się wtedy Alfred Link i nosił mundur i odznaki oficera wojsk brytyjskich.

Przyszedł rok 1944. Późne lato, chyba początek sierpnia – może koniec lipca. Bardzo gorąco. Byłam wtedy zaręczona i robiłam różne plany związane ze ślubem.

Pewnego dnia Żuczek powiedział, że do naszego szpitala przybędzie nowa siostra i że dobrze by było, żebym zwróciła uwagę kto ją odwiedza i z kim się spotyka.

Kilka dni potem, wczesne rano, śniadanie w kasynie. Wchodzi nowa siostra. Przełożona wskazuje jej stolik i ogłasza: mamy nową siostrę Ligię Żółkiewską. Przydział: najdalej położony oddział szpitala (chyba weneryczny albo umysłowo chorzy). Szpital miał wtedy przeszło 2000 rannych i zajmował ogromną przestrzeń, ciągnącą się od miasteczka wzdłuż ogrodów oliwnych do plantacji drzewek migdałowych. Praca na tamtych oddziałach była dowodem niełaski u przełożonej. Było oczywiste, że nowa siostra została jej narzucona.

Moje pierwsze wrażenie: zdziwienie, bo wyobrażałam sobie Ligię zupełnie inaczej. Młodą, ładniejszą. A tu widzę: twarz

bardzo pospolita, wiek trudny do określenia (30-40 lat). Figura raczej krępa. Sprawę pogarsza standardowy, fasowany biały fartuch. Fartuchy te nosiły sanitariuszki.

Przysiadam się do stolika, przy którym siedzi Ligia. Nawiązuję rozmowę, z której dowiaduję się, że jest chwilowo zakwaterowana w pustym namiocie na terenie obsługi. Brak ubioru siostrzanego tłumaczy tym, że jej rzeczy zginęły (ukradzione?) w transporcie. Proponuję pożyczenie jej jednego z moich fartuszków. Po kilku rozmowach orientuję się, że Ligia jest mistrzem w dawaniu wykrętnych odpowiedzi. Spotykamy się tylko w kasynie. Rannych przybywa, transporty ich przychodzą w dzień i w nocy – jesteśmy zapracowane.

Po pewnym czasie (chyba około dwóch tygodni), w rozmowie z Żuczkiem, wspominam coś na ten temat: Machnął ręką: „niedługo ktoś po nią przyjedzie"

Za kilka dni śniadanie w kasynie, upał, duchota, ściany namiotu kasyna podniesione. Widzę, że przez bramę wjeżdża na teren „piętnastka" z brezentową budą i motocykl. (Po co ta buda w taki upał?) O ile pamiętam, przyjechało czterech wojskowych mnie nie znanych, z wyjątkiem podoficera na motocyklu. Widywałam go w Bari. Tych siedzących w budzie nie mogłam zobaczyć.

Wysiadł jeden z wojskowych (chyba dwie gwiazdki), zwrócił się do przełożonej, ona z kolei poleciła służbowej, by zawołała siostrę Ligię. Służbowa wróciła i mówi, że Ligii w namiocie nie ma. Nie było jej również na sekcji. To znaczy co? Uciekła w nocy? Do tego jej namiotu pobiegli wszyscy, ja się tam nie pchałam, ale przełożona, służbowa, ci panowie co przyjechali. W namiocie leżały jej rzeczy porzucone w pośpiechu, mój fartuszek, nawet szczotka do zębów. Ktoś musiał po nią przyjechać od strony ogrodów oliwnych. Piechotą daleko by nie zaszła.

Wieczorem przyjechali znajomi. Żuczek powiedział coś w rodzaju: „ona nam nie ucieknie". To „nam" było bardzo ogólnikowe – nie znaczyło, że on bezpośrednio miał z tym coś do czynienia. Zbyszek jeszcze mniej. Byłam tego zupełnie pewna. Ktoś inny zajmował się tą sprawą.

Na drugi dzień przełożona wezwała mnie do siebie. Chciała wiedzieć co mój fartuszek (podpisany) robił w namiocie Ligii. Po paru dniach znów służbowa wzywa mnie do przełożonej. Myślałam, że znów w sprawie Ligii. Ale tym razem dwaj panowie z prasy chcieli ocenić, czy jestem na tyle fotogeniczna, by moje zdjęcie ukazało się na tytułowej stronie *Ochotniczki*[12].

12. Potrójny numer 9, 10, 11, czerwiec, lipiec, sierpień 1944. Za te dane wdzięczny jestem pani Idzie Szmidt, z-cy kier. Biblioteki Polskiej w Londynie.

Pozornie nie ma to nic wspólnego ze sprawą Ligii, piszę zaś o tym, by określić czas jej śmierci.

Wkrótce potem przyszła wiadomość, że ciało Ligii zostało znalezione gdzieś w lesie przy drodze, płytko zagrzebane. Kto to zrobił? Plotek, w tym bzdur, było dużo. Kto znał prawdę, milczał.

Wśród wielu wersji była i taka, że ją zamordowali ci, którzy jej pomogli w ucieczce. Nasi chcieli ją mieć w swoich rękach żywą, wyśpiewałaby dużo. A tak, co komu z nieboszczki? Przez to dużo spraw zostało nie wyjaśnionych albo wyjaśnionych za późno. Żuczek był zły i niezadowolony z takiego obrotu sprawy. Ale nigdy więcej do tego tematu nie wracał.

Może dlatego że znał prawdę. Z wyraźną *Schadenfreude* podzielił się z przyjacielem wiadomością, że „świnie wykopały i wyszło na jaw". Przyjacielem był por. Stefan Tejchman, szef rzymskiej placówki II Oddziału, a radość z niepowodzenia bliźniego dotyczyła szefa Wydziału Bezpieczeństwa Oddziału Informacyjnego Włochy, którym był kpt. Jan Pacak. „On by wszystkich wymordował bardzo chętnie" – zauważył Tejchman. On też, Pacak, polecił Ligię udusić, a wykonał to „jeden z członków Kedywu, który w Polsce był w komórce likwidacyjnej, przyjechał do Korpusu i trafił do Pacaka, który przyjął go z otwartymi ramionami"[13].

Zdaniem innego oficera Dwójki Aleksandra Aksana, mordercą „jakiejś siostry miłosierdzia, z podejrzeniem że ona jest szpiegiem sowieckim" był „taki starszy strzelec Tokarczyk, wielki drab od mokrej roboty Pacaka". Nie miał on nic wspólnego z Kedywem, „przyjechał razem z Andersem z Rosji". Aksan nie znał nazwiska tej „siostry", słyszał, że ją Tokarczyk „zatłukł"[14].

Wersję śmierci przez uduszenie wydaje się potwierdzać list z Londynu (25.7.1996) mej niegdyś żony, obecnie p. Ireny Roseveare:

Na temat morderstwa pani Żółkiewskiej mogę Ci podać następującą wiadomość: w późnych latach siedemdziesiątych byłam u państwa Młynarczyków i pan Aleksander Młynarczyk, mąż mojej koleżanki z Porto San Giorgio Madzi Lasak, opowiedział nam o „wykończeniu" pewnej ochotniczki przez Dwój-

13. Zapis rozmowy telefonicznej (Monachium – Merlo w Argentynie) z 3 marca 1996.

14. Z zapisu rozmów telefonicznych (Monachium – Stockport w Anglii) w dniach 13 i 15 października 1996.

kę, powodując jej śmierć przez uduszenie jej podpaską higieniczną. Pan Młynarczyk był oficerem żandarmerii 2-go Korpusu. Niestety oboje już nie żyją.

Po zrozumiałych oporach zdecydowałem się udostępnić ten list Czytelnikom jedynie ze względu na fakt, że źródłem jest podoficer żandarmerii, który mógł być służbowo zajęty sprawą.

Podobnie jak rodzaj śmierci, sporną pozostaje data. Wersji Hłaski (*Polska Zbrojna*), jakoby Ligia żyła jeszcze w marcu 1945, kiedy ją odwiedził zaufany podoficer, należy przeciwstawić relacje trzech pań, b. członkiń PSK, które obstają przy 1944 roku (tu ważna data *Ochotniczki*). Aksan, którego o to pytałem, stanowczo twierdzi, że o śmierci „siostry miłosierdzia" (można założyć, że chodzi o Ligię) dowiedział się gdy był w Neapolu, a więc w 1944 roku, bo potem został przeniesiony do Rzymu. Tejchman nie pamięta kiedy dowiedział się o kompromitacji Pacaka. Ja natomiast przypominam sobie dokładnie, że o zamordowaniu „tej Żółkiewskiej", rzekomo przez „włoskich rzezimieszków", mówił mi w Rzymie, z przymrużeniem oka, rtm. Kazimierz Święcicki, wtedy szef Oddziału Kultury i Prasy Korpusu, a mogło to być tylko między lipcem a październikiem 1944).

Niesporny wydaje się być motyw, choć niewolny od gradacji: komunistka, berlingówka, domniemanie szpieg sowiecki.

Nie wydaje się też ulegać wątpliwości, że winny zbrodni jest II Oddział. Jest co najmniej zastanawiające, że wśród oficjalnych dokumentów jedynie tajny spis podejrzanych „wywiadu obronnego" Korpusu zawiera pozycję:

Żółkiewska-Żołądkowski Ligja, och.[15]

Domaga się odpowiedzi pytanie, kto osobiście w II Oddziale odpowiada za zbrodnię. Czy Pacak działał na własną rękę czy z wyższego rozkazu? Bąkiewicza? Szefa Sztabu? Dowódcy Korpusu? Jest więcej niż wątpliwe, czy to gdziekolwiek zostało zapisane, nawet w tej dotychczas zastrzeżonej części archiwum Bąkiewicza.

Monachium, w maju 1997

Kazimierz ZAMORSKI

15. Taka pisownia. PISM KOL. 138/235.

Dzień polski w Sztokholmie

Założenie Dnia Polskiego w Sztokholmie było trafne: celem głównym miało być przybliżenie Szwedom kraju wprawdzie sąsiedniego, ale praktycznie im nie znanego. Przybliżenie takie było nader potrzebne zwłaszcza wobec wizyty w Szwecji premiera Cimoszewicza. W tej sytuacji można było oczekiwać, iż w Ogrodach Królewskich (Kungsträgarden) pokazana będzie Polska jako kraj już dość nowoczesny i dynamicznie się rozwijający, że organizatorzy spróbują dokonać promocji jakichś polskich firm oraz postarają się stworzyć wizerunek kraju, do którego warto pojechać turystycznie i w którym można znaleźć gospodarczych partnerów.

Nadzieje na taką organizację Dnia Polskiego okazały się niestety płonne, gdyż jeszcze raz sięgnięto do wzorów minionego okresu, urządzając cepeliadę dla sztokholmskich „Polonusów", którzy w odpustowej atmosferze czuli się „niczym u cioci na imieninach" (określenie z 15-minutowej, polskojęzycznej audycji „Aktualności" szwedzkiego radia dla imigrantów). Przy dźwiękach Kapeli Warszawskiej imigranci polscy żwawo podrygiwali w ten zimny dzień majowy. Potencjalnym klientom oferowano futerały na długopisy i inne wyroby góralskiego rękodzieła. Polskie piwo lało się strumieniami, a więc już po południu Szwedzi dużym łukiem omijali Kungsträgarden, słysząc wrzaski w egzotycznym dla nich języku. Do porażki organizatorów cepeliady przyczynił się też niewątpliwie fakt, iż nie potrafili rozstrzygnąć dylematu zupełnie podstawowego: czy ma to być impreza dla Szwedów, czy też dla licznie osiedlonych w Sztokholmie Polaków.

Powiedzmy sobie wreszcie szczerze: Szwedzi na pewno nie mają potrzeby uczestniczenia w Dniu Polskim organizowanym dla Polaków. Dlatego też wszystkie imprezy tego typu (z działalnością Instytutu Polskiego w Sztokholmie włącznie) muszą być wyraźnie adresowane do Szwedów. Polscy imigranci w Szwecji posiadają własne placówki i stać ich, także materialnie, aby w nich urządzać polskie imprezy, z przysłowiowymi „imieninami u cioci" włącznie!

Dla przeciętnego Szweda, nawet tego z wyższym wykształceniem, jest Polska – co otwarcie przyznają także szwedzcy dziennikarze – krajem egzotycznym (w znaczeniu pejoratywnym), wywołującym skojarzenia dość ponure: zniszczenie naturalnego środowiska, sławny „trójkąt śmierci", zacofane rolnictwo, furmanki na złych drogach, przedsiębiorstwa żyjące z dotacji budżetowych, roszczenia do państwa związków zawodowych oraz księży, walczących z wychowaniem seksualnym i środkami antykoncepcyjnymi. Ten zły *image* może być zmieniony tylko wtedy, gdy będzie się pokazywać Polskę nie jako kraj przytupów, przyśpiewek i ludowego rękodzieła, nie jako kraj wybitnych poetów (ostatecznie Szwedzi w nader znikomym stopniu czytają nawet własną lirykę), ale jako kraj szybko zbliżający się do standardów europejskich, w którym nawet ostrożne firmy szwedzkie zainwestowały dotychczas 3.419 milionów SEK.

Muszę tu wspomnieć o czymś, co powie więcej niż cały tom ewentualnych analiz. Wracając z Polski do Szwecji kupiłem na Okęciu, w sklepie wolnocłowym, kilka pudełek czekoladek: jakieś belgijskie grylażowe, duńskie – sławnej firmy A. Berg, szwajcarskie i polskie Wedla. Ponieważ po powrocie rozchorowałem się trochę i leżałem w domu, odwiedzało mnie sporo Szwedów – kolegów z pracy, przyjaciół z organizacji ekologicznej, walczącej o prawa zwierząt (w której nawet pełnię pewne funkcje kierownicze). Odwiedzające mnie Szwedki i Szwedów częstowałem kawą, alkoholami i właśnie owymi czekoladkami. Otóż czekoladki Wedla, w dość imponującym pudle blaszanym, budziły duże zainteresowanie, pytano mnie, co to za firma. Jednak ani jedna osoba nie zaryzykowała spróbowania polskiej czekoladki – objadano się tylko innymi, które też stały na stoliku. Czy więc od Szweda, który z natury bardzo lubi słodycze, ale nie odważa się wziąć do ust polskiej czekoladki, można wymagać, by e.g. czytał polską literaturę? Nie jest oczywiście tak, aby Szwedzi niczego w Polsce nie cenili. Akurat nazwisko Wajdy mało Szwedom mówi, ale każdy kulturalniejszy Szwed zna (i nawet potrafi wymówić) nazwisko Kieślowskiego.

Po moim powrocie z Warszawy *Dagens Nyheter* opublikowały bardzo obszerny artykuł o Grotowskim i był to artykuł pisany na klęczkach. Nie zmienia to jednak faktu, że Polska bardzo potrzebuje w Szwecji reklamy i że musi to być reklama zupełnie innego typu niż wspomniany powyżej Dzień Polski (na którego organizację wydano przecież sporo

pieniędzy). Nb. jest dość szokujące, jak dalece Polacy nie potrafią wykorzystywać ludzi. Szwedzi bardzo lubią piosenkarkę, polskiego pochodzenia, Dominikę Peczyński, ale przyszliby do Kungsträgarden, gdyby ona coś tam zaśpiewała, a nie tylko prowadziła nudną konferansjerkę. Sam nawet lubię Michała Moszkowicza i jego po polsku pisane powieści (praktycznie nieznane poza polskim gettem w Szwecji), więc czy rzeczywiście był on najwłaściwszym redaktorem pisemka rozprowadzanego w czasie Dnia Polskiego?

Nie mamy škody (coraz bardziej popularny samochód wśród uboższych Szedów), nie mamy węgierskiego tokaju i salami, ale tego, co mamy i tak nie potrafimy sprzedać.

S.A.

„Polenwitze" czyli niemieckie „polish jokes"

Od pewnego czasu zarówno w Polsce jak i w Niemczech krytykę licznych środowisk wywołuje cykl programów rozrywkowych „Die Harald Schmidt Show", w którym bohaterami niesmacznych kawałów są bardzo często Polacy. Jego tytuł pochodzi od nazwiska jednego z najbardziej obecnie znanych w Niemczech moderatorów programów typu *talk show* Haralda Schmidta. Próbując opisać specyfikę tego rodzaju rozrywki, warto sięgnąć dla porównania do nieco starszego źródła wiedzy o Polsce i Polakach, niż wspomniane programy.

„Na temat charakteru Polaków Daniel pisze m.in.: 'Polacy posiadają ładną, mocną budowę ciała. Poruszają się z lekkością i gracją, są doskonałymi tancerzami, a w stosunku do swych ładnych i zgrabnych kobiet są rycerscy i uprzejmi. Lekki i ruchliwy jest także duch Polaków. Serce Polaków można szybko zdobyć dla wszystkiego, co wielkie, szlachetne,

rycerskie. Nade wszystko ważna jest dla nich miłość do ojczyzny, ojczyzny istniejącej tylko we wspomnieniach i nadziei. Ich ruchliwa natura posiada jednak negatywne strony. Ruchliwość zmienia się w nieokiełznanie, lekkość ducha w lekkomyślność, która góruje nad wszystkim i prowadzi do rozrzutności oraz wyrzucania pieniędzy. A w efekcie do głodowania. Duża podatność Polaka na emocje czyni zeń bezwolnego sługę dzikich namiętności. Straszny jest w momencie wzburzenia. Jego romantycznemu charakterowi nierzadko brakuje też szczerej chęci do praktycznej i solidnej pracy. Wszędzie można dostrzec pewną ociężałość i zaniedbanie, aż do najwyższych regionów przepychu dociera brud, a brak podstawowych wygód miesza się z wyrafinowanym luksusem'".

„Rozbiór tego kraju wywarł jednak znaczny wpływ na ów staropolski charakter, szczególnie w Prusach. Nie tracąc swych dobrych polskich cech, Polacy w Niemczech przejęli od Niemców wytrwałość i oszczędność, dzięki czemu bardzo wzmocnili się gospodarczo, co z kolei spowodowało wśród nich wzrost poczucia swej wartości. Także w rosyjskiej części Polski wzrosła pracowitość narodu w porównaniu do czasów poprzednich, szczególnie od momentu, kiedy rząd rosyjski, chcąc złamać panowanie licznej szlachty, zmusił ją w 1864 do sprzedania chłopom części majątków ziemskich. Na rusyfikację Polacy są jednak tak mało podatni jak na germanizację. Pobyt rekrutów w garnizonach w głębi Rosji nie pozostawia na nich niemal żadnych śladów, 'podczas gdy Rosjanie, którzy mieszkają w Polsce jako urzędnicy, na skutek małżeństw z Polkami zdobywani są nierzadko dla sprawy Polski, tzn. ulegają owemu czarowi, przed którym Bismarck ostrzegał kiedyś Niemców na wschodnich terenach' (Lehmann)". (H. Harms, „Länderkunde von Europa", List und von Bressendorf, Leipzig, 1908 r.).

Wydana 90 lat temu encyklopedia geografii, z której pochodzi powyższy cytat, oddaje sedno obrazu Polaków w społeczeństwie niemieckim, który z pewnymi poprawkami – tak negatywnymi jak i pozytywnymi – przetrwał w dużej części w zasadzie do dziś dnia. Ostatnie dziesięciolecia utrwaliły bowiem obraz Polaków, jako narodu walczącego o swą niepodległość i suwerenność, jako katolików, ludzi z fantazją,

odwagą i skłonnością do ryzyka, a w stosunku do Polek jako zadbanych, ładnych kobiet, które w czasach licznych wynaturzeń emancypacji na Zachodzie, zachowały swoją naturalność i kobiecość, co powoduje, że na liście zagranicznych kandydatek na żony, w Niemczech zajmują czołowe miejsce.

Rozwój sytuacji w Polsce w ciągu ostatnich lat spowodował, że nastąpiło nawet przewartościowanie niektórych schematów myślowych, czego przykładem jest sławetne i mocno osadzone w świadomości dużej części Niemców powiedzonko *polnische Wirtschaft* (polska gospodarka) jako synonim kompletnego bałaganu i braku gospodarności. Dzięki reformom gospodarczym po przemianie ustrojowej i stale utrzymującemu się dużemu wskaźnikowi wzrostu nabrało ono innego, pozytywnego wydźwięku. Obecnie, podczas bardzo licznych spotkań przedstawicieli polsko-niemieckich kół gospodarczych, zarówno Polacy jak i Niemcy z wyraźną przyjemnością sięgają do tego określenia, ostentacyjnie delektując się jego nowym posmakiem.

Z drugiej strony, ostatnie lata przyniosły również liczne negatywne zjawiska, które nie pozostały bez wpływu na recepcję obrazu Polski i Polaków także, ale nie tylko, w Niemczech. Lista ich jest długa, by wymienić tylko osławione polskie gangi złodziei samochodowych, polskich przemytników papierosów, fałszerzy i nielegalnych handlarzy. I nie pomoże tu żadne powoływanie się na fakt, że we Włoszech kradną więcej samochodów, czy też że współwinni w procederze nielegalnego handlu papierosami w Niemczech są także kupujący. To prawda, ale nie zmienia to faktu popełniania tych przestępstw przez obywateli polskich, to zaś na pierwszym miejscu dociera do opinii publicznej, w której nowo powstałe pozytywne obrazy ciągle jeszcze z trudem konkurują z uprzedzeniami i stereotypami.

Całkiem inny wymiar niż z reguły neutralne w tonie doniesienia mass mediów na temat przestępstw popełnianych przez obywateli polskich w Niemczech posiada natomiast zauważalny w ciągu ostatnich dwóch, trzech lat fakt propagowania w Niemczech antypolskich i rasistowskich kawałów czy dowcipów w niektórych mass mediach. Na ich czele nieprzerwanie utrzymuje się telewizja prywatna Sat 1. Prowadzący program *talk show* wspomniany Harald Schmidt od

dłuższego czasu dyskontuje gusta i uczucia części społeczeństwa niemieckiego i czerpiąc z pokładów antypolskich resentymetów, raz po raz serwuje milionom widzów niewybredne „Polenwitze", dzięki którym za czasów Goebbelsa zrobiłby prawdopodobnie o wiele większą karierę i fortunę niż obecnie.

Repertuar Haralda Schmidta wydaje się niewyczerpalny. W jego kawałach pojawiają się wszystkie możliwe negatywne stereotypy i klisze na temat Polaków, a w przypadku chwilowego braku nowych pomysłów sięga on po nowe wersje starych dowcipów, w których negatywne role przypadają obecnie Polakom. Oto kilka przykładów tego rodzaju krótkich dowcipów: „Kto to jest – Polak z obciętymi rękoma?" – „Mąż zaufania", czy też: „W Polsce był tak silny mróz, że 95% Polaków trzymało ręce w swych własnych kieszeniach", albo: „Czy nie wybierasz się do Polski? – Dlaczego pytasz? – Bo widziano już tam twój samochód". W jego programach pojawia się też niekiedy „film reklamowy", w którym występuje postać przedstawiciela polskiej firmy ubezpieczeniowej, mającego ucieleśniać typowego, tzn. zaniedbanego Polaka o skłonnościach do przywłaszczania sobie cudzego mienia.

Dla ułatwienia wyrobienia sobie oceny na temat programów Haralda Schmidta i istniejących w nich proporcji tematycznych konieczna jest jednak ważna uwaga: otóż wyśmiewa się w nich nie tylko Polskę i Polaków, a ofiarami jego niewybrednych porównań i dowcipów, są także inne narodowości, w tym także sami Niemcy, grupy etniczne, mieszkańcy poszczególnych regionów czy miast niemieckich, jak też prominenci z obszaru polityki, kultury i sportu. Skargi pod adresem stacji Sat 1 i Haralda Schmidta sypią się ze wszystkich kierunków, nie tylko ze strony urażonych Polek i Polaków. Ich przyczyną, a zarazem tajemnicą powodzenia jego programu jest także niezrównany w swym prymitywizmie sposób naruszania obowiązujących tabu. Dostaje się więc i Cyganom, i homoseksualistom, i inwalidom, czyli grupom, które z powodu prześladowania ich przez nazistów objęte były po wojnie w Niemczech pisaną i niepisaną ochroną przed jakąkolwiek formą dyskryminacji. Łamanie tych granic, nawet jeśli niesmaczne i odpychające, spotyka się z dobrym przyjęciem wśród pewnej grupy telewidzów, gdyż likwiduje nie-

jako narzuconą zasadę bezwzględnej nietykalności pewnych grup osób i tematów.

Obserwując dotychczasowe programy Haralda Schmidta i jego znacznie gorszych od strony formalnej imitatorów z innych stacji telewizyjnych, da się zauważyć, że istnieje jedna grupa osób, której nawet Harald Schmidt nie odważył się wyszydzać, wyśmiewać i wykorzystać jako celu taniej rozrywki, a mianowicie Żydzi. „Proszę sobie wyobrazić, że ci niemieccy opowiadacze kawałów zastępują w nich słowo 'Polak' słowem 'Żyd'" – napisał w poczytnym dzienniku berlińskim polski korespondent Michał Jaranowski i dodał: „Dziś w Niemczech nie potrzeba odwagi, aby opowiadać kawały o Polakach; można ich do woli mieszać z błotem". Istotnie, można przyjąć za pewnik, że w przypadku takiego samego potraktowania Żydów jak Polaków Harald Schmidt i jego następcy spotkaliby się z ostrymi reakcjami zarówno niemieckich mass mediów, organizacji żydowskich i oficjalnych władz w Niemczech, a sprawa znalazłaby swój finał w sądzie. Być może również dlatego nie odważył się on naruszyć tego chyba ostatniego i jedynego tabu w swym szerokim repertuarze prymitywnych szablonów.

Dotychczasowe protesty ze strony różnych środowisk, organizacji i przedstawicieli innych mass mediów niemieckich, jak wspomniałem, nie przyniosły skutku. Być może sprawa ta umrze śmiercią naturalną, kiedy tego rodzaju kawały po prostu się znudzą, jak kawały o policjantach. Nadal pozostaną jednak neutralne doniesienia prasowe na temat różnych negatywnych zjawisk, o których mass media muszą informować bez względu na skutki uboczne. Aby zapobiec takim informacjom, trzeba zwalczyć ich przyczyny, nie zaś obwiniać mass media.

Andrzej STACH

Sąsiedzi

Ukraiński maj w polityce zagranicznej

Jest maj. Kijów tonie w biało-różowym kwieciu kasztanów. Pachną konwalie w rękach starych kobiet z podkijowskich wiosek. Stoją przed wejściem do bazaru Besarabka lub w podziemnych przejściach na Chreszczatyku. Płynie nieustannie rzeka aut wszelkiego typu. Obok starych drynd sowieckich a nawet poenerdowskich, pełno pojazdów japońskich i niemieckich średniej klasy. A często suną też auta luksusowe, najdroższe mercedesy i jak szczupaki pośród karasi rolls-royce'y. Jeżeli nie zasłonięte przed pospólstwem gęstymi firankami, to widać niezbyt ujmujące fizjonomie młodych nowobogackich. Tuż obok, żebrzący mężczyzna w średnim wieku bez nóg, pozostałość wojny w Afganistanie. Inwalidów z ostatniej wojny światowej pozostało mało przy życiu. Ci, co jeszcze żyją, wegetują marnie w trwającym kryzysie gospodarczym. Weterani z Armii Czerwonej otrzymują jakieś zasiłki. Ich towarzysze z Ukraińskiej Armii Powstańczej wciąż jeszcze czekają na równouprawnienie. Komunistyczna lewica w Werchownej Radzie blokuje skutecznie uchwalenie odpowiedniej ustawy. Nie lepiej wiedzie się żyjącej jeszcze rzeszy byłych niewolników wywożonych podczas wojny na pracę przymusową do Niemiec. Byli po Żydach najniższą kategorią rasową „niedoludków", po niemiecku *Untermenschen*, z naszytym – dla rozpoznania w wypadkach ucieczki lub niedozwolonego opuszczenia miejsc skoszarowania – znakiem „OST" na odzieniu. Niemcy po upadku ZSSR przyznali na odczepne dla wszystkich ofiar po czterysta milionów na Rosję, Białoruś i Ukrainę. Dlaczego tak, tylko rusofilscy

bogowie nad Renem mogą wiedzieć. Niemcy okupowali tylko skrawek rdzennej Rosji ale całą Białoruś i Ukrainę. Rosjan wśród *Osterbeiterów* prawie nie było, Ukraińców około dwóch milionów. Ale nieuczciwi ziomkowie z banków, które rozdzielały nikłe zadośćuczynienie, zamiast przekazania pieniędzy, przeważnie biedującym starszym ludziom, zaczęli operować nimi, zarabiając na procentach. Kiedy Niemcy się o tym dowiedzieli i zażądali sprawozdania, wybuchł skandal. Banki zrobiły prawdziwą lub lipną plajtę, a nieszczęsne ofiary oszustwa nadal czekają pokornie na mizerną jałmużnę.

Kontrast między biedą a względnym dostatkiem rośnie odpowiednio do tempa prywatyzacji i postępującej dyferencjacji społecznej. Ale do wyjścia z kryzysu wciąż jeszcze daleko. Na ulicach Kijowa w biały dzień mnóstwo młodych mężczyzn, spacerujących lub siedzących na ławkach w cieniu kasztanów. To bezrobotni przebywający na „bezpłatnym urlopie". Dotąd nie udało się dźwignąć przemysłu spożywczego. Stąd, oprócz mięsa, nabiału, jarzyn i chleba – wszystko z zagranicy, przeważnie z Polski, Niemiec, Holandii i Francji. Trochę konserw rybnych z Rosji i owoców z krajów kaukaskich. Za to od czasu zamknięcia gigantów ciężkiego przemysłu, a zatem zniknięcia trujących ścieków do rzek, pojawiło się znowu mnóstwo własnych ryb. Na bazarach codziennie wspaniałe szczupaki, sumy, sandacze, leszcze, karasie a nawet i raki, które były już prawie na wymarciu. Zaroiło się znowu od ryb w Dnieprze, o których krążą dowcipy, że w nocy tak świecą od radiacji czarnobylskiej, że można oszczędzać na prądzie...

Bieda biedą, a Kijów ładnieje. Coraz więcej przytulnych kawiarenek i lodziarni, prywatnych restauracji, a w lokalach gdzie dawniej trzeba było stać w ogonku, aby dostać stolik, afisze z napisem: *łaskawo prosimy*. Nowy pieniądz „hrywnia" jest drogi i rzadki. Nie wszyscy do niego przywykli. Niektórzy, zwłaszcza zrusyfikowani mieszkańcy stolicy, nazywają go z uporem „rublem". Mimo to ludzie ubrani są schludnie, a kobiety nawet elegancko. Szczególnie wymyślne są tutejsze dziewczęta i tak długonogie, że pewien kolega z Ameryki, widząc te chodzące cuda, wykrzyknął z zachwytu: „Boże, im nogi wyrastają prosto z szyi!". Jest nawet taki szlagier, w którym się śpiewa: „Ech wy Kijowianki – najpiękniejsze na świecie kochanki".

Wabią oko odrestaurowane secesyjne kamienice z bogatymi fasadami w Śródmieściu, w cienistych alejach Peczerska i w dolnym Kijowie, na Podolu. Ale wiele wspaniałych, na pół zrujnowanych i opuszczonych cacek secesyjnej architektury stoi ogrodzonych parkanami, błagając niemym widokiem o odbudowę.

Kontrasty na każdym kroku i w każdej dziedzinie. Najgorzej z nauką i kulturą. Nie tylko, że znikły dawne subsydia i dotacje, ale nawet na robiące bokami wydawnictwa nakładają haracz podatkowy. Korzystają z tego zasobniejsze domy wydawnicze w Rosji i zalewają książkami, gazetami i czasopismami rynek kijowski. Odkryły nowe horyzonty moskiewskie i petersburskie teatry i suną lawiną do stolicy Ukrainy. Odchodzą młodzi naukowcy z gabinetów i laboratoriów Akademii Nauk, szukając zarobków zagranicą lub w Rosji ale w innych zawodach. „Na ostatnim zebraniu Akademii – opowiada wybitny historyk – widać było jak okiem sięgnąć tylko łyse albo siwe głowy".

Zbliżają się letnie ferie a Ukraina wciąż jeszcze nie ma budżetu. Prezydent Kuczma lamentuje i grozi, a parlament gwiżdże na jego skargi i sabotuje uchwalenie nieodzownych cięć finansowych. Wybory do Werchownej Rady mają się odbyć w przyszłym roku a wciąż jeszcze nie ma odpowiedniej ordynacji wyborczej.

Kontrasty w polityce

W ten sposób staje się coraz bardziej widoczny kontrast pomiędzy inercją w polityce wewnętrznej i gospodarczej a niezwykłą ruchliwością w polityce zagranicznej. Tegoroczny maj wejdzie chyba do historii dyplomacji młodego państwa ukraińskiego jako okres szczególnej dynamiki i to jednocześnie na wielu płaszczyznach. Formalnie wszystkie agendy tej polityki są skoncentrowane w olbrzymim gmachu na Mychajłowskim Placu, gdzie ongiś mieściły się biura wszechwładnej partii komunistycznej. Ale jak w wielu państwach, i to nie tylko postkomunistycznych ale i w zachodnich demokracjach, tak i na Ukrainie panuje na tym polu specyficzne zjawisko. Prezydent Leonid Kuczma zajmuje się sprawami zagranicznymi z zamiłowaniem. Przejął to zresztą od swojego poprzednika Leonida Krawczuka i rozwinął w imponujący sposób. Na skutek tego powstał swoisty dualizm, postrzegany zresztą i gdzie indziej, jak na przykład w Niemczech, gdzie politykę zagraniczną reprezentuje kanclerz Kohl a minister Kinkel ją tylko wykonuje. Podobnie rzecz się ma w Polsce w koneksji Kwaśniewski-Rosati. W Kijowie jest to tandem Kuczma-Udowenko.

Minister Henadij Udowenko, który na to stanowisko został powołany przez Kuczmę z ambasady ukraińskiej w Warszawie, jest lojalnym wykonawcą poleceń prezydenta i znosi cierpliwie sterowanie Kuczmy. Sam zresztą dwoi się i troi, jeździ nieustannie po całym świecie, nawiązując stosunki tam, gdzie ich jeszcze nie ma lub kuleją, pogania leniwych ambasadorów, a po powrotach do Kijowa ślęczy do późnej nocy nad aktami i projektami dla prezydenta. Obserwując tego masywnie zbudowanego i skłonnego do otyłości człowieka, nie chce się wierzyć, że jest uosobieniem nieustannej dynamiki.

To za jego sprawą maj 1997 roku wejdzie do historii polityki zagranicznej młodego państwa jako miesiąc koncentracji i zaokrąglenia dzieła stabilizacji państwa w stosunkach z sąsiadami. Chodzi tu o Polskę, Białoruś, Rosję, Mołdawię i Rumunię. Ale zaczęło się trochę wcześniej, na Kaukazie. W wyniku misternej dyplomacji Udowenki powstała nowa konfiguracja współpracy: Gruzja – Azerbejdżan – Ukraina z przedłużeniem do Azji Środkowej, a mianowicie do Kazachstanu, Uzbekistanu i Turkmenistanu. Treścią i podstawą tego porozumienia jest tak zwany „kaukaski korytarz", którym ma popłynąć ropa naftowa poprzez porty Gruzji przy pomocy tankowców i promów do terminalu w Odessie, a stąd rurociągami do granicy z Polską. I w tym punkcie stykają się „kaukaskie" plany Kijowa z koncepcją Kwaśniewskiego i Kuczmy w dziedzinie budowy korytarza bałtycko-czarnomorskiego, przedstawioną podczas pobytu prezydenta RP w ukraińskiej metropolii morskiej.

Wkrótce potem prezydent Kuczma przebywał z drugą oficjalną roboczą wizytą w Waszyngtonie. Była ona bardzo potrzebna, bo na niektórych przęsłach wciąż jeszcze dobrze funkcjonującego mostu amerykańsko-ukraińskiego zarysowały

się pęknięcia. Część prasy amerykańskiej podjęła kampanię przeciwko szerzącej się na Ukrainie korupcji, która zagraża inwestycjom lub je uniemożliwia. W kołach Kongresu zabrzmiały nawet pogróżki, że jeśli Kijów nie ukróci działalności podziemia gospodarczego i związanej z nim biurokracji, to należałoby się zastanowić nad kontynuacją pomocy finansowej dla Ukrainy. Było to już po zapadnięciu klamki w kwestii specjalnego układu między NATO i Rosją. Moskwa otrzymała wiele koncesji, przed którymi w połowie marca na specjalnej konferencji z udziałem przedstawicieli Polski, Ukrainy i Niemiec, w drastyczny niekiedy sposób ostrzegali Henry Kissinger i Zbigniew Brzeziński. Wówczas chodziło też o wywarcie wpływu na rząd niemiecki, który bardzo jednostronnie popierał aspiracje Rosji, spychając Ukrainę do tyłu. Niewiele to pomogło w ostudzeniu sympatii kanclerza Kohla w stosunku do jego „przyjaciela Borysa", ale w sumie dało pewne pozytywne wyniki w ustaleniu końcowej wersji porozumienia NATO-Rosja. W Waszyngtonie Kuczma zetknął się z chłodniejszą atmosferą niż to było przy dawniejszych okazjach. USA już nie potrzebowały demonstracyjnych gestów proukraińskich, by wpłynąć na Rosję. Otwarło to oczy tym politykom ukraińskim, którzy skłonni byli uwierzyć, że Ameryka lubi tylko Ukrainę. A jednocześnie jeszcze mocniej przekonało, że mają rację ci, którzy zabezpieczenie niepodległości widzą w pierwszym rzędzie w umacnianiu stosunków z sąsiadami.

I właśnie w takiej sytuacji nastąpił przyjazd prezydenta Kwaśniewskiego na Ukrainę. Tym razem atmosfera była mniej skrępowana, luźniejsza niż przed kilkoma laty podczas wizyty Lecha Wałęsy. Udzieliło się to nawet żołnierzom z kompanii honorowej, którzy raźniej niż dawniej przedefilowali przed obydwoma prezydentami, maszerując w takt skocznej melodii „Kozacka sława". Między Kwaśniewskim i Kuczmą istnieje już od dawna bezpośredni i szczery stosunek. Obydwaj rozumieją wagę zbliżenia i współpracy, i starają się je rozszerzyć w zasięgu regionalnym na kraje bałtyckie, Węgry i Rumunię. Polska odgrywa w tej dziedzinie rolę promotora i może, a nawet powinna, stać się przywódcą najpierw nieformalnego – ale z biegiem czasu i doświadczeń może nawet bardziej zwartego – zespołu państw w tym regionie. Idea

kompleksu bałtycko-czarnomorskiego mogłaby się stać trwałą koncepcją.

W dziedzinie stosunków bilateralnych Komitet Doradczy prezydentów – do reaktywowania roli którego bardzo się przysłużył świętej pamięci Jerzy Milewski – odgrywa kluczową rolę. Zarówno Horbulin ze strony ukraińskiej jak Marek Siwiec po stronie polskiej, działają harmonijnie. Szczytowym punktem wizyty Kwaśniewskiego było podpisanie i proklamowanie wspólnej deklaracji o „porozumieniu i pojednaniu" w dniu 21 maja w obecności studentów Instytutu Spraw Międzynarodowych. Echo w prasie kijowskiej, lwowskiej i charkowskiej – z wyjątkiem pism komunistycznych, socjalistycznych i nacjonalistycznych, które dokument ten po prostu przemilczały, było przychylne, chociaż wielu dziennikarzy ma widoczne trudności w zrozumieniu historycznych wymiarów oświadczenia. Nie trzeba się temu dziwić. Podobna atmosfera utrzymywała się długo w procesie pojednania polsko-niemieckiego i czesko-niemieckiego, a zupełnie inaczej przebiegało to pomiędzy Niemcami i Francją.

„Głowa bez nóg"

Tak nazwała stan zbliżenia polsko-ukraińskiego dziennikarka ukraińska Hanna Steciw. I jest w tym określeniu dużo prawdy. Na Ukrainie prawie zupełnie wymarły dawne stereotypy o Polakach jako imperialistach, ciemiężycielach i wynarodowiaczach. Wielu Ukraińców przypuszczało do niedawna, że tak samo jest w Polsce. Toteż ogromnym zaskoczeniem dla nich były wiadomości, że dla ogółu Polaków ludność ukraińska znajduje się w kategorii narodów niesympatycznych, na gorszym miejscu niż Niemcy, Żydzi i Rosjanie. Zdziwienie wywołuje w ukraińskiej opinii publicznej stosunek społeczeństwa polskiego do deportacji Ukraińców w ramach akcji „Wisła".

Wizyta Kwaśniewskiego przebiegała w atmosferze przychylności i sympatii. Sam prezydent RP znajduje się w ankietach poświęconych popularności zagranicznych polityków na drugim miejscu za Clintonem. Wszystkie spotkania na najwyższym szczeblu były niejako ilustracją bardzo ścisłej

współpracy. Tylko przemówienie w parlamencie Ukrainy nie spotkało się z żywą reakcją. Kuczma był serdeczniej powitany w Sejmie podczas czerwcowej wizyty w Polsce w ubiegłym roku. Możliwe, że w tym chłodzie w Werchownej Radzie przejawiły się niedostatki dotychczasowej pracy międzyparlamentarnych grup. Ale w stosunkach międzypaństwowych panuje szczera chęć do pogłębiania współpracy. Charakterystycznym elementem tych stosunków jest otwartość, której nie ma na przykład w podobnych relacjach polsko-niemieckich lub niemiecko-francuskich. Dawniej cechowało to spotkania pisarzy, historyków, publicystów, ludzi sztuki. I dobrze się stało, że obecnie politycy obu narodów przejęli tę atmosferę otwartości od nas. Brakuje tego ducha jednak tam, gdzie powinien był być od początku: wśród przedstawicieli Kościołów, jak najbardziej powołanych do krzewienia braterstwa, zwalczania nacjonalistycznych uprzedzeń i wrogich sobie stereotypów. Natomiast niepotrzebnym zgrzytem w harmonijnej i udanej misji Kwaśniewskiego było włączenie do delegacji senatorki Marii Berny, gorącej orędowniczki akcji „Wisła" i ziejącej wręcz rasistowską nienawiścią wobec ofiar deportacji.

Parafrazując wypowiedź Hanny Steciw należy żądać, aby stosunki polsko-ukraińskie postawić z głowy na nogi. Mówiąc inaczej, należy i trzeba rozwinąć i realizować program tworzenia szerokiej infrastruktury i współpracy w obydwu społeczeństwach. Wymaga to rozbudzenia także inicjatyw gospodarczych.

Dwa razy „Kultura"

Przypadek sprawił, że z wizytą Kwaśniewskiego i podpisaniem deklaracji polsko-ukraińskiej o pojednaniu zbiegły się – niejako jak akt symboliczny – dwie imprezy poświęcone znaczeniu *Kultury* w przełamaniu wrogości i nawiązaniu dialogu między Polską i Ukrainą. Najpierw była to wystawa dokumentacyjna a potem sympozjum naukowe. Całość stanowiło historyczno-duchowe tło podjętego przez polityków obojga narodów dzieła porozumienia i współpracy. Dla inteligencji kijowskiej, zetknięcie z prawie nieznanym fenomenem indywidualnego działania Jerzego Giedroycia przeciwko totalitarnym ideologiom, machinom państwowym i nacjonalistycznym tradycjom, było niebłahym odkryciem. Szkoda tylko, że wystawa trwała zbyt krótko. Odbywała się w Kijowsko-Peczerskiej Ławrze – ogromnym kompleksie klasztorów i świątyń, ukraińskim centrum chrześcijaństwa z XI wieku. Tutaj, na przewiewnych pagórkach nad Dnieprem, władcy Rusi Kijowskiej mieli swoje rezydencje letnie, tu były też szkoły teologiczne i pracownie artystyczne mnichów, malujących ikony, tu była pierwsza biblioteka Kijowa. I właśnie w tej bibliotece, staraniem ambasadora Rzeczypospolitej Jerzego Bahra i jego radcy do spraw kultury i nauki Bogusława Woźniaka, została otwarta na okres dziesięciu dni ekspozycja pod jakże wyrazistym tytułem: „*Kultura* – o niepodległą Ukrainę". Na winiecie programu wystawy umieszczono portret Giedroycia z młodych lat ze smutnym spojrzeniem. Po przemówieniach, a zwłaszcza pięknych słowach pisarza, byłego dysydenta, Dziuby, jakaś studentka zapytała, dlaczego pan Giedroyc jest taki smutny. Odpowiedziałem, że Giedroycia sfotografowano jak się właśnie smucił z powodu katastrofy sojuszu Piłsudskiego z Petlurą. Zresztą z rozmów z kijowskimi studentami zorientowałem się jaki to jest ugór na polu stosunków polsko-ukraińskich i ile jeszcze trzeba zrobić, żeby jakoś temu przeciwdziałać.

Prasa kijowska pisała o wystawie niezwykle serdecznie i budująco. Z wielu głosów przypadły mi do gustu słowa ukazującej się po rosyjsku gazety *Wsiechukrainskije Wiedomosti* („Wszechukraińskie Wiadomości"): „Polskie czasopismo *Kultura* ukazujące się w Maisons-Laffitte koło Paryża zajmuje wyjątkową pozycję w rozwoju stosunków polsko-ukraińskich. *Kultura* pod redakcją Jerzego Giedroycia jako jedyny ośrodek na emigracji, zawsze starała się o utrzymywanie dialogu z Ukraińcami. Czasopismo stało się orędownikiem nowej koncepcji związków ze wschodnimi sąsiadami Polski. Już w latach 60-tych na łamach *Kultury* dyskutowano o międzypaństwowych stosunkach polsko-ukraińskich po osiągnięciu niepodległości Ukrainy. Jerzy Giedroyc stworzył nie zwyczajne czasopismo, lecz dzieło na miarę europejskiej kultury. Należy wyrazić temu konsekwentnemu redaktorowi podziękowanie za długoletnie skoncentrowanie uwagi na sprawach ukraiń-

skich i za dążenie do dialogu pomiędzy narodami i kulturami".

Pogłębieniem informacji przedstawionych na wystawie w Ławrze było trzydniowe sympozjum, zorganizowane przez redakcję niezależnego pisma *Polityczna Dumka* („Myśl Polityczna") i Ukraińskiego Instytutu przy uniwersytecie w Harwardzie, a konkretnie przez czterech ludzi: Romana Szporluka i Witolda Rodkiewicza z tegoż Instytutu oraz Jewhena Bystryckiego i Wołodomyra Repryncewa z Kijowa. Tytuł tego sympozjum brzmiał – „Intelektualiści, kultura, polityka: doświadczenia Polski i Ukrainy", a podtytuł – ku czci 50-lecia *Kultury*. Faktycznie szło przede wszystkim o przedstawienie roli, funkcji i zasług *Kultury*, jej redaktora Jerzego Giedroycia i całego zespołu, z bardzo wyrazistym wyodrębnieniem postaci Juliusza Mieroszewskiego. O celach i zadaniach tej imprezy ukazała się już informacja w ostatnim numerze *Kultury* .

Sympozjum skupiło wielu wybitnych historyków, politologów i krytyków literackich i stało na wysokim poziomie intelektualnym. Dla większości ukraińskich uczestników było ono niewątpliwie wielką przygodą duchową, bo odwiedzili w ciągu trzech dni nieznany im dotąd kontynent krytycznej i kontrowersyjnej myśli, nigdy dotychczas w takim zasięgu nie przedstawianej na Ukrainie. Cały czas była mowa o *Kulturze*, Giedroyciu, Mieroszewskim, Czapskim, Łobodowskim, Stempowskim. Wynikały też porównania z ukraińskimi pismami pobratymczymi *Suczastnost* i *Widnowa*.

Myślę, że dla ukraińskich uczestników i dla przeważnie młodej publiczności – i to nie tylko z Kijowa ale i ze Lwowa, Wołynia a nawet z Odessy – było nie lada okazją posłuchać Pomiana lub Wandycza czy Szporluka, jak też gości z Polski – Berdychowską, Bakułę, Jastruna, Kowalczyka, Malickiego, Nowaka i ukraińskiego Kozaka z Warszawy. A na okrasę należy wymienić kolegów z Ameryki i Kanady – Pełenskiego, Grabowicza i Jastrzębowskiego. Z Ukrainy była cała plejada: trzy damy intelektu Roksana Charczuk, Natalia Jakowenko i Oksana Zabużko; z historyków, filozofów i politologów – Isajewycz, Derbaczow, Kasjanow, Hrycak, Riabczuk, Makejew, Połochało, Popowycz i Tomenko. Dla nas, przybyszów z Zachodu, była to też wielka przygoda, bo pozwoliła zajrzeć

w duchowy świat współczesnej Ukrainy, zrozumieć konflikty intelektualistów z reżymem technokratów, przysłuchać się prawdziwym i urojonym opiniom na temat „inteligencji" na Zachodzie. W sumie była to chyba najciekawsza impreza o naszych zawiłych stosunkach i o znaczeniu *Kultury* w tym historycznym splocie naszej wspólnej doli.

Udało się też wyjaśnić odmienne walory i zasługi *Kultury* z jednej a *Suczasnosti* i *Widnowy* z drugiej strony. Przez cały czas w sali obrad był obecny – mimo fizycznej nieobecności – Jerzy Giedroyc. Drugą postacią o wielkim autorytecie utrwalonym na tym sympozjum stała się postać Juliusza Mieroszewskiego. Może dzięki temu uda się w przyszłości wydać choćby tylko część jego dorobku po ukraińsku.

Układ z Rosją i Rumunią

Tak się złożyło, że obok sezonu polskiego, doszło wreszcie do podpisania podstawowego układu o wzajemnych stosunkach pomiędzy Rosją i Ukrainą. Kijów ułożył sobie po odzyskaniu niepodległości solidne i przyjacielskie stosunki ze wszystkimi sąsiadami oprócz dwóch: Rosji i Rumunii. Szczególnie luka na północy z odwiecznym konkurentem a potem protektorem i wreszcie okupantem i niszczycielem państwa, kultury, języka, słowem – identyczności narodowej Ukraińców, była przyczyną rozterki i dwuznaczności w istniejącej próżni międzypaństwowej. Z jednej strony Rosja wraz z Ukrainą i Białorusią była współtwórcą zniszczenia Imperium Sowieckiego, a Borys Jelcyn, jedyny ze „wspólników" w tym dziele, a z drugiej strony nowa Rosja powstała na gruzach owego imperium właśnie pod przewodem tegoż Jelcyna, zaczęła znowu śnić o nowym władaniu „starszego brata" nad „młodszym", chociaż w tym starszeństwie jest akurat na odwrót. Na przyjazd Jelcyna do Kijowa mój dawny student a obecnie redaktor we *Frankfurter Allgemeine Zeitung* napisał, że jeżeli Kijów jest według Rosjan „matką ruskich grodów" to niechże „córeczka Moskwa" zachowuje się wobec matki z szacunkiem.

Rokowania na temat rosyjsko-ukraińskiego traktatu toczyły się długo. Jego tekst był już uzgodniony w 1992 roku

ale podpisanie odwlekało się z roku na rok. Borys Jelcyn obiecywał przyjazd do Kijowa najpierw Krawczukowi, a potem Kuczmie i za każdym razem odkładał datę przybycia, motywując to najczęściej brakiem porozumienia w kwestii podziału okrętów i baz byłej sowieckiej Czarnomorskiej Marynarki Wojennej. Mimo tych odwlekań i wymówek, Leonid Kuczma nieustannie popierał Jelcyna i cierpliwe czekał. Jego dewizą było powiedzenie: „Tylko Borys Jelcyn jest w stanie podpisać traktat z Ukrainą". W ostatnim dniu maja ta przepowiednia się ziściła. Oficjalnie traktat ten ma nazwę „Układ o przyjaźni, współpracy i partnerstwie pomiędzy Ukrainą i Rosyjską Federacją". Składa się nań 41 artykułów, z których najważniejszym jest artykuł drugi stwierdzający, że „Układające się wysokie strony zgodnie ze statutem ONZ i zobowiązaniami wynikającymi z końcowego aktu Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, uznają integralność terytorium każdej z nich i potwierdzają niezmienność istniejących pomiędzy nimi granic".

Jednocześnie w odrębnych układach zostały uregulowane zasady podziału bojowych okrętów Floty Czarnomorskiej i baz w głównym porcie wojennym w Sewastopolu. Układy te przewidują wydzierżawienie Rosji baz dla rosyjskiej marynarki wojennej w Sewastopolu na 20 lat, wysokość opłat i użycie tych sum na wyrównanie długów Ukrainy za dostawy gazu ziemnego i ropy naftowej z Rosji.

Zdaniem zachodnich ekspertów i niezależnych ośrodków myśli politycznej na Ukrainie – układ ten jest z punktu widzenia państwowych interesów Kijowa wielkim sukcesem. Patrząc wstecz na trzysta lat zależności Ukrainy od Moskwy można rzecz, że cierpliwość prezydenta Kuczmy w pełni się opłaciła. Pozostaje jednak kwestia ratyfikacji układu w parlamentach Rosji i Ukrainy. Jelcyn oświadczył w Kijowie, że ukręci łeb każdemu, kto się przeciwstawia układowi. Ale rosyjscy szowiniści z Barburinem, Zatulinem (w antyukraińskim duchu współpracował z nimi dawny doradca Jelcyna, internowany obecnie w Warszawie, Stankiewicz) i burmistrzem Moskwy Łużkowem na czele, nawołują do sprzeciwu przeciwko wyprzedaży odwiecznych rosyjskich praw do Krymu i Sewastopola, więc rosyjscy nacjonaliści w Sewastopolu zbierają podpisy pod apelem, aby Duma przyjęła ustawę

zabraniającą „pochowania prochów Jelcyna na terytorium Rosji".

Wtórują im nacjonaliści ukraińscy oskarżający Kuczmę o zdradę. Przodują w tej kampanii politycy z Kongresu Ukraińskich Nacjonalistów wywodzących się z banderowców. Zarzucają prezydentowi pogwałcenie 17. artykułu Konstytucji Ukrainy zabraniającego stacjonowania obcych wojsk na terytorium państwa. Rzecznicy rządu odpowiadają, że w dodatku do Konstytucji przewidziana jest możliwość wydzierżawienia baz obcym państwom. Wymaga to jednak zgody ze strony parlamentu.

W tym ukraińskim maju było jeszcze wiele innych wydarzeń. Podpisanie układu z Białorusią o ustaleniu granic (bo Kijów wcale nie myśli zaprzestać związków z Mińskiem i stosuje taktykę przeciągania Białorusi na swoją stronę), ustalenie zasad współpracy z NATO w ramach odrębnej Karty. Ważne było też spotkanie prezydentów państw bałtyckich, Polski i Ukrainy w Tallinie – bardzo znacząca to inicjatywa i miejmy nadzieję nie ostatnia w tym składzie. I już na początku czerwca ale wciąż jeszcze w przedłużeniu majowej serii ukraińskiego sezonu – prezydenci Rumunii Costantinescu i Ukrainy Kuczma podpisali w miejscowości Constanza układ o dobrosąsiedzkich stosunkach i współpracy pomiędzy Ukrainą i Rumunią". W ten sposób skończyły się długoletnie pertraktacje, w których strona rumuńska nie chciała uznać terytorialnej integralności Ukrainy. Po zmianie reżymu w Bukareszcie rokowania potoczyły się gładko. A razem z tym układem zakończył się okres zmagań dyplomacji ukraińskiej o stabilizację stosunków z sąsiadami.

Kijów, 11 czerwca

Bohdan OSADCZUK

Ukraińsko-polskie sympozjum Intelektualiści, kultura i polityka

Wielce Szanowny Panie Giedroyc!

Z wielką przyjemnością zawiadamiamy Szanownego Pana o pomyślnym przebiegu i zakończeniu sympozjum „Intelektualiści, kultura, polityka: doświadczenia Polski i Ukrainy (ku 50-leciu paryskiej KULTURY)". O sukcesie sympozjum świadczy chociażby to, że trzeciego dnia obrad, w słoneczną sobotę 7-go czerwca, na sali było więcej osób (około 150) niż podczas pierwszego dnia. Wieść o sympozjum rozeszła się po Kijowie, a dialog na nim rozpoczęty zainspirował nowe poglądy i oceny. Można powiedzieć, że na naszych oczach ukraińsko-polski dialog, zapoczątkowany w swoim czasie przez KULTURĘ, przekształca się w konkretną wspólną pracę nad rozwiązywaniem wspólnych problemów. Będzie miał Pan możliwość przekonać się o tym z wygłoszonych na sympozjum referatów, które będą przez nas wydane. Bardzo żałujemy, że nie był Pan obecny na sali razem z nami, chociaż od moralnej obecności wśród uczestników sympozjum nikt nie może Szanownego Pana uwolnić. Mamy nadzieję, że dialog nasz będzie kontynuowany w Polsce, a później znów w Ukrainie, na nowym poziomie odpowiedzialności za przyszłość ukraińsko-polskiego porozumienia.

Z najlepszymi życzeniami i wyrazami głębokiego szacunku,

uczestnicy Sympozjum

przewodniczący komitetu organizacyjnego
Jewhen Bystryckyj

Kronika niemiecka

GOSPODARKA I SPRAWY SOCJALNE: Obroty handlowe Niemiec z krajami Europy Środkowo-Wschodniej i Wschodniej wyniosły w zeszłym roku 120 miliardów marek. Zdaniem ministra gospodarki Rexrodta stosunki gospodarcze z tymi krajami zapewniają w Niemczech 150.000 miejsc pracy. ■ Według ankiety przeprowadzonej w Niemczech na zlecenie Shella, 56% ankietowanych osób w wieku od 18 do 21 lat i 63% w wieku od 22 do 24 lat uznało bezrobocie za swój największy problem. W roku 1991 optymistycznie na temat swej przyszłości wypowiedziało się 59% ankietowanych, w roku 1996 tylko 35%. ■ W nowych landach żyje obecnie 250.000 obcokrajowców, tzn. 1,6% ogólnej liczby mieszkańców, natomiast w starych landach cudzoziemcy stanowią 10,6% mieszkańców. ■ Związek Turków Berlina i Brandenburgii i Zrzeszenie Rodziców Tureckich zaprotestowało przeciwko wyrokowi Federalnego Trybunału Konstytucyjnego, który przychylając się do wniosku pewnej rodziny tureckiej, częściowo zwolnił ich 10-letnią córkę z lekcji wychowania seksualnego, na których pokazywane są zdjęcia i rysunki nagich ludzi. Obydwie organizacje uznały, że wyrok utrudnia integrację i stwierdziły, że zadania edukacyjne są ponad wolnością wyznania. ■ POLITYKA: Zdaniem niemieckiego ministra obrony Volkera Rühe, na żadnym obszarze integracja landów wschodnich i zachodnich nie powiodła się tak dobrze, jak na obszarze armii. Obecnie w Bundeswehrze służy 9.000 żołnierzy byłej armii enerdowskiej NVA. (W dniu 3.10.1990 r. w szeregach byłej armii NVA służyło jeszcze 50.000 żołnierzy zawodowych i na umowach czasowych; w 1984 r. – 174.000. W styczniu 1991 ze służby w byłej armii NRD zwolnionych zostało dalszych 58% żołnierzy zawodowych i kontraktowych – wśród oficerów 67% – tj. w sumie 35.600 osób, z tego 24.000 na własne życzenie. Obecnie Bundeswehra liczy ok. 210.000 żołnierzy zawodowych lub na kontraktach czasowych.) ■ Zdaniem nowego ministra obrony USA Williama Cohena na początku marca br. kanclerz Helmut Kohl zwrócił się do Stanów Zjednoczonych o niewycofywanie wojsk amerykańskich z Niemiec.

■ Niemiecki tygodnik *Die Zeit* powołując się na dotychczas nie znany dokument leżący przez dziesięciolecia w Pentagonie i odnaleziony przez prywatnego badacza niemieckiego w Archiwum Narodowym w Waszyngtonie, twierdzi, że niemieccy wojskowi przygotowywali się do II-ej wojny światowej już od roku 1925. Na polecenie ówczesnego szefa dowództwa niemieckiego, generała Hansa von Seekta rozpoczęto planowanie utworzenia armii wojennej, która miała liczyć 2,8 miliona żołnierzy, jeszcze na długo przed dojściem do władzy Hitlera. Zdaniem autora artykułu tylko dzięki temu Hitler był w stanie stworzyć w przeciągu 6 lat najsilniejszą armię na kontynencie europejskim. ■ Komisja prawna niemieckiego Bundestagu doszła do porozumienia w sprawie unieważnienia wyroków sądów wojskowych Wehrmachtu przeciwko byłym dezerterom, osobom odmawiającym służby wojskowej, jak też oskarżonym o osłabianie siły militarnej Wehrmachtu. Osoby te zostaną też zrehabilitowane a pozostali przy życiu otrzymają jednorazowe odszkodowania w wysokości 7.500 marek. ■ Prasa niemiecka, opierając się na doniesieniach angielskiego pisma fachowego *Jane's International Defence Review*, opublikowała wiadomość, iż obecnie generalna mobilizacja wojsk NATO trawałaby cały rok, zaś do roku 1989 wystarczyłoby 12 godzin na zmobilizowanie 70% sił zbrojnych paktu. ■ Z okazji 60-tej rocznicy zbombardowania Guerniki przez samoloty niemieckie, które było pierwszą tego rodzaju akcją militarną we współczesnej historii, skierowaną celowo przeciwko ludności cywilnej, prezydent Niemiec Roman Herzog poprosił mieszkańców miasta o pojednanie. Spotkało się to z pozytywną reakcją burmistrza Guerniki. W wyniku bombardowania 26.04.1937 zginęło ponad tysiąc osób, a większa część miasta została zniszczona. ■ 18.04.1997 w wieku 82 lat zmarł Herbert Czaja, który w latach 1970-1994 stał na czele Federalnego Związku Wypędzonych (BdV), a od roku 1953 do 1990 był posłem do Bundestagu. Był on zdecydowanym przeciwnikiem granicy niemiecko-polskiej na Odrze i Nysie. Z powodu swego negatywnego stanowiska w tej kwestii, jak też w sprawie liberalizacji paragrafu dotyczącego usuwania ciąży, znalazł się wśród mniejszości zarówno we frakcji parlamentarnej jak też w BdV. ■ Podczas spotkania byłych mieszkańców Prus Wschodnich, jakie w drugiej połowie maja odbyło się w Düsseldorfie pod hasłem „Prusy Wschodnie żyją", przewodniczący frakcji SPD Rudolf Scharping zaapelował do ok. 100.000 uczestników o aktywne

kształtowanie stosunków i porozumienie ze wschodnimi sąsiadami Niemiec. ■ Rząd rumuński zaproponował tzw. Niemcom rumuńskim, którzy przenieśli się na stałe do Niemiec, „powrót do ich starej ojczyzny". „Kto wróci do Rumunii, otrzyma z powrotem swój dom i swoją ziemię" – powiedział rumuński minister informacji w wywiadzie prasowym. Po roku 1989 opuściło Rumunię 300.000 Niemców rumuńskich, a pozostało ich tam ok. 50.000. ■ W roku ubiegłym liczba Niemców rosyjskich przybyłych do Niemiec była mniejsza o 40.000 niż w roku 1995. Zdaniem władz niemieckich, jest to trend stały. ■ Pewne małżeństwo Niemców rosyjskich fałszywie zadeklarowało około 400 Rosjan i osób pochodzenia niemieckiego jako swych krewnych, aby umożliwić im przesiedlenie się do Niemiec. Według prokuratury, osoby te przybywały najczęściej z całymi rodzinami, korzystając z wszelkich form pomocy finansowej i materialnej. Wywołane tym szkody szacuje się na kilkanaście milionów marek. ■ W połowie maja odbyło się w Berlinie seminarium na temat stanu rokowań w kwestii odszkodowań dla polskich robotników przymusowych w Niemczech. Przewodniczący Stowarzyszenia Polaków Poszkodowanych przez III Rzeszę Mirosław Podsiadło zażądał ostatecznego uregulowania tej kwestii przez firmy niemieckie. Jego zdaniem odszkodowanie w wysokości 9.000 marek na osobę pozwoliłoby rozwiązać ten problem. ■ W Buchenwaldzie otwarto wystawę poświęconą powojennym losom obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie, który władze sowieckie aż do roku 1950 używały jako obóz internowania. W tym czasie zmarło tam z głodu lub chorób około 28.000 osób tzn. co czwarty więzień. ■ 23.05.97 we wschodnioniemieckim mieście Zittau (Żytawa) odbyło się zaprzysiężenie żołnierzy 37. Brygady Zmechanizowanej Bundeswehry. W uroczystości udział wzięli przedstawiciele władz Polski z Ministrem Obrony Narodowej Stanisławem Dobrzańskim i Szefem Sztabu Generalnego, gen. Henrykiem Szumskim na czele oraz władz Czech z sekretarzem stanu Vladimirem Sumanem i szefem Sztabu Generalnego gen. Nekvasilem. Ze strony polskiej uczestniczyła też Kompania Reprezentacyjna oraz Orkiestra 11. Dywizji Kawalerii Pancernej. ■ KULTURA: Z okazji 50-lecia istnienia *Kultury* odbył się w Berlinie wykład prowadzony przez prof. Bohdana Osadczuka pt. „Szczególne stosunki między Polską i Ukrainą – Rola czasopisma *Kultura*". Połączony z dyskusją wykład zorganizowany został przez Akademię Europejską w

Berlinie. Wśród uczestników znaleźli się m.in. pracownicy ambasad Ukrainy i Rosji, reprezentanci mass mediów i kręgów gospodarczych. ■ Na wspieranie tłumaczeń beletrystyki z krajów Europy środkowo-wschodniej także w tym roku przeznaczono w Niemczech 100.000 marek. ■ Coraz mniej literatury niemieckiej tłumaczy się na języki obce. Na rynku niemieckim coraz więcej jest natomiast tłumaczeń z języków obcych. Obecnie co siódma książka wydawana w Niemczech bazuje na wydaniu obcojęzycznym. ■ W berlińskim „Teatrze Kreatur" Andrzeja Worońca miała miejsce premiera nowej sztuki opartej na dramacie Tadeusza Słobodzianka pt. „Merlin". ■ Od 18.04.97 do 28.05.97 r. w Berlińskiej Bibliotece Państwowej (Staatsbibliothek zu Berlin) odbywała się przekrojowa wystawa poświęcona historii Polski od roku 1918 do roku 1995. ■ W wieku 90 lat zmarł jeden z najbardziej wszechstronnych współczesnych naukowców i badaczy niemieckich Manfred von Ardenne. Do jego najważniejszych osiągnięć należy m.in. skonstruowanie kineskopu telewizyjnego. Po roku 1945 przez kilka lat von Ardenne pracował w ZSSR nad konstrukcją bomby atomowej. ■ Pisarz wschodnioniemiecki Erich Loest otrzymał w Lipsku Krzyż Komandorski Orderu Polski. ■ Protestując przeciwko „możliwie bezbolesnej fuzji" PEN-Clubu wschodnio- i zachodnioniemieckiego, z PEN-Clubu zachodnioniemieckiego wystąpił znany publicysta i pisarz Ralph Giordano. ■ Następcą Ericha Loesta na stanowisku przewodniczącego Związku Pisarzy Niemieckich (VS) został autor książek kryminalnych Fred Breinersdorfer. Ustępujący z tego stanowiska Loest wyraził zrozumienie dla stanowiska Ralpha Giordano. ■ We Frankfurcie nad Menem otwarto „Bibliotekę Niemiecką". Liczy ona obecnie 7 milionów pozycji wydawniczych, a pomieścić może 18 milionów. ■ Tegorocznym laureatem Pokojowej Nagrody Księgarzy Niemieckich został pisarz turecki Yasir Kemal za swe „zasługi jako pisarz i obrońca praw ludzkich". Książki Kemala przetłumaczono na 30 języków świata. ■ W wieku 81 lat zmarł jeden z najważniejszych pisarzy wschodnioniemieckich Stefan Hermlin. ■ Policja niemiecka odnalazła obramowaną mozaikę oraz komodę pochodzącą z „komnaty bursztynowej". Rozbudziło to nadzieje na dotarcie do całości wyposażenia komnaty. ■ Tegorocznym laureatem nagrody literackiej Niemieckiej Akademii Języka i Poezji został wiedeński pisarz H.C. Artmann. ■ Za książkę miesiąca kwietnia br. jury w Darmsztadzie uznało tom poezji Adama

Zagajewskiego w tłumaczeniu Karla Dedeciusa pt. „Mistyka dla początkujących". ■ W pierwszym kwartale br. po raz pierwszy od dziesiątków lat udział filmów niemieckich osiągnął rekordowe 37% ogólnej liczby projekcji kinowych w Niemczech. ■ 85 lat ukończył żyjący w Niemczech pisarz rosyjski Lew Kopelew. ■ Pochodzący z Polski krytyk literacki Marcel Reich-Ranicki otrzymał tytuł doktora *honoris causa* Uniwersytetu im. Heinricha-Heinego w Düsseldorfie. Jest to już czwarty doktorat honorowy dla tego najbardziej opiniotwórczego krytyka literackiego w krajach niemieckiego obszaru językowego. ■ W Berlinie założony został pierwszy Klub Niemiecko-Polski w Niemczech „Deutsch Polnischer Stammtisch". W spotkaniu założycielskim udział wzięło ponad 70 osób, wśród nich przedstawiciele władz i kół gospodarczych Berlina, reprezentanci przedstawicielstwa Ambasady Polskiej w Berlinie oraz tłumacze, publicyści i przedstawiciele organizacji niemiecko-polskich. Inicjatorem założenia „Klubu" jest przewodniczący Federalnego Związku Towarzystw Niemiecko-Polskich, Markus Meckel. Oferta uczestnictwa w spotkaniach klubu skierowana jest do wszystkich osób w Niemczech zainteresowanych Polską, zarówno do przedstawicieli gospodarki i kultury, jak też mass mediów i nauki. Interdyscyplinarny charakter spotkań pomóc ma w nawiązaniu kontaktów np. między tłumaczami a przedstawicielami kół finansowych i gospodarczych, mogącymi wesprzeć inicjatywy wydawnicze.

Andrzej STACH

Rosja regionów

O Rosji zwykło się mówić, że jest krajem skrajnie scentralizowanym, gdzie wszystko co ważne, dzieje się w stolicy. Stało się to tyleż próbą wytłumaczenia, na czym polega specyfika rosyjskiego życia politycznego i społecznego, co hasłem maskującym niewiedzę na temat tego kraju.

Do drugiej połowy lat 80-tych prowincja faktycznie nie odgrywała poważniejszej roli, zmuszona była godzić się na rolę posłusznego wykonawcy polityki wypracowanej w Moskwie, począwszy jednak od 1990 roku sytuacja uległa zasadniczej zmianie: prowincja stała się siłą polityczną, z którą musi liczyć się każdy polityk zasiadający na Kremlu. Powstanie przeciwwagi dla Centrum i rzeczywista decentralizacja tego państwa okazały się jednym z najważniejszych zjawisk rosyjskiego życia politycznego w latach 90-tych. Próby oceny owego fenomenu podjęto na zorganizowanej 14 czerwca 1997 przez Fundację im. Stefana Batorego konferencji „Rosja regionów", w której wzięła udział grupa reprezentujących różne punkty widzenia tego problemu ekspertów i polityków z Rosji.

Punkt wyjścia do dyskusji stanowiły rozważania Aleksandra Achijezera (Instytut Prognozowania Rosyjskiej Akademii Nauk) na temat natury opozycji cywilizacyjnej pomiędzy Centrum i prowincją w tradycji rosyjskiej. Zwrócił on uwagę na niemożliwość kultywowania typowego dziś dla Rosji sposobu rozwoju przez ekspansję terytorialną. Mechanizm pochłaniania coraz to nowych obszarów, będący zasadniczą osią jej rozwoju cywilizacyjnego począwszy od XV wieku, nie ma przed sobą przyszłości i to nie tylko dlatego, że dzisiejszy świat nie akceptuje podbojów terytorialnych, ale również dlatego, że o pozycji danego kraju na arenie międzynarodowej przestała decydować jego rozległość. Rosja stanęła wobec wyzwania polegającego na przejściu od rozwoju „ekstensywnego", opartego na ekspansji zewnętrznej, do „intensywnego", polegającego na wykorzystaniu sił drzemiących w samym społeczeństwie rosyjskim, to zaś wymaga głębokiej zmiany stosunków pomiędzy władzą centralną i prowincją.

Proces ten rozpoczął się u progu lat 90-tych, gdy republiki wchodzące w skład Federacji Rosyjskiej, zdecydowawszy się pójść w ślady republik związkowych, zwłaszcza zaś krajów bałtyckich Zakaukazia i Ukrainy, ogłosiły swoje deklaracje suwerenności. Działo się to w chwili narastającego chaosu, który poprzedził rozpad ZSSR, w momencie kulminacyjnym konfliktu pomiędzy Gorbaczowem i Jelcynem o władzę nad Rosją. Każdy z nich potrzebował sojuszników i każdy gotów był zgodzić się niemal na każde ich żądanie.

„Bierzcie tyle suwerenności, ile zdołacie przetrawić" – wołał na wiecu w Kazaniu Borys Jelcyn. Bardzo szybko ukształtowała się grupa republik nadających ton temu procesowi, znalazły się wśród nich Baszkiria i Tatarstan.

W obu przypadkach chodzi o ojczyzny narodów turkojęzycznych i muzułmańskich położone na Powołżu (Tatarstan) i południowym Uralu (Baszkiria), zawdzięczające swą pozycję w dużej mierze bogactwom naturalnym, głównie zaś ropie naftowej. Niezależnie jednak od surowców, niezwykle ważną okazała się determinacja miejscowych elit politycznych, wywodzących się głównie ze średniego szczebla nomenklatury partyjnej i gospodarczej (mówił o tym Nikołaj Pietrow z Centrum Carneggie w Moskwie), które mimo wielu nacisków ze strony Moskwy nie zrezygnowały ze swych żądań, zmierzających do przekazania regionom znacznej części prerogatyw, zwłaszcza ekonomicznych, przysługujących dotąd władzom centralnym.

Obie republiki przyjęły podobną strategię w stosunkach z Kremlem, polegającą przede wszystkim na założeniu, że nie wyrzekając się swych postulatów, należy uniknąć za wszelką cenę rozwiązań siłowych. Nie było to bynajmniej łatwe, gdyż w odniesieniu do Tatarstanu, który jako jedyna oprócz Czeczenii republika odmówił podpisania w 1992 roku Układu Federacyjnego, rozważano możliwość interwencji zbrojnej. Okazało się jednak, że w Moskwie zdano sobie sprawę, iż zastosowanie przemocy do nadwołżańskiej republiki byłoby nie tylko tragedią dla Tatarów, byłoby to również równoznaczne z klęską państwa rosyjskiego. Dalekowzroczności tej zabrakło natomiast, jak zauważył doradca prezydenta Tatarstanu Rafael Chakimow, w roku 1994, gdy zdecydowano się ratować integralność Federacji, wysyłając czołgi do Czeczenii.

W kazańskim kremlu, uważanym ze względów estetycznych i historycznych za drugi w hierarchii rosyjskich zespołów architektonicznych tego typu, zaraz po kremlu moskiewskim, przyjęto prostą zasadę negocjacji z Moskwą – nie ulegać próbom zastraszania i nacisku psychologicznego, nie zatrzymywać się dopóty, dopóki nie natrafi się na rzeczywisty, a nie wyimaginowany mur. Pierwszy i zarazem najbardziej dramatyczny etap – konfrontacja pomiędzy Kazaniem i Moskwą – zakończył się w roku 1994 podpisaniem porozumienia o

rozgraniczeniu pełnomocnictw pomiędzy władzami federalnymi i republikańskimi. Umowa ta miała olbrzymie znaczenie nie tylko dla Tatarów, lecz również dla innych regionów. Dzisiaj podobnych porozumień jest już około trzydziestu i sprawiły one, iż ustrój Rosji zaczął ewoluować w stronę federacji traktatowej.

Dzisiaj od samego Tatarstanu zależy, jak kształtowana jest jego polityka gospodarcza (oprócz takich jej aspektów makroekonomicznych jak polityka pieniężna) i to zarówno w granicach Rosji jak i poza nią. Kwestia podmiotowości prawnej regionów rosyjskich, zwłaszcza zaś republik, na arenie międzynarodowej, stała się podczas konferencji przedmiotem kontrowersji pomiędzy profesorem Chakimowem i Walentyną Matwijenką, kierującą w rosyjskim MSZ departamentem odpowiadającym między innymi za kontakty zagraniczne regionów.

Taktykę podobną pod wieloma względami do tatarskiej stosowała w odniesieniu do stosunków z władzami centralnymi również Baszkiria, która jednak nie mogła pozwolić sobie na kroki równie radykalne jak Tatarstan. Zaważyły na tym stosunki narodowościowe: Baszkirów jest tam zaledwie 23 procent i znajdują się oni na trzecim miejscu za Rosjanami (39 proc.) i Tatarami (28 proc.), co w sposób oczywisty osłabia ich pozycję we wszelkich konfliktach z Moskwą. Mimo tej niełatwej sytuacji władze lokalne potrafiły wykorzystać wszystkie możliwe atuty, przede wszystkim zaś fakt, że republika powstała w 1919 roku nie z nadania władz centralnych, ale na mocy układu podpisanego przez bolszewików i przywódców baszkirskiego ruchu narodowego. *Pacta sunt servanda* – twierdzili baszkirscy negocjatorzy, wśród których znalazł się między innymi obecny na konferencji Irek Muksinow, przewodniczący Sądu Konstytucyjnego Republiki Baszkortostan.

Ważnym elementem rozgrywki pomiędzy Moskwą, Ufą i Kazaniem było odwoływanie się do woli obywateli, co czyniono kilkakrotnie, organizując wbrew woli Moskwy referenda na tematy niezależności od Centrum oraz bojkotując wybory i referenda organizowane przez władze centralne. Nie bez znaczenia było również poparcie okazane przez wyborców prezydentom obu republik Mintimerowi Szajmi-

jewowi w Tatarstanie i Murtazie Rachimowowi w Baszkirii.

Z punktu widzenia większości przeciętnych obywateli, zmagania o kształt ustroju federalnego Rosji miały znaczenie o tyle, o ile stwarzały nadzieję na poprawę warunków życia. Pod tym względem zarówno w republikach narodowych jak i w regionach czysto rosyjskich Moskwa oceniana jest bardzo krytycznie. Mówiła o tym Galina Kowalska (tygodnik *Itogi*), która poświęciła swe wystąpienie nastrojom „pro-" i „antymoskiewskim" na prowincji oraz politycy regionalni odpowiedzialni za politykę ekonomiczną: Władimir Psariow (wicegubernator Kraju Ałtajskiego) i Iwan Wasiliew (minister gospodarki Republiki Mari-Eł). Dwaj ostatni mówcy zwrócili również uwagę na rzeczywiste znaczenie regionów w polityce inwestycyjnej Rosji: w przypadku inwestycji zagranicznych faktycznym gwarantem (jeśli przyznawane są tzw. „gwarancje państwowe") jest budżet regionalny, Moskwa zaś występuje wyłącznie w roli pośrednika. Ten i podobne przypadki skłaniają regiony do organizowania się i zmieniają stopniowo charakter procesu federalizacji Rosji, przesuwając akcent ze spraw etnicznych ku zagadnieniom gospodarczym, które są równie ważne dla republik nierosyjskich jak i rosyjskich krajów i obwodów.

Jakie są perspektywy decentralizacji państwa rosyjskiego, budowy nowego ustroju federalnego mogącego całkowicie zmienić oblicze tego kraju? Próba odpowiedzi na to pytanie przez Rinata Sołtanowa, wiceprzewodniczącego parlamentarnego Komitetu ds. Narodowościowych była raczej pesymistyczna ze względu na centralistyczne nastroje dominujących w rosyjskim życiu politycznym elit moskiewskich. Tym niemniej całodniowa dyskusja dostarczyła wielu przykładów, iż emancypacja regionów spod wpływów władz centralnych stała się zjawiskiem wymykającym się manipulacji nawet najbardziej wpływowych środowisk. Nic nie zapowiada, by z dnia na dzień przestały działać mechanizmy społeczne i gospodarcze, które zmusiły Moskwę do brania pod uwagę postulatów Kazania, Ufy, Jekaterynburga, Barnaułu czy Nowosybirska.

Wojciech ZAJĄCZKOWSKI

Kronika kulturalna

Kontakt '97

Pesymiści obawiali się o dalsze losy KONTAKTU, jako że w styczniu jego założycielka i wieloletni szef, Krystyna Meissner odeszła do Krakowa, gdzie objęła dyrekcję Teatru Starego. Jej następcy, Jadwiga Oleradzka (nowy dyrektor toruńskiego Teatru im. H. Horzycy) i Andrzej Bubień, otrzymali w spadku zaledwie pięć wytypowanych spektakli i nie mieli doświadczenia w organizowaniu takich imprez. A jednak – tegoroczny festiwal bardzo się udał, kto wie, czy nie był najlepszy za mojej czteroletniej „kontaktowej pamięci". Jedynie parę przedstawień było poniżej poziomu, ogromna większość olśniewała oryginalnością i jakością wykonania.

Jak zwykle przybyli liczni goście z wielu krajów – ludzie teatru i krytycy. Międzynarodowemu jury tradycyjnie przewodził Jerzy Koenig, a w skład wchodzili – Ladislava Petiskova z Czech, Manfred Linke z Niemiec, Rolandas Rastauskas z Litwy oraz Michail Szwydkoj, ongiś redaktor periodyku *Tieatr*, dziś wiceminister kultury Federacji Rosyjskiej. Prof. Szwydkoj, w ramach imprez towarzyszących miał ciekawe spotkanie z uczestnikami festiwalu, poświęcone zagadnieniu zwrotu dzieł sztuki zagarniętych w trakcie i po drugiej wojnie światowej, opowiadając się zdecydowanie za rozwiązaniem racjonalnym i etycznym.

Ze spektakli zachodnich jedynym w pełni udanym był holenderski „Drift" w wykonaniu teatru Stitching Vis à Vis z Hertogenbosch. Traktuje on o nowym potopie i rozgrywa się na wielkim basenie, gdzie po zatopieniu makiety miasta wieżowców, symbolizującej naszą cywilizację, pływają na łodziach, szafach, pudłach rozbitkowie uwikłani w rozmaite

przygody. Akcji towarzyszą projekcje na ogromnym ekranie. Inwencja i sprawność aktorów-pływaków jest wprost niesamowita. Komizm przeplata się z tragizmem, nie brak nawet pastiszu opery w stylu Brittana na temat arki Noego. Lecz z tej doskonałej zabawy wyłania się aż nadto groźna wizja kataklizmu, ale też i wiara w zdolność adaptacji i przetrwania człowieka w najtrudniejszych warunkach. Spektakl otrzymał nagrodę Uniwersytetu M. Kopernika.

Niezbyt za to podobała się widzom „Martwa natura" (autorstwo i reżyseria Martine Wijckaert) belgijskiego teatru de la Balsamine – rzecz o samotności i niemożności artysty. W spektaklu występował fantastycznie utalentowany perkusista, Pierre Berthet, samodzielnie kreujący oprawę muzyczną, trwającą przez cały czas niemal dwugodzinnego przedstawienia (nagroda Radia Gra za muzykę i dźwięk).

Dwie pozostałe pozycje zachodnie były dziełami artystów polskiego pochodzenia. Urodzony we Francji Władysław Znorko zrealizował ze swym zespołem Cosmos Kolej „Traktat o manekinach" według Brunona Schulza. Jest to teatr plastyczny, w stylu Kantora – i niestety zanadto Mistrza imitujący.

I wreszcie teatr Kreatur z Berlina przedstawił sztukę jednego z bardziej utalentowanych polskich dramaturgów Tadeusza Słobodzianka „Prorok Ilja" w reżyserii i scenografii Andrzeja Worona, mieszkającego od r. 1982 w Niemczech. Muzykę skomponował Janusz Stokłosa. Nie doceniono tej z rozmachem wystawionej, śmiałej sztuki o kresowym pograniczu kultur, religii, problemów, które trwają, choć akcja toczy się przed drugą wojną światową.

„Oficjalna" Polska natomiast wypadła na festiwalu dobrze. Teatr im. Jaracza z Łodzi przedstawił „Zbrodnię z premedytacją" według opowiadania Gombrowicza, w inscenizacji Zbigniewa Brzozy.

„Zbrodnia" została zainscenizowana umiejętnie i stylowo, była perfekcyjnie grana.

Owacyjnie przyjęto – zresztą jak wszędzie, gdzie jest grany – plenerowy spektakl na modłę awangardową, „Carmen funèbre", wysnuty z wydarzeń niedawnej wojny w Bośni, wstrząsający i wzruszający. Sukces odniósł też poznański teatr Biuro Podróży, kierowany przez Pawła Szkotaka.

Tradycyjnie już polski wkład do KONTAKTU uzupełniała inscenizacja kultowego reżysera Krystiana Lupy. Tym razem było to „Rodzeństwo", sztuka Thomasa Bernharda, wystawiona przez krakowski Teatr Stary. Grany perfekcyjnie przez trójkę aktorów: Małgorzatę Hajewską-Krzysztofik, Agnieszkę Mandat i Piotra Skibę (kóry powinien był otrzymać nagrodę dla najlepszego aktora festiwalu), opowiada o prywatnym życiu wielkiego filozofa Ludwiga Wittgensteina i jego chorobie psychicznej. Trzecia nagroda, którą spektakl został wyróżniony, należała mu się bezspornie.

Jednakże na KONTAKCIE zwyciężyły zdecydowanie teatry z Litwy, uzyskując dwie główne nagrody. Pierwszą zdobył Teatr Mały z Wilna za „Maskaradę" Lermontowa. Nieco „zwietrzały", jakby się mogło wydawać, romantyczny dramat o zazdrości i zemście, został wyreżyserowany przez Rimasa Tuminasa z niezwykłą wyobraźnią, wsparty wydatnie pomysłową scenografią Adomasa Jacovskisa. Otrzymaliśmy w efekcie atrakcyjną wizualnie groteskę, która nas bawi i wzrusza, a nigdy nie nuży, precyzyjnie graną w żywiołowym tempie. Nie brak elementów teatralnego pastiszu i symbolizmu.

Specyficzne podejście do klasyki, ożywiające ją w sposób wysoce niekonwencjonalny a frapujący, cechuje i innych twórców tak, że można mówić o litewskim stylu teatralnym. Druga nagroda oraz nagroda dla najlepszego reżysera przypadły niemal „etatowemu" bywalcowi i laureatowi festiwalu, już po raz szósty prezentującemu swój spektakl na KONTAKCIE – Eimuntasowi Nekrošiusowi (nb. równieśnikowi Tuminasa – obaj rocznik 1952). Tym razem jego zespół „Lift" z Wilna przedstawił szekspirowskiego „Hamleta" zdaniem wielu – najlepszy spektakl festiwalu, trwający 4 godziny. Była to kwintesencja „Hamleta", zupełne przeciwieństwo ilustracyjnego podejścia. Jak zawsze u Nekrošiusa, było wiele działań fizycznych i obrazów, przekazujących treść utworu poprzez unaocznienie stanów psychicznych jej bohaterów, natomiast dialog był rwany i fragmentaryczny. W tej arealistycznej szarpaninie aktorzy nie tyle grają wyuczone role, co przeżywają akcję „na bieżąco". Zwłaszcza odnosi się to do tytułowego bohatera, którym jest gwiazda muzyki pop Andrius Mamontovas. Ma się wrażenie, że to on, a nie Szekspir, wymyśla w ciężkim trudzie słynne monologi. Ta, kto wie, czy nie najciekawsza z wielu inscenizacji „Hamleta" jakie w życiu widziałem, jest trudna do zaszufladkowania. W relacji z zeszłorocznego KONTAKTU określiłem Nekrošiusa jako jednego z najwybitniejszych artystów europejskiego teatru. Dziś nazwę go wielkim artystą teatru światowego.

Z krajów bałtyckich przybył inny świetny spektakl: „Jedyne i wieczne życie" Janusza Rohumae (ur. 1969) w reżyserii autora, z zespołem Tallinna Linnsteater. Z górą czterogodzinne przedstawienie składa się z dwóch sztuk, powiązanych tematem teatru w teatrze. Pierwsza osnuta jest na wydarzeniach, które doprowadziły z początkiem drugiej dekady XX wieku do budowy estońskiego teatru narodowego i na życiu aktora, który grał rolę Hamleta w spektaklu inauguracyjnym, a zmarł tej samej nocy. Mamy tu zarówno pastisz dawnego teatralnego stylu jak i zderzenie idealizmu z komercyjnością, wszystko to podane w sposób wzruszający, dowcipny i pozbawiony patosu. W drugiej sztuce – też opartej na prawdziwych zdarzeniach, młodzi ludzie zakładają w latach 60-tych – gdy skończył się stalinizm – awangardowy teatr, ale zostają w końcu rozgromieni przez – wciąż sowieckich – urzędasów. Do tego politycznego tematu autor i jego aktorzy też nie podchodzą ze śmiertelną powagą cierpiętników, ale z humorem i wyobraźnią. I tu też wyłaniało się pytanie: Estończycy mogą tak bez kompleksów patrzeć na swą niedawną, trudną przeszłość, a my...?

Z Łotwy natomiast przybył młody, istniejący od 5 lat, Ryski Nowy Teatr z „Czajką" Czechowa, w reżyserii Alvisa Hermanisa (rocznik 1965). I oni zamierzali „odświeżyć klasyka", ale sukcesu litewskiej „Maskarady" nie dało się powtórzyć.

Czechow jakoś nie miał tym razem na KONTAKCIE szczęścia, bo i „Wiśniowy sad" pokazany przez Teatr im. Lesa Kurbasa ze Lwowa, w reżyserii Włodymira Kuczyńskiego, nie odniósł sukcesu. Kuczyński studiował w pracowni słynnego Wasiliewa i w swym spektaklu użył trochę wasiliewowskich efektów.

Lepiej powiodło się innemu, choć nietypowemu zespołowi z Ukrainy. Był to teatr mniejszości węgierskiej z małego miasta Beregowo na Zakarpaciu, istniejący od 1993 r. pod nazwą Węgierski Teatr Narodowy. Zespół nie posiada

własnej sceny, grywa po domach kultury, w plenerze i kościołach. Do ostatniej z tych lokalizacji nadaje się dobrze sztuka T.S. Eliota „Mord w katedrze" i właśnie ją przywieźli do Torunia Węgrzy z Ukrainy, wystawiając ją w gotyckim kościele Najśw. Marii Panny. Młody reżyser Attila Widnianski, zgodnie z założeniem autora, zaplanował spektakl przestrzenny, choć widoczność z większości miejsc nie była dobra. Niepotrzebnie też rozpisał „chór" kobiet z Canterbury na nie najlepiej zrealizowany balet. Tomasz Becket grał swą rolę zanadto na jednym, dość głośnym i patetycznym tonie. Ale coś, co z początku szokowało: wprowadzenie węgierskich jasełek ludowych – spontanicznie i bezpretensjonalnie zagranicznych – nie tylko nie zaszkodziło akcji w sztuce Eliota, lecz ożywiło ją i przyczyniło się do nadania jej współczesnego wydźwięku. Mord popełniony przez władzę świecką na XI-wiecznym angielskim arcybiskupie zabrzmiał aktualnie. Widnianski uhonorowany został nagrodą dla młodego twórcy.

Słowacja nie po raz pierwszy nie miała szczęścia na KONTAKCIE. Nie chcę generalizować i snuć bezpodstawnych może dywagacji na temat prowincjonalizmu czy zapóźnienia, faktem jest jednak, że „Kolacja nad miastem" Laco Keraty, przywieziona przez Teatr im. Andreja Bagra z Nitry nie wypadła dobrze. Czeski reżyser Jan Antonin Pitinsky zrealizował na przestarzałą awangardową modłę surrealistyczną sztukę, będącą jakby odwróceniem sytuacji w zamku Sinobrodego.

Last but not least trzeba odnotować sukcesy teatrów rosyjskich. W przeciwieństwie do poprzedników z ubiegłych KONTAKT-ów te, które przyjechały w tym roku, nie sięgały do klasyki, lecz poprzez najwyższej próby artyzm odniosły się do powojennej i wojennej rzeczywistości swego kraju. Teatr czarneNIEBObiałe istnieje od wiosny 1988. Założył go młody informatyk (ur. 1960) Dmitrij Ariupin. Jest to teatr ruchu, właściwie pantomima, z elementami akrobacji i baletu. Spektakl „Tu był ZSSR" wykonuje dwoje aktorów-mimów, choć nie ma w nim słów, dzięki ich doskonałej technice (nb. nagroda za najlepsze aktorstwo przypadła Marczelli Sołtan) poznajemy wszystko, co pod tym tytułem się kryje. Nie ma tu dekoracji. Aktorzy poruszają się i działają jak automaty,

pozostając udręczonymi ludźmi, w ciemności rozjaśnionej tylko wąskimi kanałami światła, bezradne postacie szukają zbliżenia, niemożliwego w pustce i hałasie. Wygląda to trochę jak awangarda zachodnia z początku lat 70-tych. Ale oni odkryli to dla siebie i stworzyli przejmującą etiudę, z własnym spojrzeniem na degradację człowieka w ZSSR i nostalgię za tym państwem już po komunizmie. Odebrałem to też jako bardziej uniwersalny obraz kondycji człowieka w dzisiejszym świecie.

Drugi spektakl rosyjski, „Pieśń o Wołdze", autorstwa i reżyserii Rezo Gabriadze, wykonany przez Teatr Satyry na Wasiliewskim Ostrowie w Petersburgu (nb. jedyny na festiwalu teatr lalek), był równie niekonwencjonalny i frapujący. Wbrew temu, czego można by się spodziewać po tytule, jest to opowieść o wojnie i miłości. Otrzymaliśmy wysnutą z dziejów Rosji metaforę ludzkich (ale i końskich) dramatów, na tle wojennej zawieruchy, podanej skrótowo, lecz przejmująco przez bardzo utalentowanych manipulatorów i ich lalki – obrazami, krótkimi dialogami, fragmentami pieśni. Był to niewątpliwie najbardziej wzruszający i uroczy spektakl lalkowy, jaki oglądałem. Nagroda za „oryginalną formułę teatru" i nagroda publiczności były w pełni zasłużone.

Festiwali teatralnych dziś w Europie nie brak. Ale swobodna i przyjazna atmosfera toruńskiego KONTAKT-u jest czymś szczególnym i chyba niepowtarzalnym. Dzięki inwencji i poświęceniu organizatorów przybywa tu wiele zespołów, które nie docierają gdzie indziej, a kryterium jakości i oryginalności ich dzieł na ogół się sprawdza.

Bolesław TABORSKI

Kosztowna współpraca z Rosją

Dwa lata temu pisałem o „złotym wieku współpracy amerykańsko-rosyjskiej w Kosmosie". Na bok usunięto wtedy drażliwe kwestie Czeczenii i reaktorów atomowych dla Trzeciego Świata, a planowanie międzynarodowej stacji kosmicznej postępowało. NASA kupowała za miliony dolarów rosyjski sprzęt kosmiczny i unowocześniała go by dopasować do nowych potrzeb. Nawet teraz, sztab rosyjskich inżynierów pracuje od miesięcy w Houston. Pomimo ufnych stosunków, znaki zapytania jednak nie znikają: NASA ma poważne i uzasadnione obawy czy Rosjanie dostarczą na czas obiecany sprzęt...

Skoro skończyła się zimna wojna, Kongres Stanów Zjednoczonych zaczął mniej chętnie myśleć o finansowaniu wyprawy w Kosmos bo... zabrakło sowieckiej konkurencji. Równocześnie zaczęto „martwić" się co robić z wahadłowcami – po co latać na orbitę. Ostatecznie ile można zrobić eksperymentów w nieważkości, plany (sens) przemysłowego wykorzystywania tej nieważkości spaliły na panewce bo niczego tak specjalnego dziś jeszcze (i w najbliższej przyszłości) nie potrzeba. Wymyślono wtedy budowę wielkiej stacji kosmicznej, na zapas nazwanej *Freedom*, bo rosyjska stacja to *Mir*...

Projekt budowy tej amerykańskiej stacji kosmicznej napotkał na ostry sprzeciw amerykańskich naukowców. W 1991 roku czternaście stowarzyszeń podpisało, szeroko kolportowany wśród polityków, dokument sprzeciwiający się budowie stacji kosmicznej, jako naukowo zbytecznej. W rok później, dziesięć innych stowarzyszeń naukowców dołączyło do protestu. Akcja była skuteczna, ale w czerwcu 1994 roku – gdy Kongres szykował się do ostatecznego wykreślenia z budżetu sum na orbitalne laboratorium – opozycja znikła. Większość stowarzyszeń ucichła, a *American Astronomical Society* i *Planetary Society* nawet poparły projekt – ile lat można protestować? W rezultacie projekt budowy stacji

kosmicznej ocalał, Kongres odrzucił wniosek skreślenia z budżetu 1,2 miliarda dolarów uprzednio na ten cel przeznaczonych.

Zadziałali politycy. O ile uprzednio NASA „sprzedawała" projekt stacji kosmicznej podkreślając znaczenie orbitalnych doświadczeń dla nauki, dla postępu – mało kto wierzył w to. Ogólna opinia była taka, że za tak wielkie sumy niezbędne do budowy i utrzymania stacji – stosunkowo mało otrzyma się dla nauk ścisłych. Tym razem Daniel S. Goldin, administrator NASA podkreślał ważność stacji z innego punktu widzenia: zatrudnienie, możliwość skorzystania z uproszczonej i tańszej sowieckiej (dziś rosyjskiej) technologii i... wzbudzenie w młodszym pokoleniu zainteresowania nie tylko Kosmosem, ale też spacjalizacją w najnowszej technice, nowoczesnym przemyśle. By nie być gołosłownym wyasygnował z funduszów NASA sumę trzech milionów dolarów dla pięciu murzyńskich i portorykańskich szkół akademickich by wesprzeć programy nauki fizyki i technologii kosmicznej. To coś co odpowiada politykom a czego stowarzyszenia nie chcą krytykować.

Wtedy administrator NASA zaczął całkiem zgrabnie zresztą, ostrą kampanię w Kongresie by finansować już mniejszą, międzynarodową i mniej ambitną stację kosmiczną, bo nie będzie wymagała ciągłych lotów kosmicznych wahadłowców.

Budowę poszczególnych części stacji uzgodniono i rozdzielono jej budowę między poszczególne państwa. Udział Rosji to koszta wynoszące 3,3 mld dolarów, USA 17 mld, Japonii 3 mld dolarów, Europejskiej Agencji Kosmicznej – 3,2 mld i Kanady 1 mld.

W rezultacie budowa amerykańskich członów międzynarodowej stacji kosmicznej postępuje względnie gładko. Głównym konstruktorem został Boeing. W styczniu NASA podpisała z nimi kontrakt na 5,63 mld dolarów, z tym, że praca została powierzona tak słynnym firmom jak McDonnel Douglas Aerspace i Rockwell's Rockedyne. Boeing ma już 41 tysięcy funtów (ponad 18 metryczych ton) sprzętów gotowych jak, między innymi, aluminiowy pojemnik, rodzaj rury o średnicy 4,25 metrów i długości 5,5 metra.

Jak dotychczas, z planowanej międzynarodowej stacji

orbitalnej jednak niewiele wynika. Kanada, która jak w przypadku wahadłowców ma dostarczyć ramię-wysięgnik, ogłosiła tymczasowe zawieszenie prac z powodu braku funduszów. Podobnie, dostarczany przez Rosjan, kluczowy człon stacji będący „automatycznym pilotem" całości, nie jest gotów i zostanie wystrzelony na orbitę nie wcześniej niż 31 grudnia 1998. Oby choć tego terminu dotrzymano... Człon rosyjski jest niemal najistotniejszą częścią stacji, bo będzie miał urządzenia stabilizacyjne i orientacyjne. Po pierwsze stacja kosmiczna nie będzie znajdowała się w absolutnej próżni i nawet niesłychanie rzadka atfmosfera, już 200 km nad Ziemi, zawsze stawia pewien opór i stacja będzie powoli, bardzo powoli zmniejszała swą prędkość orbitalną i... spadała. Temu trzeba zaradzić i odpowiednie silniki rakietowe będą musiały automatycznie poprawiać orbitalny pułap. Nadto skoro każde ciało na orbicie ma tendencję do bezwładnego przekręcania się, małe silniki rakietowe muszą automatycznie włączać się i poprawiać położenie stacji. Trzeba przecież utrzymać stałe położenie w stosunku do Ziemi (połączenia radiowe) i Słońca (pobieranie energii), bez tego nie ma co próbować montowania innych członów. Opóźnienia rosyjskie wynikają z tego, że środki na budowę rosyjskich części stacji kosmicznej... jeszcze nie wpłynęły. Jak przyznaje Yuri Koptev, naczelny dyrektor Rosyjskiej Agencji Kosmicznej (RAK), RAK potrzebuje około 927 mln dolarów w budżecie na rok 1997 i wpłaty zaległych za ubiegły rok 181 mln dolarów oraz pozwolenie na zaciągnięcie w bankach pożyczek na sumę około 250 mln dolarów, *a conto* budżetu na rok 1998. W obecnej sytuacji wydatki Rosji na poczynania w kosmosie znajdują się na przedostatnim miejscu (przed Indiami) na liście 20 państw biorących udział w takich badaniach. Z 27-miu nie-militarnych misji kosmicznych planowanych na 1996, tylko na 11 wystarczyło funduszów. W ciagu ostatnich lat, od 1989 roku, mniej więcej połowa inżynierów i techników opuściła pracę w przemyśle związanym z wyprawami kosmicznymi – ich średnia płaca miesięczna wynosiła około 600 tysięcy rubli (100 dolarów).

By jednak nie odraczać budowy stacji, NASA postanowiła tymczasowo (ufajmy, że tymczasowo) dostosować do potrzeb podobny człon należący do amerykańskiej marynarki wojennej, człon dotychczas objęty tajemnicą wojskową ale

gotów. Będzie to kosztowało NASA około 100 mln dolarów z funduszów zapasowych ale... to kropla w morzu sum, które USA już zainwestowała w rosyjski udział w projekcie stacji. Niezależnie od tego, przezornie NASA planuje budowę systemów zastępczych jeżeli Rosjanie nie dostarczą swych elementów do końca 1999 roku... Dodatkowe koszta rosną.

Ukończenie budowy stacji kosmicznej zaplanowane jest na rok 2000. Nadal niestety nie określono po co ma być ta stacja kosmiczna – po co wydatek, po co tak pouczająca i cenna dla Rosjan współpraca z nimi. Jeżeli trzeba dowiedzieć się więcej o wpływie nieważkości na ludzki organizm – wystarczy przecież *Mir*. Co prawda, *Mir* się starzeje (awaria aparatury produkcji tlenu i absorbowania dwutlenku węgla) i Rosjanie powinni pomyśleć albo o kompletnym remoncie, odnowieniu stacji albo o zarzuceniu jej na korzyść tej międzynarodowej. Z tym ostatnim rozwiązaniem byłby typowo rosyjski kłopot – zależałoby się od innych, władza by straciła element narodowego szowinizmu. Może też jakieś wojskowe zastosowanie z orbity, o których się nie mówi?

Tymczasem w Waszyngtonie tworzy się mrzonki na temat czegoś jak Narody Zjednoczone na orbicie, wspólne, ogólne i bez zawiści loty orbitalne i międzyplanetarne. Niedawne trzymiesięczne przebywanie w nieważkości astronauty dr. Normana Thagarda w towarzystwie dwóch kosmonautów niewątpliwie zaowocuje szeregiem nowych publikacji, a w Waszyngtonie planuje się więcej takich lotów. Kłopot z tym, że jak dr Thagard wyznał – nie ograniczenia fizyczne lecz psychiczne ciążyły mu przez te trzy miesiące z Rosjanami na orbicie. Jeżeli ta międzynarodowa stacja stanie się ciałem, każda z nacji musi mieć co najmniej dwóch astronautów równocześnie na orbicie, bo inaczej osamotnienie da się strasznie we znaki. Ale po co te loty kosmiczne? Po to by zachęcić amerykańską młodzież do interesowania się Kosmosem czy po to by wesprzeć finansowo RAK?

Chyba to ostatnie. Otóż, jak sprytnie ktoś napisał w jednym z technicznych pism „jak się nie ma własnych pieniędzy to stara się mieć na swoje projekty – cudze". Tak właśnie jest w tym wypadku. Chaos gospodarczy republiki rosyjskiej powoduje, że fundusze na cele kosmiczne są niewielkie. Np. pracownicy jednej z instytucji budowy sprzętu

kosmicznego nie otrzymywali pensji przez kilka tygodni. Z tych samym przyczyn Rosjanie stworzyli ze swej stacji kosmicznej *Mir* rodzaj międzynarodowego „pensjonatu". Amerykańscy, brytyjscy, niemieccy i japońscy astronauci są mile widziani na pokładzie, za opłatą oczywiście minium 7,5 miliona dolarów. W sumie USA zapłaciły za rosyjską gościnność ponad 400 milionów dolarów. I dalej płaci, bo planuje w maju zabrać z powrotem astronautę Jerry Linenger'a i zostawić następnego – o ile Rosjanie zreperują uszkodzone urządzenia produkcji i oczyszczania sztucznej atmosfery we wnętrzach.

W dodatku powoli zaopatrzenie *Mir*'u zaczyna spoczywać na barkach USA. 12 stycznia br. lot amerykańskiego wahadłowca *Atlantis* dostarczył rosyjskiej stacji ponad 1.600 kg zaopatrzenia (tlen, żywność, ubrania itd.) oraz wymianę tac fotowoltaicznych zasilających stację w energię ze Słońca, w sumie o 90 kg więcej niż lot we wrześniu ubiegłego roku. Także ponad 500 kg wody otrzymanej na pokładzie wahadłowca z aparatów (ogniwa paliwowe) wytwarzających energię elektryczną z wodoru i tlenu – woda będąc cennym odpadkiem tych przemian. Każdy lot wahadłowca kosztuje około 400-450 milionów dolarów. Eksploatacja rosyjskich bezzałogowych zasobników zaopatrzenia stacji jest dużo tańsza tylko... bodaj, że wygodniej jest polegać na Amerykanach.

W związku z niedawnym uszkodzeniem się na pokładzie *Mir*'u dwóch z trzech aparatów produkujących tlen na razie nikt nie panikuje, bo załoga dysponuje zapasowymi urządzeniami i zbiornikami, które powinne zaspokoić potrzeby przez ponad miesiąc. Planowane wystrzelenie pewnego i niezawodnego statku *Progres* z zaopatrzeniem i częściami zapasowymi, dnia 6 kwietnia, było bezbłędne. Był to już 34-ty lot tej bezzałogowej rakiety – tę technikę Rosjanie mają doskonale opanowaną. W razie awarii tego lotu załoga *Mir*'u powinna była móc „wytrzymać" do następnego lotu wahadłowca planowanego jednak dopiero w połowie maja. Jeżeli i to by zawiodło, byliby zmuszeni odcumować statek-kapsułkę *Sojusz* trzymaną w charakterze „łodzi ratunkowej" opuścić stację i powrócić na ziemię. Do tego na szczęście nie doszło.

Całkiem *à propos* w tygodniku *Aviation Week & Space Technology* ze stycznia, po obszernym artykule o trudnościach z zaopatrzeniem stacji, wydrukowano obszerną notatkę na temat sprawozdania NASA w Kongresie o współpracy z Rosjanami. Dyrektor FBI, L.B. Frech zapewnił senatorów, że utrzymuje się ścisłe środki ostrożności by nie zdradzać Rosjanom tajemnic technicznych, by zapobiec wojskowemu i przemysłowemu szpiegostwu. Wspomniał, że USA jest na pierwszym miejscu na liście szpiegowskiej CVRR, następczyni KGB. NASA otrzymała dokładne instrukcje o czym wolno mówić a o czym nie.

Opis niedawnego przycumowania amerykańskiego wahadłowca do sowieckiej stacji kosmicznej (ustawionej na orbicie dziesięć lat temu, dziś rosyjskiej) tygodnik *Time* zatytułował „Uścisk na orbicie". Bo niby tak serdecznie kosmonauci witali przybyłych z Ziemi astronautów. Co o tym myśleć?

Kłopoty Rosjan są gorsze niż by można myśleć. Chodzi o ich kosmodrom Baikonur w Kazachstanie. Rząd tej niepodległej dziś republiki żąda od Rosjan rocznej opłaty za korzystanie z portu kosmicznego. Skoro nie wpłynęły dotychczas żadne pieniądze, gospodarze raz i drugi wyłączyli prąd. Niełatwego partnera znalazła sobie NASA!

●

Inne zagadnienie, choć podobne, to amerykańsko-rosyjska współpraca w badaniach Marsa. W ciągu ostatnich dziesięciu lat, ponowiono po 25 latach przerwy, ambitne wyprawy, które jednak do dziś nie przyniosły żadnych pozytywnych rezultatów. W latach 1988 i 1989 Związek Sowiecki wysłał dwa lądowniki na oba księżyce Marsa z zadaniem zbadania ich skał i przesłania zdjęć. Jeden z nich nie dotarł, drugi zamilkł zaraz po wylądowaniu. Następną próbą ponownego badania Czerwonej Planety było wysłanie przez NASA kosztownego (całkowity koszt 1 miliard dolarów) statku kosmicznego zwanego *Mars Obserwer*. Poza badaniem topografii Marsa z orbity miał być stacją radiowo-przekaźnikową dla przyszłych lądowników. Wystrzelony we wrześniu 1992 roku w sierpniu osiągnął orbitę Marsa po roku czasu by następnie zagadkowo zamilknąć. NASA straciła z nim wszelki kontakt. Czy otrzymuje rozkazy – nie wiadomo. Była to już trzecia strata ostatniej dekady.

Następna seria trzech statków kosmicznych w kierunku Marsa przewidywała jeden lot rosyjski i dwa amerykańskie. We wrześniu 1996 wystrzelono w Kosmos, skomplikowany i bogaty w aparaturę rosyjski statek kosmiczny *Mars 96*. Ten postsowiecki statek projektowano, budowano i składano przez lata i początkowo planowano wystrzelenie na rok 1992. Skutkiem rozpadu ZSSR, chaosu w państwowym budżecie i nadal niesprawnego kierownictwa nastąpiło czteroletnie opóźnienie.

Statek był rezultatem współpracy około 20 państw. Sami Francuzi dostarczyli przeszło dziesięć układów elektronowych i aparatów badawczych, mając też znaczny udział w planowaniu i budowie tego kosmicznego zwiadowcy. Niemcy i Amerykanie też przesłali kilka aparatów pomiarowych. *Mars 96* był bardziej ambitnym przedsięwzięciem niż dwa statki NASA planowane na rok 1996. Poza członem orbitalnym miał dwa lądowniki i dwie sondy badawcze, które miały z prędkością 300 km/godz zagłębić się na 7 metrów w glebę Marsa, z tym, że końcowa część tego aparatu miała wystawać, by nadawać radiem (do członu orbitalnego) rezultaty badań tych niższych warstw skorupy Marsa. Ten niecodzienny statek kosmiczny ważył 7500 kg i po rozwinięciu się już na orbicie miał mieć 10 na 3 metrów rozpiętości. Co ciekawe, Rosjanie zamieścili nawet w swoich dwóch lądownikach dwa kompaktowe, sylikonowe dyski z historią zafascynowania ludzkości wyprawami kosmicznymi a Marsem w szczególności. Przeznaczenie: przyszłe pokolenia Ziemian lądujące tam. Naturalnie zapis był w języku rosyjskim... Nie przypadkiem opisuję ten wielki rosyjski statek kosmiczny w czasie przeszłym. Po wystrzeleniu, czwarty człon rakiety nośnej (mający skierować całość na orbitę międzyplanetarną) nie zdał egzaminu. Prawdopodobnie jakieś brakoróbstwo, a w każdym razie brak właściwego planowania: czwarty człon nigdy nie był w formie w jakiej dostosowano go do tego lotu – uprzednio wypróbowany w Kosmosie, statek, ważący prawie siedem ton, spadając na ziemię spalił się. W koszcie budowy pechowego *Mars 96* państwa, które dostarczyły bezpłatnie naukową aparaturę zapłaciły za swój udział 300 milionów dolarów. Można i to nazwać międzynarodową współpracą w badaniu Kosmosu...

W związku z katastrofą statku *Mars 96*, Rosjanie już zrezygnowali z planowanego lotu w 1998 roku. W zasadzie nadal planują lot w 2001, w którym brać będzie udział rosyjski samoczynny pojazd. Lot zatytułowany jest „Mars Together" czyli z Amerykanami Razem na Marsa. Następnie myśli się o wspólnych wyprawach w latach 2003 i 2005 – w tym sprowadzenie próbek gleby z Czerwonej Planety. Zadziwia terminarz – planowanie raczej śmiałe. Osobiście nie sądzę by tak oni, jak i Amerykanie mogli sobie na takie wyczyny pozwolić. Nie należy więc spodziewać się próbek z Marsa przed rokim 2012 a raczej przed 2020.

●

Współpraca amerykańsko-rosyjska w badaniu Kosmosu kuleje, bo zawodzi postsowiecka gospodarka i brak jest autorytetów oraz zdecydowanej polityki tak w Rosji jak i w państwach Wspólnoty Rosyjskiej. Potencjał naukowo-techniczny Rosji jest znaczny – trzeba tylko by mógł się rozwinąć. Na szczęście odnosi się wrażnie, że myślenie młodszych kadr rosyjskich naukowców odeszło od socjalistycznych (sowieckich) haseł i metod.

Wojciech ROSTAFIŃSKI

Rom czyli Cygan

1. W kontakcie z greckojęzycznymi obszarami chrześcijańskiego Bizancjum, grupy wędrownych – przybywszy z Indii, które opuściły przed X w. – ukształtowały się w lud nazwany przez sąsiadów Atsinganoi, co z czasem dało formę Cyganie i od niej pochodne. Sami zaś zachowali własny etnonim – Rom (plur. Roma), wyniesiony z indyjskiej ojczyzny. Zachowali też język i, w trudnej do dziś określenia

formie, elementy pierwotnej kultury koczowników azjatyckich, nasiąkłe wpływami kultur ludów mijanych w czasie kolejnych przemieszczeń na zachód.

Znalazłszy sprzyjające warunki do osiedlenia się w krajach bałkańskich, tu zatrzymali się na dłużej, a wielu – do dziś. Tutaj ulegli też głębokim wpływom słowiańsko-muzułmańskim. Następne fale migracji, które stąd ruszyły dalej, na północ i północny zachód, niosły z sobą kolejne – bardziej zróżnicowane pod względem kulturowym – gromady cygańskie. Brak jakiejkolwiek struktury ponadlokalnej czy ponadgrupowej powodował, że różnicowanie kulturowe postępowało stosunkowo szybko i sięgało głęboko. Różnie zmieniał się język, obyczaj, różnie kształtowała świadomość etniczna.

Dziś mamy w Europie do czynienia z bardzo odmiennymi grupami cygańskimi, różnią się one religią, obyczajem, stosunkiem do nie-Cyganów, stopniem świadomości etnicznej. Ich język zachował się w różnym stopniu, lub nawet (jak w Hiszpanii, czy w niektórych regionach Węgier) zupełnie został zapomniany.

2. W ostatnich latach jesteśmy świadkami kolejnej fali migracji cygańskiej, skierowanej jak i wcześniej – na zachód i północ Europy. Poprzednia taka fala, jeszcze ubiegłowieczna, miała swe źródło w krainach rumuńskich i była efektem prawnego uwolnienia Cyganów, traktowanych tam jako niewolników – prywatnych, cerkiewnych czy książęcych. Miało to miejsce po 1856 r., kiedy powstało państwo rumuńskie z połączenia Mołdawii i Wołoszczyzny. Gromady uwolnionych Cyganów dotarły wówczas do Polski i powędrowały dalej – do Niemiec, Anglii i za Ocean. Część z nich, jak w każdej fali emigracyjnej, została w kolejnych krajach na dłużej.

Obecny, najnowszy exodus Cyganów z Bałkanów, poprzedzony był bardzo intensywnym ich wychodźstwem z Polski. Ułatwienia paszportowe z końca lat 70-tych sprawiły, że dziesiątki rodzin, w sposób legalny, a częściej nielegalny, emigrowały do Niemiec i do Szwecji. Wówczas łatwość otrzymania statusu azylanta sprawiła, iż Cyganie z Polski bez trudu znajdowali kolejne, nowe ojczyzny. Bałkańscy Cyganie możliwość taką ujrzeli, zanim jeszcze rozpoczęła się jugosłowiańska tragedia etniczna. Tysiące emigrantów, początkowo głównie z Bośni, a następnie z innych regionów, docierały do Włoch, a także do Niemiec, gdzie na mocy umowy o zatrudnieniu robotników z Jugosławii, Cyganie jugosłowiańscy od lat siedemdziesiątych są dobrze zadomowieni. Na ulicach Polski i Czech najbardziej widoczna fala migrantów z południa pojawiła się w jesieni 1990 r., byli to Cyganie rumuńscy, którzy właśnie dostali paszporty i ujrzeli pierwszą od półwiecza możliwość opuszczenia kraju, w którym byli dotąd zamknięci, nie mając niekiedy możliwości opuszczenia nawet określonego regionu. Te masy żebrzących Cyganów za swój cel obrały Niemcy i inne kraje zachodnie, dokąd w przemyślny sposób docierali, zanim Niemcy nie umocnili straży na swej wschodniej granicy. Wówczas pozostała dla nich już tylko Polska i nieco mniej atrakcyjne Czechy. Dziś są w Polsce nieźle zadomowieni, a początkowa potulność wobec otoczenia, przerodziła się stopniowo w nachalność, niezbędną dla egzystencji w warunkach zanikania wrażliwości na okupujących trotuary żebraków.

3. Obecna sytuacja Cyganów w Europie Środkowej jest pochodną procesów politycznych, jakie tu miały miejsce w ostatnim półwieczu. Do upadku komunizmu los Cyganów był dość podobny w całym bloku. Realizując hasła równości, obowiązku pracy i edukacji, rządy komunistyczne łożyły niemałe sumy na realizację programów „produktywizacyjno-asymilacyjnych". Proces ten trwał od lat 20-tych, kiedy to w Związku Sowieckim zaczęto zakładać wzorcowe cygańskie kołchozy, poprzez akcje osiedleńcze lat 50-tych, aż po całkowity zakaz koczowania w latach 60-tych. Jedyną formą organizowania się wtedy Cyganów były stowarzyszenia regionalne o charakterze kulturalnym. Były one popierane i finansowane z budżetu państwowego. Powstanie i działalność tych stowarzyszeń były stymulowane i nadzorowane przez odpowiednie referaty do spraw ludności cygańskiej, które w Polsce rozwiązano po 1989 r. Próby samodzielnej organizacji życia kulturalnego, jakie podjęto np. w 1968 r. w Czechosłowacji (powstał wtedy Związek Cyganów-Romów), zakończyły się po kilkunastu miesiącach powrotem do socjalistycznej „normy".

W efekcie polityki komunistycznej wobec Cyganów, zostali oni zmuszeni do osiedlenia się, co w wielu przypad-

kach miało dramatyczny przebieg i skutki. Jednocześnie zaś ci, którym obyczaj i stopień asymilacji na to zezwalały, skwapliwie wykorzystali ułatwiony dostęp do edukacji. W krajach komunistycznych powstała więc dość mocna warstwa inteligencji cygańskiej, wśród której niemało jest dziś lekarzy, prawników, nauczycieli i naukowców. Ci stali się zaczynem budowy nowej, etnicznej świadomości i świadomymi bojownikami o prawa polityczne Cyganów.

Od początku lat 80-tych (po III Światowym Kongresie Romów w Getyndze), w niektórych krajach zawiązały się ponadlokalne organizacje cygańskie, zaczęto też lansować w mediach publicznych termin Rom, a nawet zakazywano publicznego używania nazwy Cygan, jako obraźliwej (Jugosławia, Czechosłowacja). Światowy Związek Romów (Romani Unia) powstały w 1971, zyskał z czasem możliwość uczestnictwa, na prawach obserwatora, w obradach Rady Społeczno-Ekonomicznej przy ONZ, a w krajach europejskich Cyganie stopniowo poczęli delegować swych reprezentantów do kontaktów z organami władzy państwowej.

Równolegle do procesu coraz pełniejszej akceptacji Cyganów, jako grupy odrębnej etnicznie, występowały tendencje do bagatelizowania ich liczebności i odrębności. Liczono na to – nie bez efektu zresztą – że edukowani Cyganie przestaną być Cyganami. Podczas spisów ludności rachmistrze mieli często kłopoty z zakwalifikowaniem Cyganów do odpowiedniej nacji, toteż zgodnie z instrukcjami manipulowali wypowiedziami ankietowanych. Zjawiska te występowały najmocniej na pograniczach etnicznych, gdzie obecność Cyganów próbowano politycznie wygrywać. Sami oni deklarowali też przynależność narodową zależnie od koniunktury. Przykładowo: zamieszkali na południu Słowacji Cyganie podawali się za Węgrów, co statystycznie powiększało liczebność tej ostatniej nacji, ze szkodą jednak dla kalkulacji politycznych Słowaków. W Siedmiogrodzie Cyganie podawali się także często za Węgrów, z tym samym skutkiem dla ośrodków władzy. W Rumunii starano się zresztą pomijać ich istnienie w ogóle, co spotykało się z ironicznymi komentarzami opozycji, kiedy N. Ceauşescu wymieniając narody zamieszkujące „raj rumuński" wymieniał „Rumunów, Niemców, Węgrów etc." Wiadomo było powszechnie, że Cyganie

stanowili liczebnie grupę większą od Węgrów i Niemców razem wziętych, żartowano więc, że Cyganie to właśnie cytowani przez szefa Partii – *Etceteryści*.

O wiele łatwiej było Cyganom deklarować swą narodową przynależność w Jugosławii, gdzie – zależnie od nastrojów sąsiedztwa – podawali się, bądź za Romów, bądź też za przedstawicieli jakiejkolwiek innej jugosłowiańskiej nacji. Stąd też wszelkie dane statystyczne odnośnie liczebności Cyganów w poszczególnych krajach opierają się na szacunkach raczej, niż na świadomych deklaracjach. Przez cygańskich liderów sytuacja ta jest wykorzystywana z kolei do znacznego niekiedy zawyżania liczby tej populacji.

4. Upadek komunizmu postawił Cyganów w sytuacji szczególnie trudnej. Oto bowiem zawaliła się opiekuńcza dotąd, choć totalitarna struktura państwa. Cyganie stali się teraz jednak równoprawnymi obywatelami, których już żadne referaty czy departamenty wewnętrzne nie kontrolowały. Symptomatyczny przykład Polski dobrze ilustruje te przemiany. Oto sprawy cygańskie od Ministerstwa Spraw Wewnętrznych przejął odpowiedni departament w Ministerstwie Kultury i Sztuki. Takie usytuowanie problematyki narodowościowej wyraźnie zakreśla ramy interwencji państwa. Podobnie stało się w innych krajach. Zupełna swoboda zrzeszeń, która nagle zaistniała, zaowocowała powstaniem dziesiątek partii politycznych, stowarzyszeń itp. Ruch ten nadal jest w fazie raczej dzielenia się niż konsolidacji. W Czechosłowacji po „rewolucji aksamitnej" w wyborach do parlamentu w 1990 r. weszło czworo Cyganów. Ale wtedy istniała jedna silna partia. Ambicje przywódców sprawiły, że rozdrobnienie ruchów politycznych stało się klęską Cyganów, którzy w kolejnych wyborach w 1992 r. nie uzyskali ani jednego mandatu.

Także inne, negatywne procesy, towarzyszące budowie zrębów demokracji, szczególnie dotkliwie uderzyły w Cyganów. Anarchizacja życia, kryminalizacja, narkomania, bezrobocie – dotknęły Cyganów w stopniu znacznie mocniejszym niż pozostałą społeczność. W krajach o dużym ich odsetku – w Rumunii, na Węgrzech, Bułgarii, Słowacji – Cyganie stanowią problem socjalny i polityczny. W Jugosławii stali się zakładnikami wszystkich walczących stron, deportacje

ludności i czystki etniczne – ich w pierwszej kolejności objęły.

Szczególnie tragiczna sytuacja ma miejsce w Rumunii. Kiedy reforma rolna przywróciła tam ziemię poprzednim właścicielom, okazało się, że pracujący w kołchozach od 50 lat Cyganie nie dostaną skrawka ziemi, gdyż nigdy nie byli jej posiadaczami. Na dodatek osady cygańskie, zbudowane niegdyś na miejscu przymusowego osiedlenia, znalazły się nierzadko na gruncie, który dziś okazał się być czyjąś własnością. Nowy/dawny właściciel gruntu używa więc często siły, by się Cyganów ze swej ziemi pozbyć. Podpalenia, zabójstwa, pogromy są w tym kraju nierzadkie. Nowy rząd jest w tej sytuacji bezradny. Jego reakcje są też dość typowe, gdy chodzi o cygańskich emigrantów przebywających nielegalnie na terenie innych krajów. Niejednokrotnie przedstawiciele ambasady rumuńskiej w Polsce podkreślali mocno, iż żebrzący na ulicy to nie są Rumuni, a Cyganie właśnie. Tym sposobem dystansują się od obowiązku odpowiedzialności za swych obywateli.

Bezradność rządów wobec pauperyzacji Cyganów, coraz częstsze konflikty na tle bezrobocia, dotykającego ogół obywateli, poczucie ogólnego zagrożenia, jakie rodzi się w krajach postkomunistyczych – owocują rosnącą agresją w stosunku do Cyganów, która instytucjonalizuje się w ruchach skrajnie nacjonalistycznych i rasistowskich. Lista ofiar napaści, pogromów, zabójstw, zwłaszcza w Rumunii, w b. Czechosłowacji, na Węgrzech – rośnie z roku na rok.

5. Spośród państw byłego obozu socjalistycznego Polska jest krajem, gdzie liczebność Cyganów jest bardzo niska. Zamieszkuje tu zaledwie 25.000-30.000 Cyganów, co stanowi ułamek procenta ogółu obywateli. Cyganów tych można podzielić, niezależnie od skomplikowanych podziałów rodowych i terytorialnych, na dwie grupy odmienne pod względem stosunku do tradycji wędrowania.

Część ich wędrowała, osiedlając się stopniowo, czy to zachęcani przez odpowiednią politykę rządu (lata 50-te) czy też do osiedlenia zmuszani działaniami policyjnymi (po roku 1964). Dziś wrośli w pejzaż miast, pogodzeni z losem, czy nawet zadowoleni z takiej sytuacji, kultywują wspomnienia z wędrówki, idealizując tamten żywot, przekazując jego obraz

młodym jako mit szczęśliwości. Tradycja koczowania jest istotnym elementem tożsamości tych Cyganów, podkreślana jako jedna z głównych wartości. To dzieli tę grupę Cyganów (główne szczepy to Polska Roma, Kełderasze, Lowarzy) od grupy zwanej w literaturze jako Cyganie karpaccy. Są to Cyganie od wieków osiedli, pierwotnie mieszkający na Podkarpaciu (tam są ich główne skupiska do dziś), żyjący niekiedy w skrajnej nędzy, pogardzani przez miejscową ludność i Cyganów o tradycjach koczowniczych.

Wśród tych ostatnich zachował się do dziś tradycyjny typ lidera, zwanego Cygańska Głowa (Szero Rom), a którego funkcja związana jest głównie z interpretacją tradycyjnego prawa, rozsądzaniem sporów, nakładaniem i zdejmowaniem klątwy (*mageripen*). Obecnie funkcję tę pełni Henryk Kozłowski z grupy Polska Roma, odwołujący się do powinowactwa z Cyganami niemieckimi (Sasytka Roma), zamieszkujący w Nowym Dworze Mazowieckim.

Oddzielną grupę stanowią Cyganie, którzy przybyli lub okresowo przyjeżdżają do Polski z Rumunii. Trudnią się głównie żebractwem, żyjąc w osadach kleconych z odpadów na obrzeżach miast, pod mostami, na śmietniskach czy w lasach. Przez autochtonicznych Cyganów traktowani są z dużą niechęcią, gdyż psują ogólny wizerunek Cyganów w oczach społeczności polskiej, który przed inwazją żebrzących Cyganów rumuńskich był znacznie bardziej pozytywny.

Cyganie w Polsce zarzucili wszelkie tradycyjne profesje, poza muzykowaniem i wróżeniem, z powodzeniem uprawianym przez cygańskie kobiety, a często połączonym z wyłudzaniem zawyżonej znacznie należności. Aktywni są dziś we wszelkich przedsięwzięciach, które nie są związane z systematycznym, stałym zatrudnieniem, limitowanym godzinami pracy.

W latach 80-tych powstało kilka lokalnych stowarzyszeń cygańskich o charakterze kulturalnym (do tego czasu istniało jedynie założone w 1963 r., Kulturalne Stowarzyszenie Romów w Tarnowie). Na ogół aktywność tych stowarzyszeń sprowadza się do kultywowania folkloru. W 1992 roku założono w Oświęcimiu Stowarzyszenie Romów w Polsce, które ma ambicje reprezentowania wszystkich Cyganów w kraju a obok działalności kulturalnej (wydawnictwa, czaso-

pisma, koncerty) prowadzi aktywną działalność polityczną. Jego liderzy nawiązali ścisłe kontakty z odpowiednimi komisjami do spraw mniejszości narodowych w parlamencie i w organizacjach międzynarodowych. Mimo, iż działalność tej organizacji zaakceptował Szero Rom, przez część Cyganów jest ona bojkotowana czy też traktowana niechętnie.

Zainteresowanie kulturami mniejszości etnicznych i narodowych w Polsce nasiliło się w ostatnich kilkunastu latach. Również i kultura Cyganów cieszy się znacznym zainteresowaniem, a jej promocją zajmują się coraz większe grupy niecygańskich sympatyków. W Gorzowie Wielkopolskim od 1989 r. odbywają się corocznie festiwale cygańskie, w Tarnowie od 1979 r., istnieje w Muzeum Okręgowym dział cyganologiczny, a od 1990 r. stała ekspozycja muzealna poświęcona ich historii i kulturze (pierwsza na świecie). Tu znajduje się główne centrum studiów i promocji cygańskiej kultury. W Nowym Sączu już po raz drugi, w maju 1997 r. odbył się przegląd twórczości artystycznej dzieci romskich. Cyganie występują często na ogólnopolskich spotkaniach mniejszości narodowych. Stowarzyszenie Romów z Polsce (z siedzibą w Oświęcimiu) wydaje od 1995 r. czasopismo (kwartalnik) *Dialog-Pheniben*, a od 1990 r. w Białymstoku wychodzi miesięcznik *Rom p-o Drom* („Cygan na Drodze") z tekstami w językach: polskim i romani. Jego redaktor Stanisław Stankiewicz jest wiceprezydentem światowej organizacji Romani Union.

6. Wraz z powstaniem Romani Unii (1971 r.) zaczął się proces – powolnego, w ramach życia w diasporze – budowania nowej tożsamości etnicznej, zmierzający do ukształtowania tożsamości narodowej. Proces ten obejmuje coraz liczniejsze warstwy inteligencji cygańskiej, która buduje swą tożsamość w oparciu o poczucie wartości własnej kultury, a także w poczuciu zagrożenia dla bytu cygańskiego z zewnątrz. Kolejne dyskusje przywódców cygańskich doprowadziły do zdefiniowania współczesnego pojęcia Cygana/Roma. Nad tą definicją pracuje grupa ekspertów Romani Unii, działająca przy Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy Europejskiej. Jej główną postacią jest rumuński Rom – Nicolae Gheorghe. Wypracowana pod jego kierunkiem deklaracja określa Cygana jako przypadek nie wyjatkowy w Europie, gdzie nadal

nomadami są Lapończycy, Aromuni, Tinkersi (w Anglii i Irlandii), Jenisze (w Austrii), Cyganie to obecnie społeczność z gruntu osiadła, koczuje ich dziś zaledwie około 5%. Tożsamość Cyganów – według tej definicji – to nie przykład włączenia-wyłączenia z jakiejś społeczności, ale przykład współistnienia. Ważną dla nich jest idea nonterytorialności, pozwalająca zerwać z zasadą rozdziału: Cyganie-ludność osiadła. Idea ta umożliwia wyzwolenie z hierarchii narodów, mniejszości, grup etnicznych. Zachowując tożsamość, Cyganie stają się przykładnymi obywatelami świata, są modelowym przykładem narodowości bezterytorialnej lub rozproszonej. Stąd wynika złożoność ich tożsamości. Identyfikując się ze swą rozproszoną grupą, co daje im otwarcie na świat, identyfikują się też ze społeczeństwem lokalnym, które także jest na ogół wielokulturowe. Są więc spadkobiercami dwu różnych kultur: macierzystej i ojczystej.

Te wzniosłe deklaracje i definicje nie zawsze spotykają się z pozytywnym odbiorem u liderów cygańskich. Rozbicie rodowe i terytorialne, tym samym rozbieżność interesów, powodują dystansowanie się różnych organizacji od nurtów jednoczących. Sytuację komplikuje swoisty, tradycyjny szowinizm, uznający własną grupę za najlepszą w hierarchii. Powszechny – zdawałoby się – etnonim: Rom obcy jest niemieckim Cyganom Sinti, którzy uważają się za arystokrację cygańską. Fakt ten utrudnia występowanie pod wspólnym szyldem. Sytuację komplikuje trudność w porozumiewaniu się w języku romani, tak bardzo zróżnicowanym. Próby standaryzacji tego języka, czy choćby jego zapisu, spotykają się z oporem zwłaszcza mniej wykształconych Cyganów, a takich jest znakomita większość. Niemniej jednak, coraz liczniejsza warstwa inteligencji romskiej, wspomagana przez sympatyków romskiej kultury, występuje publicznie pod wspólnymi hasłami – to już nie Cyganie, to naród Romów.

7. Przebieg procesu umacniania poczucia narodowego Cyganów jest doskonałym polem obserwacji dla antropologów, politologów i innych zainteresowanych młodymi narodami. Zasygnalizować należy, iż procesowi temu towarzyszy szczególne niebezpieczeństwo. Oto rozbudzone aspiracje narodowe Cyganów stają do konfrontacji z pojawiającymi się

nastrojami nacjonalistycznymi i ksenofobicznymi. Naturalnie, to nie te aspiracje są powodem wrogości do Cyganów. Natomiast wzmagająca się wrogość do Cyganów ich proces narodowotwórczy hamuje. Znamienny jest przykład krajów byłej Czechosłowacji. Na krótko przed rozpadem federacji, Cyganów poczęto tam traktować jako odrębną, romską nację. Po powstaniu odrębnych państw, Słowacji i Czech (przełom 1992/93), rząd czeski zobowiązał zamieszkującą Czechy ludność do zadeklarowania swej narodowości. Tym, którzy nie będą w stanie zadeklarować narodowości czeskiej grozić mogła deportacja, a groźba taka zawisła głównie nad urodzonymi w Słowacji Cyganami. Słowacy zaś w wizji powrotu tysięcy świadomych swych aspiracji narodowych Cyganów, w Słowacji urodzonych, ujrzeli zagrożenie dla swego nowo tworzącego się, słabego państwa. Nastąpił radykalny wzrost niechęci, wręcz wrogości do Cyganów. Cyganie z kolei, widząc rosnącą nienawiść do nich, przestali się do swej cygańskości przyznawać. Znowu, jak za dawnych lat, deklarują to przynależność narodową słowacką, to węgierską lub czeską. I tak, wg spisu z marca 1993 r., w Czechach i na Słowacji cygańską/romską narodowość podało 114.116 osób, podczas gdy 4 lata wcześniej deklarację taką złożyły 399.654 osoby, zaś nieoficjalne źródła obliczają ich populację w obu tych krajach znacznie wyżej. Podobnie dzieje się gdzie indziej, zwłaszcza tam gdzie nasilają się konflikty etniczne (była Jugosławia).

Należy na koniec zwrócić uwagę na budzący się cygański nacjonalizm, któremu ulega część cygańskich liderów. Obudowując swoją ideologię odwołaniem do flagi, hymnu, martyrologii (cygański holokaust to nadal mało rozpoznany etap dziejów) i zagrożenia przez europejskie nacjonalizmy, budują zręby nacjonalizmu romskiego. Opiera się on na tradycyjnym poczuciu lepszości Romów wobec gadziów (niecyganów), podkreślaniu swej cygańskości (*romanipen*) demonstrowaniu przywiązania do symboli i terminologii. Ruch ten radykalizuje się tam zwłaszcza, gdzie Cyganie żyją w poczuciu potencjalnego zagrożenia. A przeglądając wyniki badań stopnia niechęci do obcych nacji, zauważa się, iż w tych wyścigach nienawiści Cyganie znajdują się w Europie na najgorszej pozycji.

Adam BARTOSZ

Komunikaty

WYDAWNICTWO „ZNAK" ZAPRASZA DO UDZIAŁU W KONKURSIE na powieść lub zbiór opowiadań

I nagroda: 12.000 nowych złotych
II i III nagroda: po 5.000 nowych złotych.
Jury: Czesław Apiecionek, Jan Błoński (przewodniczący), Paweł Huelle, Jerzy Jarzębski, Olga Tokarczuk.

Do udziału w konkursie zachęcamy debiutantów, ale także zapraszamy autorów już opublikowanych książek! Oczekujemy na opatrzone godłem maszynopisy (prosimy o **trzy kopie**) nie publikowanych dotychczas utworów. Objętość powieści: dolna granica ok. 150 stron, górnej nie ma. Opowiadania muszą się objętościowo składać na minimum 150 stron. W opatrzonej tym samym godłem kopercie prosimy umieścić dane autora. Oprócz nagród autorzy wydanych książek otrzymają honoraria.

Czekamy na prace do 31 stycznia 1998 r., wyniki zostaną ogłoszone na Międzynarodowych Targach Książki w Warszawie w maju 1998 r.

Adres: Wydawnictwo Znak, ul. Kościuszki 37, 30-102 Kraków, dopisek: „Konkurs". Wszelkie dodatkowe informacje: tel. 012 21 97 76.

Jury zastrzega sobie prawo innego rozdziału nagród, a Znak pierwszeństwo w wydaniu nagrodzonych książek.

Jedyny fundator nagród: BPH – Bank Przemysłowo-Handlowy.

Patronat prasowy: „Gazeta Wyborcza".

Patronat radiowy: „Trójka" Program III Polskiego Radia.

KOMISJA FUNDACJI STYPENDIALNEJ IM. STANISŁAWA LAMA

Informujemy, że termin nadsyłania podań o stypendia na 1998 r. upływa z dniem 15 grudnia 1997 r.

Przypominamy, że zgodnie z założeniami Fundacji, o stypendia ubiegać się mogą osoby specjalizujące się w *historii literatury polskiej* i w *krytyce literackiej*. Chodzi o kandydatów, którym dla kontynuowania pracy, niezbędny jest krótki pobyt w Paryżu i korzystanie z tutejszych bibliotek i archiwów, a zawłaszcza ze zbiorów Biblioteki Polskiej w Paryżu.

O stypendia im. Stanisława Lama nie mogą ubiegać się mieszkańcy Paryża i regionu paryskiego.

Do umotywowanego podania należy dołączyć życiorys, wykaz publikacji lub opinie osób kompetentnych.

Fundacja nie pokrywa kosztów podróży oraz nie zapewnia mieszkania w Paryżu. Stypendyści muszą również załatwić ubezpieczenie na wypadek choroby, przed przyjazdem do Francji.

Podania prosimy przysyłać na adres:
Fundacja im. Stanisława Lama
Société Historique et Littéraire Polonaise
6, quai d'Orléans
75004 Paris

INTERMARIUM

http://www.columbia.edu/cu/sipa/REGIONAL/ECE/intermar.html

Od końca kwietnia br., w serwerze Columbia University (Nowy Jork), istnieje czasopismo *Intermarium* poświęcone najnowszej (tj. zasadniczo po II wojnie światowej) historii Europy Środkowo-Wschodniej. Celem wydawców jest ułatwienie kontaktów między badaczami tego okresu niezależnie od kraju pochodzenia i tematycznego zakresu zainteresowań (historia polityczna, społeczna, kultury etc.). Czasopismo posiada wszystkie tradycyjne działy: artykuły, materiały źródłowe, recenzje i omówienia, polemiki a także dział informacji np. o planowanych konferencjach, realizowanych projektach badawczych etc. Zachęcamy do lektury, a także do udziału w powstawaniu pisma. Teksty mogą być nadsyłane w głównych językach regionu oraz w językach międzynarodowych *Intermarium* ukazuje się po angielsku, toteż chętnie widziane są teksty w tym właśnie języku. Koszty tłumaczenia ponoszą wydawcy. Nie przewidujemy wypłaty honorariów. Oczekujemy na teksty oryginalne, ale przyjmowane są też teksty już opublikowane (w takim przypadku potrzebna jest pisemna zgoda ich wydawcy).

Wydawcami *Intermarium* są:

Institute on East Central Europe (Columbia University)
Instytut Studiów Politycznych PAN

Redagują:
John S. Micgiel i Andrzej Paczkowski.

Prosimy o nadsyłanie tekstów i kontakt na adresy:
e-mail: jsm6@columbia.edu ;
apacz@isppan.waw.pl (lub politic@isppan.waw.pl
fax: John Micgiel – USA+(212) 854-8577
Andrzej Paczkowski – PL+(22)252-146

SOS – AIDE AUX MALADES POLONAIS

Polscy kardiolodzy zwrócili się do nas z prośbą o ratunek dla dziewczynki, której nie można wyleczyć w Polsce.

Ania ma sześć lat i silną wolę życia, mimo że zaraz po urodzeniu lekarze stwierdzili, że ma wrodzoną, bardzo

skomplikowaną wadę serca, że w każdej chwili może umrzeć. Ania żyje jednak, mieszka w miasteczku koło Zielonej Góry, ale nie zna żadnych radości życia, po kilku szybszych krokach sinieje i traci oddech.

Profesor Lecompte z francuskiego Instytutu Kardio-naczyniowego zgodził się nie tylko operować Anię, ale także przyjąć polskich chirurgów, którzy asystując przy zabiegu, mogliby poznać nową technikę operacyjną i z czasem zastosować ją w Warszawie.

Pozostaje problem kosztów. Po zastosowaniu wszystkich możliwych zniżek, koszty operacji wyniosą 95.000 franków. Nikt z naszego Stowarzyszenie nie jest w stanie ofiarować takiej sumy, ale można by ją zebrać wspólnym wysiłkiem.

Gorąco prosimy o pomoc. Dzięki Wam – ofiarodawcom będzie można uratować życie nie tylko Ani, ale i wielu innym polskim dzieciom.

Doktor Thomas Biedziński
Przewodniczący Stowarzyszenia
SOS Aide aux Malades Polonais

Prosimy o kierowanie darów na adres:
SOS Aide aux Malades Polonais
18, rue Claude Lorrain
75016 Paris
Czeki prosimy wystawiać na:
SOS AIDE AUX MALADES POLONAIS

Notatki Redaktora

Jedno z największych skażeń współczesnej cywilizacji – pedofilia, seksualna eksploatacja dzieci – zostało ostatnio ujawnione w Europie z całą jaskrawością. To, co było dotąd uważane za sprawę marginalną, okazało się rzeczą niezmiernie rozpowszechnioną. Najdobitniej wykazały to wydarzenia we Francji, gdzie rząd z ogromną energią zabrał się do walki z tym zjawiskiem. Setki osób aresztowanych, przesłuchiwanych, ze wszystkich sfer społecznych, przede wszystkim nauczycieli. (W ciągu ostatnich kilku dni cztery osoby z zatrzymanych popełniły samobójstwo). Coraz więcej jest wypadków uprowadzenia dzieci, których niestety nie można odnaleźć lub odnajduje się ich zwłoki. Jest zastanawiające, że problem ten nie znajduje oddźwięku w Polsce, a przecież relacje prasy europejskiej wskazują, że Polska jest krajem, który w dużej mierze produkuje i eksportuje kasety pornograficzne z nieletnimi. Ponadto jest coraz więcej nieletnich chłopców polskich, którzy przyjeżdżają do Berlina „na zarobek", to jest – prostytuują się. To zjawisko powinno się spotkać z jak najenergiczniejszą akcją rządu, a zwłaszcza polskiego duchowieństwa. Myślę tu w pierwszym rzędzie o radiu i prasie katolickiej. Nie wystarczy pamiętać o dzieciach nienarodzonych, trzeba przede wszystkim rozwinąć opiekę nad dziećmi już narodzonymi. Zagadnienie młodzieży jest bardzo skomplikowane i nie ogranicza się do spraw seksualnych. Pisaliśmy niedawno o niepokojącym zjawisku tzw. „fali", która szeroko rozwija się nie tylko w wojsku, ale i w szkolnictwie. To jest zadanie dla kapelanów i katechetów.

●

22 lata temu zmarł w Londynie wybitny uczony, profesor Stanisław Kot, którego dorobek w dziedzinie wycho-

wania i historii reformacji jest ogromny. Znany był nie tylko w Polsce, miał reputację światową. Niestety, jego twórczość jest niezmiernie rozproszona. O ile mi wiadomo, jedyne studium jemu poświęcone było pióra profesora Wiktora Weintrauba i ukazało się w *Kulturze* w 1976 roku. Byłoby bardzo wskazane nie tylko zajęcie się wydaniem jego dzieł, ale przede wszystkim wydanie księgi pamiątkowej, która by zobrazowała ogrom jego pracy. Jest jeszcze dosyć czasu, żeby taka księga mogła się ukazać w 25-lecie śmierci profesora.

Prof. Kot był także wybitnym działaczem ludowym. Syn małorolnego chłopa, o własnych siłach ukończył studia i uzyskał wysoką rangę w świecie naukowym. Między innymi wykładał w prestiżowym College de France. Ponadto zajmował się czynnie sprawami politycznymi. Członek N.K.N., inspirator gen. Sikorskiego, był w czasie wojny ambasadorem polskim w Moskwie, a po wojnie, z ramienia PRL-u ambasadorem w Rzymie. Jego działalność polityczna była – moim zdaniem – bardzo szkodliwa. Jakkolwiek profesor Kot odnosił się do mnie zdecydowanie wrogo, to jednak ceniłem go jako wybitnego uczonego i na emigracji, przed jego ciężką chorobą, starałem się mu pomagać; nasze stosunki bardzo się wyrównały, czego dowodem były jego wspomnienia w *Zeszytach Historycznych*. Jest jednak dość paradoksalne, że to ja obecnie staram się przypomnieć jego działalność, a nie robi tego min. Podkański. Miejmy nadzieję, że zajmie się tą sprawą.

●

Zastanawia mnie to, że nikt, ani w kraju ani na emigracji, nie pamięta o grobie prezydenta Władysława Raczkiewicza, który w zupełnym zapomnieniu jest pochowany w Londynie. Prezydent Raczkiewicz spełniał swoje trudne obowiązki z wielką gorliwością i nie zasługuje na takie zapomnienie. Przypominam o tym, gdyż ostatnio oddaje się sprawiedliwość wybitnym postaciom Polaków czasu Drugiej Rzeczypospolitej i ostatniej wojny, których zniesławiała propaganda komunistyczna z okresu stalinowskiego i PRL-u.

LEKCJA POKORY

„Wychowałem się na *Kulturze*"
(Lech Wałęsa i wielu innych prominentów)

W *Głosie Szczecińskim* z 5-go czerwca br. ukazała się poniższa nota:

Annasze i Kajfasze w ministerium.

Tak się złożyło, że redakcja nasza zapragnęła przeprowadzić rozmowę z Jerzym Giedroyciem, redaktorem paryskiej *Kultury*, w związku z przypadającym w tym roku jubileuszem 50-lecia jej powstania. Przy okazji chciała Go poinformować o podarunku w postaci karafki pięćdziesięcioletniej *Starki*, jaki ofiarowały księciu z Maison-Laffitte, szczecińskie piwnice, też obchodzące jubileusz półwiecza. Tak się jednak złożyło, iż mieliśmy nieaktualny numer telefonu jubilata. Gdzież zasięgnąć języka w tej sprawie, jak nie w Ministerstwie Kultury?

Pomni głośnych kontaktów szefa resortu, Zdzisława Podkańskiego z wielkimi nieobecnymi, skierowaliśmy swą uwagę raczej na gabinet wiceministra, Michała Jagiełły. Miła pani sekretarka, skierowała nas jednak w sprawie numeru telefonu do MSZ. Wyczuwając zdziwienie, zdecydowała, iż lepiej dzwonić do Departamentu Współpracy Zagranicznej. Annasz w tym sektorze posłał nas z kolei do Kaifasza w Departamencie Książki. Tu sumitując się wielce, odesłali nas do... redakcji *Twojego Stylu*, w którym po wyrzuceniu z Ministerstwa zatrudnił się dyrektor Rosner, przyjaciel pisarzy i poetów... Mówi się , że nie ma ludzi niezastąpionych, ale w Ministerstwie Kultury, znajdują się chyba zbyteczni.

Andrzej Palmirski.

REDAKTOR

Ci, co odeszli

Ojciec Jerzy Mirewicz, S.J.

Oboje z żoną byliśmy w bliskim kontakcie z Ojcem Mirewiczem przez cały okres Jego pobytu w Londynie od początku 1964 r. do lata 1993 r., kiedy schorowany, odjechał do Gdyni. W okresie tym wysłuchaliśmy kilkuset Jego wykładów, włączając jedenastoletni kurs zapoznawania się ze Starym i Nowym Testamentem w grupie dwudziestu kilku słuchaczy. Utrzymywaliśmy z Nim również przyjazne stosunki towarzyskie. Na podstawie tych kontaktów muszę powiedzieć, iż w moim pojęciu był On najgłębszym i najbardziej otwartym na inność interpretatorem katolicyzmu, jakiego kiedykolwiek spotkałem.

Nic dziwnego, iż zaraz po wojnie, jako jednemu z niewielu jezuitów edukowanych za granicą (w jego wypadku we Francji), powierzono mu poważne funkcje. Kilkakrotnie polecano mu wygłaszanie rekolekcji dla biskupów i mianowano go kapelanem obu uniwersytetów (KUL-u i państwowego) w Lublinie, przez co umożliwiono mu oddziaływanie zarówno na hierarchię kościelną, jak i na młodzież. Miał on wówczas dobre stosunki z prymasem Wyszyńskim, który zwracał się do Niego per „Jerzy".

Ale potem coś się zmieniło. W 1961 r. zapadła decyzja wysłania go na stałe za granicę, do pracy w radiu watykańskim. Funkcja ta wcale mu nie odpowiadała, gdyż jako urodzony profesor chciał mieć bezpośredni kontakt ze słuchaczami, a nie „mówienie do blachy", jak określał przemawianie przez mikrofon.

Na przełomie 1963-64 został O. Mirewicz przeniesiony do parafii oo. Jezuitów w Londynie, gdzie formalnie został wikarym. W ten sposób stał się odcięty od możliwości wywierania wpływu na podejście Kościoła w kraju do narastających tam problemów. Początkowo był jeszcze wzywany

od czasu do czasu do Rzymu, ale i to wkrótce zanikło. W ten sposób wpływy O. Mirewicza zostały ograniczone do Polaków na Zachodzie, a ściślej w Londynie, gdzie w krótkim czasie nabrały one poważnego znaczenia.

Formalnym wyjaśnieniem „skazania na emigrację" było to, że w PRL mógł on ulec aresztowaniu, gdyż w czasie wojny, jako osoba świecka, należał do AK i do „Antyku", czyli wydziału Delegatury Rządu, gromadzącego informacje dotyczące Sowietów i po wojnie nigdy nie ujawnił się. Jednak okoliczności te mogły być jedynie częściowym wyjaśnieniem, szczególnie, że później ani kardynał Wojtyła po wyborze na papieża, ani też biskup Glemp po mianowaniu go prymasem, nie widzieli się z Nim w Londynie, czy też w Rzymie. Były więc chyba również inne powody izolowania Ojca Mirewicza.

Dwukrotnie zwracałem się do niego z pytaniem, dlaczego ograniczono jego wpływy jedynie do emigracji? Nigdy nie zaprzeczył, iż takie pytanie ma sens i nie powiedział, że jedynym powodem było zagrożenie ze strony bezpieki. Natomiast dwukrotnie stwierdził, iż jeszcze jest za wcześnie, żeby o tych sprawach mówić. A potem było już za późno, bo w marcu 1985 r. O. Mirewicz uległ wypadkowi (spadł ze schodów kolejki londyńskiej), co spowodowało stopniową, ale zdecydowaną utratę sił zdrowotnych.

Niewątpliwie my z żoną, jak również wielu innych słuchaczy i czytelników Jego książek, skorzystaliśmy bardzo wiele i jesteśmy za to niezmiernie wdzięczni, ale przecie Jego umiejętności mogły być wykorzystane o wiele lepiej w kraju w dziedzinie kształcenia młodych księży i przyszłych biskupów. Wydaje się, że niektóre z naświetleń O. Mirewicza byłyby w kraju szczególnie przydatne.

Na przykład był On przeciwny utożsamianiu polskości z katolicyzmem, podkreślał uniwersalność Kościoła i konieczność trzymania drzwi otwartych dla wszystkich ludzi, którzy chcieliby wejść do Kościoła. Był oczywiście przeciwny szerzeniu katolicyzmu przemocą i uważał, iż katolicy powinni posługiwać się jedynie metodą argumentacji i perswazji, a nie metodą siły lub wrogości. Uważał, że Kościół powinien stawiać przed człowiekiem propozycję, którą człowiek ma prawo przyjąć lub odrzucić. Uważał też za wielki błąd wiązanie się hierarchii kościelnej z taką lub inną partią polityczną. I stawiał za wzór kardynała Hlonda, który w atmosferze wielkiego rozpolitykowania przed wojną, potrafił utrzymać niezależność polityczną episkopatu i nie dopuścił do

zbliżenia ani z endecją, ani też z chadecją, pomimo że presja była duża. Jednocześnie O. Mirewicz udowadniał, że dygnitarze Kościoła nie powinni wypowiadać się w sprawie, kto ma lub nie ma prawa rządzenia krajem. W tej dziedzinie przeciwstawiał Sapiehę i Wyszyńskiego, którzy ściśle stosowali się do tej zasady, Mindszentemu, który odmawiał komunistom prawa rządzenia Węgrami i przez to nie przysłużył się Kościołowi na Węgrzech. I wreszcie O. Mirewicz twierdził z naciskiem, iż katolicyzm to nie tylko objawienie i wiara, ale również i filozofia życia, czyli katolicki światopogląd, który przeciwstawiał marksistowskiemu.

Jak wiadomo, obecnie w polskim Kościele popularne są inne interpretacje katolicyzmu, nieraz niezgodne z zasadami głoszonymi przez O. Mirewicza. Szkoda, że za Jego życia nie korzystano z Jego przenikliwego i rozsądnego spojrzenia, dzięki czemu można było uniknąć szeregu niefortunnych kroków.

Londyn, 25 stycznia 1997 r.

Z. S. SIEMASZKO

Książki

„Wspomnienia" J.-F. Revela

Jean-François Revel (ur. w 1924 w okolicach Marsylii, prawdziwe nazwisko Ricard, z wykształcenia [w nader prestiżowej Ecole Normale Supérieure] filozof, z zawodu profesor licealny, później wydawca, dziennikarz, publicysta i autor ponad dwudziestu książek) jest jedną z ciekawszych postaci powojennej Francji. Swym nonkonformizmem i niezależnością poglądów przypomina Orwella: dawny lewicowiec, ale nawrócony na liberalizm przez awersję do papuziej ortodoksji „kół postępowych", patriota, ale brzydzący się szowinizmem i gallocentryczną hucpą, uważny obserwator światowej sceny intelektualnej, ale daleki od stereotypu „zaangażowanego intelektualisty". Jego „Wspomnienia" napisane niezwykle barwnie choć nieco kapryśnie (w sensie chronologii) zaczynają się też orwellowską uwagą, że myśląc o swym życiu myśli głównie o popełnionych przez siebie głupstwach i pomyłkach. I istotnie – w tekście często spotyka się fragmenty, w których autor przyznaje, iż wielu rzeczy dopiero *nauczył się* w ciągu życia. Ta szczerość korzystnie odbija od większości wspomnień tego typu – zazwyczaj pełnych namaszczonego samouwielbienia – i sprawia, że książkę tę czyta się jako współczesny *Bildungsroman*, a nie tylko „dokument epoki", przyczynia się też do tego świetny, wręcz aforystyczny styl Revela. Oto próbka ze str. 272:

„Nie ma 'kultury' – są tylko kulturalni ludzie. Nie istnieje kultura w ogóle, w oderwaniu od jednostek, podobnie jak nie ma muzyki fortepianowej gdy brak pianistów. Kultura obumiera gdy zanikają ci, którzy ją uosabiają – nie w sensie oficjalnej instytucji lecz w sensie własnej wrażliwości, własnej

inteligencji. Wszystko pozostałe to tylko kolportaż. Jak to sarkastycznie a trafnie sformułował [jeden z wykładowców Sorbony] Etiemble, większość ludzi zamiast zaczynać zdanie od 'uważam, że...' winna mówić 'powtarzam za innymi, że...'. Kulturę przekazuje się drogą odnawiania jej przez umysły, które w miejsce powtarzania zastanych poglądów i gustów przeżywają je na nowo, reewaluują i pogłębiają na własny użytek z uwagi na ich wartość inherentną. Większość tego czego nauczyłem się i zrozumiałem w dziedzinie sztuki i literatury zawdzięczam właśnie ludziom tego rodzaju. Często za pomocą krótkiej wzmianki czy przygodnej aluzji otwierali mi oni nową perspektywę, odsyłali do autentycznego doświadczenia dzieł sztuki i pozwalali mi nagle dostrzec, że to co uważałem za własny sąd było tylko przesądem".

Wspomniałem wyżej, że książka jest barwna, ale kapryśna. Pierwsza cecha jest konsekwencją faktu, że życie Revela było niezwykle urozmaicone; druga wynika stąd, że relacja o jego rozlicznych zajęciach, podróżach i spotkaniach z ludźmi, co rusz skłania autora do dygresji i *flash-back*'ów. Warto więc w tym omówieniu zrekonstytuować jego biografię nieco systematyczniej.

Rodzice Revela (pseudonim pisarski, który w 1977 stał się jego legalnym nazwiskiem) należeli do tej niegdyś zamożnej burżuazji handlowo-przemysłowej, która po wojnie (utrata francuskich kolonii i sfer wpływów) mocno zbiedniała – toteż autor określa oprawę materialną swojego dzieciństwa jako „pseudobogactwo". Niemniej był to ważny czynnik kształtujący całość jego życia: wyrósł w atmosferze szacunku dla książek i sztuki, uczęszczał do dobrych szkół (gimnazjum jezuickie w Marsylii), a co najważniejsze – uniknął obsesyjnego kultu kariery, będącego tak często pozostałością biednego dzieciństwa. Ten swoisty arystokratyzm burżuazyjny sprawił, że Revel w młodości prowadził życie nieco cygańskie, a później wybierał zajęcia i sfery zainteresowania kierując się bardziej własnymi impulsami niż wymogami doraźnego sukcesu i splendoru. Przypuszczalnie właśnie ta swoboda wewnętrzna stanowi główny wyróżnik Revela na tle „normalnych" środowisk literacko-dziennikarskich i akademickich we Francji, w której – jak sam zauważa – „bardziej

ceni się stanowisko urzędowe niż talent" (obserwację tę ilustruje wypowiedzią Jacques Monod, który wspomniał kiedyś, iż otrzymał znacznie więcej gratulacji po nominacji na dyrektora Instytutu Pasteura, niż gdy dostał Nagrodę Nobla).

Dzięki dobremu przygotowaniu szkolnemu i niewątpliwie właśnie talentowi, 19-letni Revel zdał „od pierwszego podejścia" niezwykle trudny egzamin wstępny do Ecole Normale (typowe pytanie *ex promptu*: „ile razy w swym życiu Clemenceau był ministrem?") i zaczął studia w Paryżu. Specjalizację w filozofii wybrał – jak pisze – nie z racji „iluzji wszechwiedzy" jaką dyscyplina ta daje naiwnym lecz dlatego, iż uznał, że stanowi ona dobry punkt obserwacyjny na całość kultury. W tym miejscu trudno mi powstrzymać się od przytoczenia innego celnego *aside*'u autora (jedna z atrakcji tej książki!) a mianowicie, że już w gimnazjum stwierdził, iż oryginalne teksty trudnych autorów (wliczając w to Kanta i Hegla) są zazwyczaj bardziej jasne i instruktywne niż uczone dzieła na ich temat. Jak się zdaje – punkt w książce trochę niejasny – Revel nigdy nie uzyskał ostatecznie formalnej *agrégation* (=*ca* skrzyżowanie doktoratu z habilitacją), gdyż w 1944 r. na skutek wpadki grupy konspiracyjnej, do której należał musiał schronić się na prowincji, a po wojnie przerywał kilkakrotnie studia z powodu konieczności zarobkowania (belfrowanie w Algierii, praca we francuskich ośrodkach kulturalnych w Meksyku i we Włoszech, itp.). Tu warto przytoczyć dwie zabawne anegdoty związane z tym okresem życia. Revel w nietypowy dla większości autorów tego rodzaju wspomnień (zwłaszcza francuskich) sposób określa własny „wkład w wyzwolenie Ojczyzny" jako skromny (był w Resistence tylko kurierem), ale pouczający: z rozbawieniem wspomina np. pierwszą paradę wojskową w Marsylii w dniu wyzwolenia – brało w niej udział 500 kombatantów *de l'interieur* (czyli partyzantów); w następnej defiladzie w trzy tygodnie później maszerowało w tej grupie już pięć tysięcy osób! Jak widać Czwarte Brygady są zjawiskiem uniwersalnym. Druga anegdota wiąże się z niedoszłą *agrégation* autora pod koniec lat 50-tych i daje mu okazję do paru cierpkich uwag na temat „złowrogiego monopolu administracji – także w kulturze". Revel wybrał jako temat dysertacji „Estetykę" Hegla i przedstawił projekt pracy swemu promotorowi z

urzędu. Ten oświadczył: „Mowy nie ma – temat wkracza w dziedzinę literatury, a więc pracę musiałoby oceniać jury mieszane, a nie wyłącznie złożone z filozofów. Nie będę w tym brał udziału – jeśli pan chce, niech pan ten projekt przedłoży na wydziale literatury". Dla Revela był to ślepy zaułek: tezy z tego zakresu zależały wyłącznie od dobrej woli niejakiej pani Dury, której tomik wierszy zdążył był w międzyczasie schlastać w jednej ze swych pierwszych książek („Pourquoi des philosophes?" 1957). Jako wyjście promotor zaproponował inny temat – opracowanie nie wydanych rękopisów Husserla złożonych w archiwum uniwersytetu w Louvain. Wspomnienie-komentarz Revela do tej propozycji: „Na temat ineditów Husserla w Louvain miałem dokładne relacje z ust [wietnamskiego kolegi autora z jego *Ecole*] Thao, który sam już zresztą zgarnął z nich najlepszą śmietankę. Ostrzegł mnie przed nader wątpliwą rewelacyjnością tysięcy stronic pozostałych po tym starym gadule, który od rana do wieczora stenografował wszystko co mu tylko przeszło przez głowę". Jako dawny wychowanek Uniwersytetu Jagiellońskiego, na którym nazwisko twórcy fenomenologii wymawia się do dziś z przyklękiem, przytaczam te irrewerencje z niejaką satysfakcją...

Perypetie z agregacją odcięły Revela definitywnie od kariery naukowej i popchnęły w stronę dziennikarstwa, czego zresztą wyraźnie nie żałuje; w innym miejscu swych wspomnień stwierdza: „Z wyjątkiem poniektórych wyższych umysłów, które ratują obie te profesje od hańby, środowisko dziennikarskie jest niewątpliwie równie zamknięte w sobie, nietolerancyjne wobec krytyki i przekonane o swej nieomylności jako środowisko uniwersyteckie. Należąc w przeszłości do obydwu tych zgraj, wiem o czym mówię. Ale dodatkową komiczną stroną pracowników uniwersyteckich jest to, że pogardzając dziennikarzami równocześnie uganiają się za nimi, tak chciwi są jakiejkolwiek wzmianki w prasie czy mediach na temat swych publikacji i siebie samych. Pracownicy uniwersyteccy, szczególnie w dziedzinie socjologii i politologii, kurczowo trzymają się podziału na „badaczy" (rzekomo poważnych) i dziennikarzy (rzekomo niepoważnych). W praktyce natomiast ci pierwsi w dużym stopniu żerują na artykułach tych drugich. Mania klasyfikacji i barier, infantylna „szlachecka" próżność inspirowana chęcią obrony kast intelektualnych i zawodowego korporacjonizmu zawsze mnie rozśmieszała [...]. Zamiłowanie do stawiania płotów jest nader żywe we Francji". Znów można by dodać: nie tylko we Francji...

Wróćmy do biografii autora. Revel ożenił się jeszcze w czasie studiów (w 1945) i wkrótce został ojcem dwojga dzieci, tak że zmuszony był szukać jakichś stałych dochodów; dzięki znajomościom i szczęśliwym zbiegom okoliczności „trafiły mu się" dwie atrakcyjne posady: najpierw w Meksyku (1950-52), a następnie we Włoszech (Florencja, 1952-55), obie w tamtejszych filiach Instytutu Francuskiego. Były to niewątpliwie świetne „punkty obserwacyjne" i autor poświęca wiele miejsca na opis swych doświadczeń – z prawdziwym żalem rezygnuję z przytoczenia tu obszerniejszych fragmentów, zwłaszcza na temat słynnych meksykańskich malarzy komunistycznych, Diego Rivery i Siqueirosa (no, choćby odrobinkę: „Poznałem – *hélas!* – gruntownie ich twórczość, a co więcej, obserwowałem ich przy pracy. Obaj ci nacjonaliści-stalinowcy i rewolucjoniści nadziani skądinąd po gardło burżuazyjnymi obstalunkami i synekurami zasmarowywali budynki publiczne kiczowatymi 'murales', stanowiącymi pomioty ekspresjonistycznej emfazy i socrealistycznej wulgarności" itd.). Jednym z owoców tego pobytu był bardzo krytyczny artykuł Revela o Meksyku, który ukazał się w 1952 pod nie znanym nikomu pseudonimem we francuskim piśmie *Esprit*, co wywołało oburzenie meksykańskich „kół miarodajnych". Ponieważ *Esprit* (założony przez Emmanuela Mouniera) miał i w Polsce nieco zwolenników wśród katolickiej inteligencji, warto znów przytoczyć mały Revelowski *aside* na ten temat: „Choć podzielałem w pewnej mierze polityczne ukierunkowania 'lewicowe' tego pisma, to z drugiej strony nie miałem najmniejszej sympatii dla 'personalizmu chrześcijańskiego', stanowiącego jego podstawę doktrynalną. Już dostatecznie dużo tej święconej lemoniady musiałem nałykać się [...] w *khâgne* [=policealnej klasie przygotowawczej] w Lyonie. Mimo, że miałem wówczas antyklerykalną *idée fixe*, 'postępowe' błyskotki marksizującego katolicyzmu rozwścieczały mnie jeszcze bardziej niż bigoci Kościoła spod znaku Piusa XII".

Pióro Revela przyczyniło mu też niechętnych we Włoszech (które skądinąd uwielbia), ponieważ w książce o tym kraju („Pour Italie", 1958) zbyt często zdaniem włoskich czytelników podkreślał XIX-wieczny charakter atmosfery i instytucji ich kraju. Jego późniejsza, znacznie ostrzejsza książka o Francji („En France", 1965) została przyjęta spokojniej, gdyż jak sam to ocenia: „Francuzi, chociaż są skrajnie zarozumiali, mimo wszystko przywykli już nieco do krytyki".

Po wspomnianych tu posadach/doświadczeniach zagranicznych Revel wraca do Francji i zaczyna swój okres pracy wydawniczej (u Laffonta) i – często równocześnie – dziennikarskiej. W 1977 zostaje zaangażowany (w tym samym czasie co Raymond Aron) do tygodnika *L'Express*, w którym aż do swej rezygnacji (1981) pełni funkcję *directeur de la rédaction*. Lata 70-te były w zawsze „nieleniwym" życiu Revela najintensywniejsze (m.in. w tych latach ukazały się też jego liczne książki skierowane przeciw komunizującym „intelektualistom" zachodnim), toteż nawet pobieżne streszczenie wszystkich jego poczynań, inicjatyw i polemik z tego okresu przekracza możliwości tego omówienia. Odnotujmy tylko co ważniejsze: w 1978 r. Revel „rozkręcił" w *Express* sprawę dobrowolnego zgłoszenia się Georgesa Marchais do pracy w Niemczech (i to w zakładach Messerschmitta!) w czasie okupacji. Ten dobrze udokumentowany fakt nie zaszkodził w niczym ówczesnemu sekretarzowi generalnemu Francuskiej Partii Komunistycznej, za to przyczynił się do zwiększenia odium „antykomunisty" otaczającego przez dziesięciolecia naszego autora. Podobnie było w rok później, kiedy to Revel ogłosił w swym piśmie dowody na bezpośrednie finansowanie FPK przez Związek Sowiecki. Co najciekawsze, odium to trwało aż do samego zawalenia się Związunia, a w pewnych kręgach utrzymuje się do dziś. Powody tego sam zainteresowany ocenia następująco (str. 430):

„Żeby [to zjawisko] zrozumieć należy przypomnieć sobie klimat terroru jaki wtedy [tj. pod koniec lat 70-tych] szerzył lęk przed etykietką antykomunisty, i to zarówno na lewicy jak i w centrum, a nawet na prawicy. W niecałe dziesięć lat później, gdy imperium sowieckie zaczęło swą raptowną dezintegrację, łatwo już było nie pamiętać, że końcowy okres komunistycznego zastraszania politycznego i dyktatury intelektualnej był jednym z najgorszych. Ówczesny *finty* na użytek durniów, jako „odprężenie", eurokomunizm, „kompromis historyczny", „rezygnacja" KPF z dyktatury proletariatu [...] stanowiły dekorację mającą utrwalać mit liberalnego komunizmu i dyskredytować antykomunizm jako staroświecką obsesję. [...] Wszelka krytyka komunizmu uznawana była za zbrodnię przeciw lewicy w ogóle i za perfidną intrygę mającą utrudnić socjalistom dojście do władzy. [...] Tak więc wszyscy komunistów głaskali, a komuniści mogli wszystkich bezkarnie obrzucać obelgami. Stawienie im czoła deprecjonowało nieostrożnego w opinii wszystkich partii, ale oczywiście najbardziej wśród lewicy niekomunistycznej. Doświadczyłem tego w owych latach na własnej skórze".

Dużo miejsca w swych „Wspomnieniach" Revel poświęca też refleksjom ogólniejszym i to do tej warstwy książki odnosi się chyba podtytuł: „Złodziej w pustym domu" – nieco posępne podsumowanie całożyciowego „łupu" wrażeń i przeżyć autora.

Chciałbym na zakończenie przytoczyć fragment, w którym mówi o swym obecnym stanowisku wobec religii. *Nota bene* ma on we własnej rodzinie doskonały teren do obserwacji w tym zakresie:

„Msza ślubna [...] mej córki Eve dnia 3 grudnia 1972 [...] odbywała się na stojąco, ponieważ zarówno jej, jak i jej narzeczonemu – obojgu urodzonym w rodzinach katolickich – krótko przedtem przyszła niespodziana chętka przejść na prawosławie. [...] Mój starszy syn Matthieu po uzyskaniu doktoratu z biologii [...] z oceną *summa cum laude* porzucił badania naukowe i został buddystą. W 1967 zawarłem [drugie] małżeństwo z Claude Sarraute, która jest Żydówką, tak że nasz syn Nicolas [...] według religijnego prawa żydowskiego jest również Żydem. [...] W małym kościółku prawosławnym w Vanve [w czasie ślubu córki] miałem więc okazję do medytacji nad niespodziankami życia. [...] Ja, dawny wychowanek jezuitów a później ateista, ja, uczeń Voltaire'a, od 18-go roku życia przeniknięty tym wirulentnym agnostycyzmem, który Towarzystwo Jezusowe tak świetnie potrafi podsycić – oto tenże ja znalazłem się w sytuacji, że mam prawosławną córkę i jednego syna buddystę, a drugiego Żyda! Od wielu lat już obojętność wobec tych spraw osłabiła i wreszcie

rozwiała mój dawny antyklerykalizm. Niebezpieczeństwo – to w istocie rzeczy nie kler. Wśród kleru jest w końcu tyle samo porządnych ludzi co w innych zawodach. Niebezpieczeństwo to sama religia. Z całym szacunkiem dla jej zwolenników i na przekór ich zawiłym mowom obrończym uważam, że w imię miłości bliźniego rodzi ona nietolerancję i, podobnie jak zawody sportowe, podnieca tłumy do fanatyzmu i stosowania przemocy. Nie potrafię doszukać się sensu w powiedzeniu Malraux: 'Dwudziesty pierwszy wiek będzie religijny lub nie będzie go wcale' i nie sądzę, by ono jakikolwiek miało. Ostatecznie dwudziesty pierwszy wiek nastanie tak czy owak. Ale jest możliwe (i tu Malraux może ma rację) że będzie on religijniejszy od dwudziestego, w którym ideologie częściowo przejęły miejsce religii w zakresie usprawiedliwiania ludzkiej potrzeby likwidowania heretyków i – w razie potrzeby – stwarzania ich sztucznie".

Fascynująca książka! Zastanawiałem się w trakcie lektury w jaki sposób można by ją przybliżyć polskiemu czytelnikowi. Zachęcać do tłumaczenia całości? – któryż z wydawców zaryzykuje inwestycję w tak obszerną i bądź co bądź mocno gallocentryczną rzecz?! Przekład „skrócony" byłby zaś krzywdzącym okrojeniem. Chyba nie pozostaje więc nic innego jak tylko zarekomendować ją gorąco tym wszystkim, którzy znają francuski, mają możność jej nabycia (nawet względnie niedrogo – 149 FF) i lubią obcować z ludźmi o niecodziennym umyśle i doświadczeniu.

M. BROŃSKI

Oblicze ojczyzny

Nakładem niemieckiej oficyny Herbig ukazała się obszerna antologia Winfrieda Lipschera i Kazimierza Brakonieckiego zatytułowana „Oblicze mej ziemi ojczystej", zawierająca

utwory autorów związanych z historycznym obszarem Prus Wschodnich. Ukazanie się tej książki jest niewątpliwie wydarzeniem choćby z tego względu, że jest to książka ułożona wspólnie przez antologistów w zupełnie odmienny sposób związanych z tym obszarem. Lipscher jest Niemcem, tu urodzonym, lecz zmuszonym przez okoliczności historyczne i polityczne do opuszczenia swej „małej ojczyzny". Brakoniecki z kolei także się tu urodził, wszakże w rodzinie, którą owe okoliczności sprowadziły na Warmię i Mazury z dawnych polskich kresów wschodnich. Obaj poczuwają się do odpowiedzialności za swe miejsce na ziemi. Obaj też zamierzyli księgę, która ukazuje wielokulturowe oblicze tego obszaru.

Wybór utworów pisarzy stąd pochodzących lub tu żyjących poprzedza – i jest to piękny wyraz historycznej pamięci – tekst modlitwy „Ojcze nasz" w języku dawnych, wymordowanych mieszkańców tych ziem: Prusów. Wydobyty został z zapisu w katechizmie luterańskim, wydanym w Królewcu w roku 1541. Po nim zaprezentowano część określoną jako „Uniwersalia" – odnajdujemy tu teksty Mikołaja Kopernika, Jana Dantyszka, Stanisława Hozjusza, Johanna Georga Hamanna, Immanuela Kanta, Johanna Gottfrieda Herdera i Ignacego Krasickiego. Już w tym obszarze spotykają się trzy języki: łaciński, niemiecki i polski. Kolejne rozdziały – poszerzające językową przestrzeń o litewski i rosyjski – zawierają utwory opisujące tereny „małej ojczyzny", życie jej mieszkańców oraz tragedię ostatniej wojny i wysiedleń. Rozdział ostatni poświęcony jest kształtującej się po wojnie nowej tożsamości tego obszaru, podzielonego dziś między Polskę, Litwę i Rosję.

Odnajdujemy tu utwory literackie i teksty historyczne autorów wybitnych. Do nich bez wątpienia należy historyk, Ferdinand Gregorovius, autor – obok dzieł poświęconych starożytnemu Rzymowi – znakomitej rozprawy o polskim republikanizmie, wydanej niedawno nakładem olsztyńskiej Borussi. Do nich należą też pisarze niemieccy: Simon Dach, Ernst Theodor Wilhelm Hoffmann, Ernst Wiechert, Johannes Bobrowski, Siegfried Lenz, ale także mniej w Polsce znana poetka Annemarie in der Au. Wśród pisarzy polskich odnajdujemy tu m.in. Michała Kajkę, Henryka Panasa czy Erwina Kruka. Ostatni rozdział przynosi też teksty całej pleja-

dy polskich pisarzy średniego i młodego pokolenia – m.in. Kazimierza Brakonieckiego, Tamary Bołdak-Janowskiej, Zbigniewa Chojnowskiego i Alicji Bykowskiej-Salczyńskiej.

Gdy chodzi o „polską reprezentację" w tym tomie, warto może upomnieć się o literaturę wileńską – od Mickiewicza i jego kręgu poczynając, poprzez Józefa Mackiewicza, na Czesławie Miłoszu, Tadeuszu Konwickim i Jarosławie Marku Rymkiewiczu kończąc. Jeżeli bowiem znalazło się tu miejsce dla pięknego wiersza Bobrowskiego „Wilno", nie powinno też go zabraknąć dla inwokacji do „Pana Tadeusza" Mickiewicza czy „Księżyca nad wigrami" Rymkiewicza. Gdyby antologia ograniczała się wyłącznie do prezentacji autorów stąd pochodzących, wówczas można by było dyskutować zasadność włączenia tego ostatniego utworu, jednakże jej podtytuł – „Prusy Wschodnie w zwierciadle literatury" – zakłada formułę szerszą. I warto, by autorzy – w planowanych wydaniach polskim i rosyjskim – zastanowili się nad poszerzeniem zawartości książki. Zdaję sobie oczywiście sprawę z faktu, że wileńszczyzna nie wchodzi w obszar historycznych Prus Wschodnich, lecz nie ulega wątpliwości, że sami autorzy pośrednio poszerzają ich granice, włączając do książki wspomniany wiersz Bobrowskiego. „Nuta wileńska" współtworzy terytorium szerszej nieco wspólnoty kulturowej: litewskość – pojmowana zarówno historycznie jak i politycznie – stanowi istotny czynnik owej wielokulturowej przestrzeni i nie ma powodów, dla których w tej akurat książce, której jednym z zamierzeń jest odrzucanie politycznych stereotypów i zacieranie granic narodowych, nie można by było pokusić się o kreację owej większej całości.

Byłoby to tym bardziej pożądane, że w tomie odnajdujemy utwory współczesnych autorów litewskich i rosyjskich. Nie jest ich wielu, lecz to oni właśnie współkształtują nowe oblicze owej ziemi wydartej Prusom i Jadźwingom: czy to będzie Rosjanka Natalia Gorbaczowa, czy Litwinka Biruta Baltrusaityte-Masioniene. Stosunkowo duża reprezentacja pisarzy litewskich i rosyjskich jest w tej antologii swego rodzaju sondą w przyszłość. Większość z nich, urodzonych już w okresie powojennym, tworzy na tym obszarze nowe jego dzieje. Podobnie jak młodzi autorzy polskich Warmii i Mazur, ci właśnie pisarze będą autorami przyszłych rozdziałów antologii Brakonieckiego i Lipschera. Nie znaczy to, że i we współczesnej literaturze niemieckiej, także młodej, tej tworzonej już przez pisarzy urodzonych daleko od ziemi ich przodków, nie pojawią się pejzaże Prus Wschodnich – tak, jak w dzisiejszej młodej literaturze polskiej przywoływane są krajobrazy dawnych kresów. Nie ma w tym nic, co mogłoby budzić niepokój. Jest bowiem rzeczą oczywistą, że nie można naszej współczesności wykorzenić z historii. Problemem jest tylko sposób, w jaki dziejowe doświadczenia są wpisywane w dzień dzisiejszy. Ten tom zaświadcza, że można je spożytkować tak, by tworzyły obszar ponadnarodowej wspólnoty, szacunku dla pamięci i woli porozumienia.

Leszek SZARUGA

Meiner Heimat Gesicht. Ostpreussen im Spigel der Literatur. Mit Vorworten von Klaus Bednarz, Andrzej Szczypiorski, Nikolaus Ehlert und Kazimiera Prunskiene. Herausgegeben von Winfried Lipscher und Kazimierz Brakoniecki, Herbig, Monachium 1996, s. 670.

Nie zamierzona autobiografia

Wojciech Wasiutyński, jeden z najwybitniejszych publicystów ostatniego półwiecza, nie napisał nigdy pamiętnika ani biografii, choć go do tego nieraz namawiano. W jego nie uporządkowanych papierach zostały fragmenty wspomnień, artykuły i dorywcze notatki, z których po jego śmierci w 1994 r., żona i gdański historyk Wojciech Turek zrobili wybór. Ukazał się on w książce pt. „Prawą stroną labiryntu"[1] i z powodzeniem zastąpił pamiętnik czy świadomie skonstruowaną biografię.

Dzięki licznym dodatkom edytorskim (kalendarium, bibliografia, przypisy itd.) można z lektury tej książki dokładnie

1. Wojciech Wasiutyński. „Prawą stroną labiryntu". Exter. Gdańsk 1996.

odtworzyć życie autora, rozpoczęte „w ubiegłym wieku", jak pisze, zgodnie ze swym ustaleniem, że „wiek XIX skończył się z wybuchem pierwszej wojny światowej, a wiek XXI narodził się z upadkiem komunizmu".

Wasiutyński należał do „pokolenia 1910", jak ktoś to w kraju określił. Różnica wieku w tym pokoleniu mogła sięgać od paru do kilkunastu lat, ale czy jego przedstawiciele urodzili się w pierwszych latach XX wieku czy niedługo po 1920 r. łączyło ich to, że całą czy ważną część swojej młodości przeżyli w dwudziestoleciu niepodległości.

On urodził się właśnie w tym przełomowym 1910 r. i zanim wybuchła druga wojna był już dojrzałym człowiekiem, o zdecydowanych poglądach, działaczem politycznym i coraz bardziej wybijającym się publicystą. Wychowany w tradycji Narodowej Demokracji, tej z końca XIX w., gdy stronnictwo było narodowe i demokratyczne, znalazł w ideologii prawicowej odpowiednik swoich przekonań.

Książka, mimo starań redaktorów o zachowanie ciągłości, jest nierówna. Początkowy jej rozdział o historii rodziny i o własnym dzieciństwie („Dojrzewanie") , wyraźnie zamierzony jako zamknięty esej, a potem, w trzeciej części („Wielka wędrówka") reportaż z Września, odbijają swą pisarską klasą od reszty książki, która jest zapisem politycznej działalności w partii prawicowej, w jakiej brał udział od czasów studenckich w Warszawie do końca życia.

Ojciec Wasiutyńskiego, Bohdan, był dziennikarzem i profesorem prawa w Poznaniu i Warszawie, i jako czynny członek Stronnictwa Narodowego był bardzo blisko związany z jego środowiskiem zawodowo, rodzinnie i towarzysko. I dziecinny życiorys Wojtka zaczął wcześnie zaludniać się postaciami, należącymi do historii tych czasów, z zaprzyjaźnionym z rodziną Romanem Dmowskim na czele. Los Wojtka był już z góry wyznaczony – dziennikarstwo, polityka.

Jako paroletni chłopiec wygłaszał własne polityczne mądrości i ledwo nauczył się pisać i czytać, zaczął „wydawać" gazetę – rysował szpalty i wypełniał stronę własnymi tekstami, w których były nawet polityczne dowcipy i ogłoszenia. Nie było takiej chwili w jego życiu, by nie współpracował z jakimś pismem, albo go nie redagował, przed wojną, podczas wojny i na emigracji, aż do samego końca, gdy od 1992 r. zaczął

pisać stałe felietony do *Życia Warszawy*. Nie opublikowany nigdy przedtem artykuł na końcu książki pt. „Ostatnie słowo", trzeźwo widzący nową polską rzeczywistość, napisał na cztery miesiące przed śmiercią w 1994 r. Zawsze myślący politycznie, miał swoje zdanie o wszystkim, co obchodzi dziś ludzi w kraju. W wywiadzie z Tomaszem Wołkiem, z którym prowadził długie rozmowy o dekomunizacji, powiedział: „A ja bym wszystkie te papierzyska wywiózł na największe wysypisko śmieci pod Warszawą – i spalił". Na zdumione pytanie „dlaczego?", wyjaśnił: „Bo komuniści mieli czas, żeby doszczętnie prawdę z kłamstwem wymieszać. I to co zostało, niekoniecznie musi być wiarygodne, a wiele krzywdy niewinnym ludziom może przyczynić".

Na wojnę 39 r. Wasiutyński wyruszył jako dziennikarz, z urzędowym poleceniem dotarcia, razem z innymi, do punktu zbornego dla prasy pod Lublinem, gdzie ewentualnie będzie można wstąpić do wojska. Oczywiście nigdy nie doszedł do celu, nigdy żadnego „punktu zbornego" nie odnalazł, bo go nie było, i ta parotygodniowa wędrówka, pieszo i wszystkimi środkami lokomocji, wzdłuż i wszerz kraju, aż do południowej granicy, jest treścią jednego z rozdziałów książki. Reportaż bez komentarzy, rzeczowo notujący szczegóły, przez zestawienie z apokaliptyczną rzeczywistością, robi większe wrażenie, niż niezliczone podobne relacje. W ciągu paru dni świat przewrócił się do góry nogami, zniknęły wszelkie prawidłowości, pierwsza totalna wojna wyrzuciła na powierzchnię tysiące ludzi, którzy w osłupieniu, w panice uciekali we wszystkich kierunkach, nie wiedząc dokąd, byle gdzie indziej, byle dalej. Wasiutyński, jak inni, spotykał niespodziewanie w tym tłumie znajomych, gubił ich, znajdował tych, których nie szukał, gubił się sam, trafiał nie tam gdzie zamierzał, zawsze za późno. „Jakby ktoś nadepnął na mrowisko" – usłyszał kiedyś w drodze. Najtragiczniejszy w tym obrazie był los opuszczonego żołnierza, rozpaczliwie błąkającego się, nierzadko z płaczem, w pogoni za wojskiem, za rozkazem, za dowódcą.

Piłsudski przewidział klęskę w wojnie z Niemcami i

2. Mieczysław Pruszyński. „Tajemnica Piłsudskiego". Polska Oficyna Wydawnicza. Warszawa 1996.

należycie oceniał niedołęstwo swych generałów[2], ale nawet w najczarniejszej wizji przyszłości zawahałby się pewnie przed zobaczeniem nowych pilawieckich hetmanów.

Ten wrześniowy rozdział książki, choć dłuższy od innych, choć potrafił tak wstrząsająco pokazać epizod wojny, zepchnięty w niepamięć przez wszystko, co stało się potem, wydaje się być traktowany w książce marginesowo. Najwięcej miejsca i uwagi zajęła w niej partyjna polityka, w jakiej Wasiutyński brał udział całe życie. Zanim formalnie wstąpił do Stronnictwa Narodowego w listopadzie 1939 w Paryżu, przed wojną należał do młodzieżowych frakcji prawicowych, które nieustannie kłóciły się ze sobą i dzieliły jak chore komórki, skryte pod coraz to nowymi akronimami, które trudno zapamiętać. On sam stał się ofiarą partyjnych pasji swych rówieśników, pobity raz przez bojówkę wrogiego odłamu tak, że przypłacił za to częściową utratą słuchu.

Wewnętrzne walki młodzieży prawicowej – jak z relacji Wasiutyńskiego wynika – oparte były głównie na osobistych ambicjach, rywalizacji i wyborze form działania a nie na różnicach ideologicznych. Wspólna im była – sprowadzając frazeologię do istoty rzeczy – koncepcja państwa narodowego, która logicznie łączyła się z wrogością do wszystkich obcych, a ponieważ najliczniejszą mniejszością w ówczesnej Polsce byli Żydzi, więc antysemityzm stał się głównym hasłem tego ruchu. Działalność, firmowana „narodowo" i „katolicko" tego odłamu młodzieży, która bez własnego wysiłku weszła do wolności i straciła ją z winy agresora o tych samych poglądach, przypomina to co stało się znowu, po odzyskaniu drugiej wolności. W powojennym, przemieszanym dziś narodowo świecie, przerażającym anachronizmem jest obecna polska prymitywna ksenofobia, humorystyczne straszenie masonerią i specjalny, *made in Poland*, surrealistyczny antysemityzm bez Żydów, hasła oparte na niemyśleniu, doprowadzonym do perfekcji i na jaskiniowej nienawiści, bluźnierczo oddawanej pod patronat sił niebieskich.

Wasiutyński, głęboko wierzący i zbyt inteligentny, by w pełni i na zawsze przyjąć agresywny program towarzyszy młodości, z latami coraz dalej odchodził od ich skrajności, pozostając jednak wierny prawicowym przekonaniom. Wiara w ich słuszność i skuteczność skłaniała go do działania nawet

w najbardziej beznadziejnych warunkach, np. gdy w nie okupowanej Francji pomagał organizować endeckie zjazdy. Na emigracji w Londynie nadal był politycznie czynny w ramach stronnictwa a od lat 70-tych interesował się z daleka, ze Stanów, gdzie mieszkał od 1958 roku, krajowymi poczynaniami swojej partii.

Mimo to, jego znakomita publicystyka – a pisał do wszystkich ważniejszych pism emigracyjnych z *Wiadomościami* i *Kulturą* na czele i dla Radia Wolna Europa – daleka była od polskiego partykularyzmu, otwarta na cały świat i wszystkie jego zagadnienia.

Po przeczytaniu tej tak różnie interesującej książki, można jedynie żałować, że jej autor ze swoją kulturą, moralnością i talentem wybrał swą drogę życiową „prawą stroną labiryntu", który ma to do siebie, że się w nim błądzi.

Stefania KOSSOWSKA

Z punktu widzenia małego chłopca

Adam Czerniawski jest jednym z najwybitniejszych, ale również najbardziej wszechstronnych pisarzy polskich: w kilku krajach, w różnych obiegach wydawniczych, w dwu językach opublikował ponad 20 tomów swoich dzieł. Kolejne tomy poezji ukazywały się w Londynie, Krakowie, Warszawie i Łodzi, a trzy z nich również w Paryżu, w Bibliotece *Kultury*. Publikował też opowiadania, eseje krytyczno-literackie i antologie poezji, znany jest również jako tłumacz literatury polskiej na język angielski: wydał osobne tomy z przekładami poezji Jana Kochanowskiego, Cypriana Kamila Norwida, Zdzisława Stroińskiego, Leopolda Staffa, Wisławy Szymborskiej i Tadeusza Różewicza. Gdy w październiku 1996 roku Różewicz przedstawiał swoje wiersze publiczności prestiżowe-

go londyńskiego *Poetry International Festival* współuczestnikiem wieczoru był Adam Czerniawski, czytający angielskie wersje wierszy. Gdy Wisława Szymborska otrzymała literacką Nagrodę Nobla, tylko brytyjski wydawca wznowił tom przekładów jej poezji opublikowany kilka lat wcześniej przez Czerniawskiego. To jedna z książek, które niewątpliwie utorowały poetce drogę do nagrody. Nie wszyscy chcą pamiętać o takich zasługach.

Wydaje się zresztą, że Czerniawski jest bardziej ceniony w Wielkiej Brytanii, gdzie mieszka od 1947 roku, niż w kraju ojczystym. Nie dziwi więc również, że tom jego wspomnień z dzieciństwa pt. „Scenes from a Disturbed Childhood" ukazał się najpierw w Anglii, w roku 1991, z rekomendacją wybitnego krytyka Neala Aschersona („wspaniale subtelna książka"). Pochwalne recenzje odnaleźć można było w najpoważniejszych pismach, takich jak *The Times*, *Times Literary Supplement* czy *London Review of Books*. Minął już ponad rok od wydania polskiej wersji „Fragmentów niespokojnego dzieciństwa"* i trudno znaleźć w Polsce kompetentne omówienie tej książki, choć tę wersję rekomenduje z kolei czytelnikowi Ryszard Kapuściński, pisząc w przedmowie tak: „...brak szokujących i mrożących krew w żyłach scen we 'Fragmentach niespokojnego dzieciństwa' jest zaletą tej książki. Czerniawski nie chce nas epatować. Ma inny cel, a mianowicie pokazuje, jak bardzo ta nasza codzienna normalność była w czasie wojny – nienormalna, niepewna. Jak brakowało w niej spokoju i pogody. Jak formą istnienia i szansą przetrwania była nie kończąca się, upokarzająca tułaczka, uchodźstwo, wygnanie". I jeszcze o metodzie pisarskiej. Czerniawski ma ambicję pisania tych wspomnień ze swego ówczesnego punktu widzenia. Jest to prawie niemożliwe, ale stara się jednak rekonstruować ówczesne rozumienie zjawisk. Obok swoich wspomnień cytuje więc listy siostry, matki, ojca, relacje polityków. Jak pisze Kapuściński: „daje to efekt polifoniczny, kubistyczny, efekt obrazu odbitego w sekwencji rozstawionych pod różnymi kątami luster – te same epizody, fakty i zdarzenia widzimy oglądane i opowiedziane przez różnych ludzi, o różnym stopniu wrażliwości i wiedzy, z których każdy inaczej przeżywa perypetie i zagrożenie wojenne".

Adam Czerniawski, „Fragmenty niespokojnego dzieciństwa", Aneks, Londyn 1995, ss. 182, 2 nlb.

Gdy wojna się zaczęła, autor wspomnień miał 5 lat, a historia opowiedziana w tej książce kończy się w roku 1952, gdy był młodzieńcem osiemnastoletnim, choć lata powojenne omówione są bardziej skrótowo. Większość wspomnień dotyczy czasów wojny i lat tuż po wojnie. Im później, tym mniej relacji cudzych i więcej dokładniejszych wspomnień własnych. Jest to więc – jak chciałby Kapuściński – obraz odbity w sekwencji luster, a może też mozaika, czy też wręcz swoisty centon. Centonami nazywano w dawnej literaturze utwory złożone z cytatów z różnych utworów klasycznych. Wieloraka prawda o rzeczywistości miała się ujawnić lepiej w zderzeniu cytatów (czy kryptocytatów) niż w jednolitej narracji. Przywołuję ten gatunek na prawach metaforycznego skojarzenia, również po to, by wskazać wyraźnie, że wspomnienia Czerniawskiego są również *książką o niemożliwości napisania wspomnień*. Sam tytuł już na to wskazuje – są to *scenes* (w wersji angielskiej) czy *fragmenty* (w wersji polskiej). Jakże często mamy dziś do czynienia ze wspomnieniami polityków, wojskowych, arystokratów czy twórców, którzy piszą pamiętniki w formie jednolitej narracji, chcąc przekonać czytelnika, że rekonstrukcja jest możliwa i że da się tu zmierzać ku jakiejś pełnej prawdzie o przeszłości. Podejmując próbę spisania wspomnień, Czerniawski – pisarz świadom zdradliwości form, a jednocześnie filozof z wykształcenia – wiedział, iż dotarcie do jednej prawdy jest tu niemożliwe i że kolejne epizody tylko do niej przybliżają.

Mamy tu więc początek wojny z „Migawkami z przedwojennej Warszawy" (okruchami dziecięcej pamięci), pierwsze miesiące wojny w relacjach matki, ojca i polityków. Czytamy o tułaczce rodziny w relacjach matki i siostry (m.in. Krzemieniec, Dubno, Lwów), życie w wojennej Warszawie („Normalne życie w Guberni") już po wyjeździe ojca za granicę. Warto tu zresztą przypomnieć, że rodzina Czerniawskiego należała do przedwojennej elity – ojciec był oficerem i wysokim urzędnikiem państwowym, wuj, Kazimierz Świtalski, przedwojennym premierem i marszałkiem sejmu, bliskim współpracownikiem Piłsudskiego.

Czytamy dalej listy matki autora z Warszawy do ojca (przebywającego kolejno w Bukareszcie, Rzymie, Sofii i Stambule) o próbach wydostania się z Generalnej Guberni. Potem spotkanie w Stambule, Tel-Awiw, Jaffa, Jerozolima, Bejrut, Nazaret, Port-Said... w drodze do Anglii, gdzie rodzina znalazła się w roku 1947. Najwięcej można tu przeczytać o rozmaitych szkołach, w których pobierał naukę przyszły pisarz, bo nadal jest to *jego historia* z rozgrywającą się w tle historią rodziny, a dopiero w planie najdalszym jest Historia z jej okrucieństwami, też widzianymi z osobistej perspektywy: przyjaciel zabaw i kuzyn ginie na posterunku w Powstaniu Warszawskim, inny kuzyn ginie w Oświęcimiu. Nie ma w tej książce wielkich słów, ale jest cały czas obecne napięcie – widoczne w wartkiej narracji, czasem ułożonej tylko z cudzych listów, jak wspomniany dramatyczny cykl listów matki do ojca, pisanych wtedy, gdy decydowały się przyszłe losy rodziny.

Czerniawski nie epatuje nieszczęściami, pisze często z dużym poczuciem humoru, jednak groza istnienia, uniwersalna, nie tylko wojenna jest tu podskórnie obecna. Nadszedł już chyba czas, aby o wojnie pisać również w ten sposób, bo przecież tak często w codziennym życiu ujawniała się ta jej „nienormalna normalność", o której też warto dziś pamiętać.

Piotr WILCZEK

Władza i społeczeństwo

Nie brakuje publikacji poświęconych ocenom poszczególnych wydarzeń politycznych. Brakuje jednak systematycznej analizy niedawnej przeszłości. Jest to praca bardzo trudna i mało osób próbuje się tym zająć.

Jest więc bardzo dziwne, a właściwie bardzo szczęśliwe, że takiej pracy nie przestraszyli się ludzie młodzi, nie obciążeni brzemieniem komunistycznych ocen i kłamstw. Spróbowali oni przedstawić akta prawne, decyzje rządu i lokalnych władz w zestawieniu z realiami. Wyszło to niegłupio, zajmująco a nawet pouczająco*. Co prawda, nie zawsze obiektywnie, gdyż trudno pozostać obojętnym wobec oczywistych dowodów przestępstw i bezprawia uzasadnianych „racją stanu".

Książka, bezsprzecznie, będzie dobrym podręcznikiem dla wszystkich, którzy chcą zorientować się w przyczynach i motywach tego, co stało się na Białorusi w ostatnich latach. Autorzy, w każdym razie, uporządkowali i przygotowali materiał dla zorientowania się w całości sytuacji.

Jestem przekonany, że książka Owsijannika i Strełkowej będzie również interesująca i dla przeciętnego czytelnika. Bardzo bym chciał, by została ona wydana.

23.5.97

Stanisław SZUSZKIEWICZ

* Recenzja rękopisu pracy S. Owsijannika i J. Strełkowej pt. „Władza i społeczeństwo. Białoruś 1991-1996".

Nadesłane nowości wydawnicze

ŚNIECIŃSKI (Marek). *Droga na wzgórze*. Str. 76. Wyd. ASTRUM, Wrocław 1996.

HERBERT (Zbigniew). *Struna światła*. Str. 69. Przekład na j. ukraiński Wasyl Mahna. Wyd. Lileja, Ternopil, 1996.

IOSSEL (Mikhaïl). *Tout chasseur veut savoir*. Une vie à Leningrad. Str. 219. Les Editions Noir sur Blanc, Montricher 1997.

TRZNADEL (Jacek). *Hańba domowa*. Str. 510. Wyd. Świat Książki, Warszawa 1996.

ŠIMBORSKA (Vislava). *Izabrane pesme*. Tłum. Peter Vujičić i Biserka Rajčić. Str. 308. Wyd. Radio B92, Boegrad 1997.

KALANDYK (Mariusz). *Powrót Atanaryka*. Str. 64. Wyd. Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne „Fraza", Rzeszów 1997.

GOWOROWSKA-PUCHALA (Izabela). *Mitteleuropa*. Rdzeń starego kontynentu. Str. 180. Wyd. Adam Marszałek, Toruń 1996.

HINC (Olga). *Cywilizacyjna interpretacja faszyzmu*. Str. 120. Wyd. Adam Marszałek, Toruń 1996.

CHRZANOWSKA-PIEŃKOS (Jolanta), PIEŃKOS (Andrzej). *Leksykon sztuki polskiej XX wieku*. Sztuki plastyczne. Str. 280. Wydawnictwo KURPISZ s.c., Poznań 1996.

Paryż i artyści polscy. Wokół W.-A. Bourdelle'a. 1900-1918. Muzeum Narodowe w Warszawie. 18 lutego – 27 marca 1997. Katalog. Str. 174, il. Warszawa 1997.

Russia and the Commonwealth of Independent States. Documents, Data, and Analysis. Oprac. Zb. Brzeziński, P. Sullivan. Wyd. The Center for Strategic and International Studies.

LYSIAK (Stanislaw). *Album commemoratif de la compagnie 4086 Labor Service commandée par Stanislaw Lysiak – capitaine*. Str. 158.

PRUSZYŃSKI (Mieczysław). *Tajemnica Piłsudskiego*. Str. 209. Polska Oficyna Wydawnicza BGW, Warszawa 1996.

MACIEJEWSKI (Bogdan). *Pisarz bestsellerów*. Czarny humor. Str. 177. Poznań 1991.

Senatorowie w latach II wojny światowej. Zamordowani, zaginieni, zmarli. Str. 85. Biuro Informacyjne Kancelarii Senatu, Warszawa 1996.

KARSKI (Jan). *Polska powinna stać się pomostem między narodami Europy Zachodniej i jej wschodnimi sąsiadami*. Str. 26. Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 1997.

SZENTALINSKI (Witalij). *Wskrzeszone słowo*. Z „archiwów literackich" KGB. Str. 431. Wyd. CZYTELNIK, Warszawa 1996.

TARNOWSKA (Beata). *Geografia poetycka w powojennej twórczości Czesława Miłosza*. Str. 172. Wyd. Wyższa Szkoła Pedagogiczna, Olsztyn 1996.

GOŁOWACZ (Andrzej). *Krowi most*. Str. 80. Grupa wydawnicza Gnt „Łącki", Gdańsk 1997.

Perszi ta drugi czitannja pamjati Wjaczesława Lipinskogo. Ukrainska nacjonalna elita. Problema wladi w Ukraini. Żittija i tworczist W. Lipinskogo. Str. 112. Lwów 1996.

MOCHNACKI (Maurycy). *Pisma krytyczne i polityczne*. Tom I, II. Str. 489 (383). Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych „UNIVERSITAS", Kraków 1996.

ROMAN (Radu Anton). *Des poissons sur le sable*. Str. 246. Les Editions Noir sur Blanc, Montricher 1997.

ANOLIK (Beniamin). *Pamięć przywołana*. Str. 179. Oficyna Cracovia, Kraków 1996.

D'ORMESSON (Jean). *Ostatni sen mój będzie o Tobie*. Biografia sentymentalna Chateaubrianda. Str. 475. Wyd. CZYTELNIK, Warszawa 1996.

ANSICHTEN. Jahrbuch des Deutschen Polen-Instituts Darmstadt. N° 8-1996/97. Str. 300. Wyd. Harrassowitz Verlag, Wiesbaden.

KOWALSKI (Stanisław J.). *Jan Lechoń jako redaktor i publicysta w okresie nowojorskim*. Str. 165. Redakcja Wydawnictw KUL, Lublin 1996.

WALICKI (Andrzej). *Poland between East and West*. The Controversies over Self-Definition and Modernization in Partitioned Poland. Str. 61. Harvard Research Institut, Cambridge, 1994.

BOHACHEVSKY-CHOMIAK (Martha). *Political Communities and Gendered Ideologies in Contemporary Ukraine*. Str. 25. Harvard Ukrainian Research Institut, Cambridge 1994.

GRAZIOSI (Andrea). *The Great Soviet Peasant War*. Bolsheviks and Peasants, 1917-1933. Str. 77. Harvard Ukrainian Research Institut, Cambridge 1996.

The Military Tradition in Ukrainian History. Its Role in the Construction of Ukraine's Armed Forces. Str. 81. Harvard Ukrainian Research Institut, Cambridge 1995.

GRYDZEWSKI (Mieczysław), IWASZKIEWICZ (Jarosław). *Listy 1922-1967*. Str. 182. Wyd. CZYTELNIK, Warszawa 1997.

JANCZAK-BALAZY (Elżbieta). *W oczach wyrobnika. Ameryka*. Str. 229. Tarnowska Oficyna Wydawnicza, Tarnów 1996.

STAŃCZYK. Pismo konserwatystów i liberałów. Nos 1,2,4 - 1996.

BADZIAK (Kazimierz), MATWIEJEW (Giennadij), SAMUŚ (Paweł). *„Powstanie" na Zaolziu w 1938 r*. Polska akcja specjalna w świetle dokumentów Oddziału II sztabu Głównego WP. Str. 191. Oficyna Wydawnicza „ADIUTOR", Warszawa 1997.

KATZ (Janina). *Pustka*. Str. 303. Wyd. VINDROSE, Copenhagen 1997.

ŻARNOTALA (Krzysztof). *Komputeropis katarski*. Wyd. Ogon Słonia.

Informator wydawniczy. Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, Kraków 1997.

PIASA Directory of U.S. Institutions of Higher Education and Faculty Offering Instruction in Polish Language, Literature, and Culture 1996-97. Str. 44. Wyd. The Polish Institute of Arts and Sciences of America, INC. 1997.

ACTA UNIVERSITATIS NICOLAI COPERNICI: Studia rosjanoznawcze III, Str. 154. Wyd. Uniwersytetu im. M. Kopernika, Toruń 1996.

Migracje polityczne i ekonomiczne w krajach nadbałtyckich w XIX i XX w. Praca zbiorowa pod red. J. Borzyszkowskiego i M. Wojciechowskiego. Str. 226. Wyd. Instytut Historii Uniwersytetu Gdańskiego i Instytut Historii i Archiwistyki Uniw. M. Kopernika, Toruń-Gdańsk 1995.

Dawne Biblie w zbiorach Biblioteki Uniwersyteckiej w Toruniu. Rękopisy. Stare druki. Wystawa z okazji 350-lecia Colloquium Charitativum, Toruń 13-27.10.1995. Str. 88. Wyd. UMK, Toruń 1995.

Z pogranicza literatury i sztuk. Pod red. Z. Mocarskiej-Tycowej. Str. 193. Wyd. UMK, Toruń 1996.

BARANOWSKI (Henryk). *Bibliografia Wilna*. Tom I: Uniwersytet Wileński 1579-1939. Str. 331. Wyd. UMK, Toruń 1996.

„Wiadomości" i okolice. Szkice i wspomnienia. Tom II. Red. M.A. Supruniuk. Str. 318. Wyd. UMK, Toruń 1996.

Kazimierz Pomagalski. Str. 71. Wyd. Silva-Editore, Parma 1995.

ZUZIA (Lucjan). *Zaplątany duch*. Str. 93. Wyd. FALL, Kraków 1997.

CIESZYŃSKA (Jagoda). *Skład mebli i luster*. Wyd. FALL, Kraków 1996.

Dla dobra Rzeczypospolitej. Antologia myśli państwowej. Oprac. K. Budziło, J. Pruszyński. Str. 377. Wyd. Sejmowe, Warszawa 1996.

Parlament, prawo, ludzie. Studia ofiarowane profesorowi Juliuszowi Bardachowi. Str. 365. Wyd. Sejmowe, Warszawa 1996.

Roman Dmowski o ustroju politycznym państwa. Oprac. K. Kawalec. Str. 201. Wyd. Sejmowe, Warszawa 1996.

Adam Doboszyński o ustroju Polski. Oprac. B. Grott. Str. 200. Wyd. Sejmowe, Warszawa 1996.

POLSKA I WSCHODNI SĄSIEDZI

10.4.97
Senat RP wyasygnował 6 mln złotych, tj. 2 mln dolarów, na budowę szkół polskich na Litwie, Łotwie, Ukrainie i Białorusi oraz na budowę Domów Polskich w Wilnie, Lidzie, Szczuczynie i Żytomierzu. Dotacje otrzymało również pismo Związku Polaków na Litwie *Nasza Gazeta*, ale ta pomoc została przyznana przez Fundusz Pomocy Polakom na Wschodzie. Parokrotnie prasa, jak również *Kultura*, pisały o niecelowości budowy Domu Polskiego w Wilnie.

1.5.97
Marszałkowie parlamentów Polski i Litwy, Józef Zych i Vytautas Landsbergis, podpisali w Wilnie statut Polsko-Litewskiego Zgromadzenia Poselskiego. Zgromadzenie Poselskie ma liczyć 40 osób i ukonstytuować się do 1 sierpnia. Ma ono przybliżyć obu państwom wejście do Unii Europejskiej i NATO, a także „Zacieśnić przyjaźń między krajami". Każdą ze stron reprezentować będzie po 20 parlamentarzystów. Pierwsze posiedzenie nowego zgromadzenia odbędzie się po 15 czerwca. ● Doroczne nagrody kwartalnika *Przegląd Wschodni* zostały przyznane książce Jewgienija Gorelika z Mińska „Kuropaty – polski ślad" (Warszawa 1996) oraz książki Andrzeja Pepłońskiego „Wywiad polski na ZSSR 1921-1939".

5.5.97
Senat Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu uroczyście obchodził jubileusz 90-tych urodzin prof. Janusza Pajewskiego, autora takich dzieł jak „Pierwsza wojna światowa" czy „Odbudowa Polski". Uniwersytet odznaczył prof. Pajewskiego Palmami Uniwersyteckimi, medalem przeznaczonym dla emerytowanych naukowców, wyróżniających się wybitnymi pracami naukowymi. Profesor Pajewski pierwszy otrzymał to wyróżnienie. Przy okazji można przypomnieć, że 60 lat temu, na łamach *Buntu Młodych*, Adolf Bocheński, recenzując książkę Janusza Pajewskiego, młodego wówczas historyka, zapowiadał mu świetną przyszłość.

20.5.97
WYSTAWA „KULTURY" W KIJOWIE. – W Państwowej Bibliotece Historycznej Ukrainy w Kijowie została otwarta wystawa „*Kultura* – o niepodległą Ukrainę". Na wystawie przedstawiono wszystkie wydawnictwa *Kultury* dotyczące spraw ukraińskich, w sumie około 85 wydawnictw. Na otwarciu było ponad 200 osób ze świata polityki, kultury i nauki. M.in. przemówienie wygłosili Jerzy Bahr, ambasador RP na Ukrainie; Mykoła Żułyński, deputowany Rady Najwyższej Ukrainy; Mykoła Kosiw, deputowany Rady Najwyższej Ukrainy, przewodniczący komisji do spraw kultury i religii; Iwan Dziuba, pierwszy minister kultury niezależnej Ukrainy oraz prof. Bohdan Osadczuk. 21-go maja wystawę zwiedził prezydent Aleksander Kwaśniewski, który w tym czasie bawił w Kijowie.

23.5.97.
Zostały ogłoszone nagrody i wyróżnienia Fundacji Kultury „Promocja najnowszej literatury polskiej". Zostały wyróżnione trzy książki: powieść Dariusza Bitnera „Pst" (Wyd. Basil), eseje Małgorzaty Szpakowskiej „Zakorzenieni, wykorzenieni" (Wyd. Open) i wiersze Pawła Marcinkiewicza „Świat dla opornych" (Wyd. Znak). Wydawcy otrzymali subwencje na edycję tych tytułów, a autorzy nagrody pieniężne po 4 tys. złotych. Ponadto Fundacja przyznała pięć wyróżnień po 5 tys. złotych dla autorów następujących książek: Piotr Grzesik „Na przedmieściach" (Wyd. Baran i Suszczyński), Alina Witkowska „Cześć i skandale. O emigracyjnym doświadczeniu Polaków" (Wyd. Słowo), Henryk Waniek „Pitagoras na trawie" (Wyd. Przedświt), Teresa Ferenc „Boże pole" (Wyd. W drodze) i Iwona Smolka „Współczesne poetki polskie" (Wyd. IBL).

9.6.97
Na skutek rezygnacji Aleksandra Chećki, redaktorem naczelnym *Życia Warszawy* został Andrzej Urbański, w swoim czasie redaktor naczelny *Expressu Wieczornego*.

25.6.97
W Domu Pracy Twórczej – Klasztor nad jeziorem Wigry (województwo suwalskie) odbyło się spotkanie działaczy kulturalnych Litwy i Polski. Organizatorami spotkania była redakcja miesięcznika *Kulturos Barai (Dziedziny Kultury)* oraz redakcja kwartalnika *Lithuania* z Warszawy.

ZACHÓD

1.4.97
Tegorocznym laureatem nagrody im. Herdera został polski historyk sztuki prof. Lech Kalinowski.

10.5.97
Tegoroczne nagrody im. Jerzego Łojka, sponsorowane przez Instytut im. Józefa Piłsudskiego w USA, otrzymali: Wojciech Ziembiński, działacz niepodległościowy, oraz Jacek Trznadel, pisarz i krytyk literacki, autor szeregu prac historycznych.

22.5.97
Zmarł w Londynie w wieku 98 lat Stanisław Swianiewicz, ekonomista, profesor Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie oraz wielu uniwersytetów w Anglii, Kanadzie i Stanach Zjednoczonych. Blisko współpracował przed wojną z pismami *Bunt Młodych* oraz *Polityka*, a po wojnie z *Kulturą*. Przed wojną w Bibliotece *Polityki* ukazała się jego książka „Polityka gospodarcza Niemiec hitlerowskich", a w Bibliotece *Kultury* „W cieniu Katynia". ● W Księgarni Dobosza w Paryżu odbyło się spotkanie z Ludwikiem Flaszenem, autorem książki „Cyrograf", wydanej przez krakowskie Wydawnictwo Literackie.

31.5.97
Zmarł w Szwajcarii w wieku 79 lat Jean Wetz, wieloletni korespondent *Le Monde*. Był m.in. w Polsce od 1960 do 1962 roku. Miał zamiar zatrzymać się dłużej w Polsce, ale władze PRL odmówiły mu przedłużenia wizy. W Bibliotece *Kultury* w 1967 r. ukazały się wspomnienia jego żony Alicji Zawadzkiej-Wetz pt. „Refleksje pewnego życia". ● W związku z wizytą papieża w Polsce źródła watykańskie podają imponujące cyfry jego podróży. Podróż do Polski jest 205-tą. Od chwili wyboru w 1978 r. Papież przejechał 1.051.057.144 km, a więc trzykrotnie dystans dzielący Ziemię od księżyca lub 83 okrążenia równika. Spędził 671 dni 2 godziny 50 minut poza Watykanem odwiedzając 116 krajów, 809 miast, miejscowości lub sanktuariów i wygłosił 2.967 przemówień.

1.6.97
Międzynarodowa organizacja *Aide à l'Eglise en Détresse* w sprawozdaniu dorocznym za rok 1996 podaje wykaz udzielonej pomocy (w dolarach): Białoruś – 572.054; Bułgaria – 192.503; Estonia – 36.434; Węgry – 2.946.352; Kazachstan – 402.734; Łotwa – 320.343; Litwa – 1.086.652; Mołdawia – 53.226; Polska – 6.038.871; Czechy – 1.920.340; Rumunia – 1.620.706: Rosja – 3.487.709; Słowacja – 2.400.278; Ukraina – 4.323.413.

25.6.97
W Stacji Naukowej PAN w Paryżu odbył się odczyt profesora Vladimira F. Machulina, wicesekretarza generalnego Ukraińskiej Akademii Nauk na temat: „Prace badawcze na Ukrainie: sukcesy, niepowodzenia i perspektywy".

10.6.97
W Instytucie Polskim w Paryżu miała miejsce prezentacja książki Krzysztofa Lubczyńskiego „Paryż – przewodnik literacko-historyczny". ● Uniwersytet Paris I – Sorbonne przyznał doktorat *honoris causa* znanemu polskiemu historykowi Piotrowi Wandyczowi z Uniwersytetu Yale. ● W Stacji Naukowej PAN w Paryżu miał miejsce odczyt prof. Rostislava G. Zhbankova, sekretarza generalnego Białoruskiej Akademii Politechnicznej na temat „Prace badawcze na Białorusi – sukcesy, niepowodzenia i perspektywy".

12.6.97
Zmarł w Paryżu w wieku 73 lat Bułat Okudżawa, jeden z najbardziej znanych i lubianych w Polsce rosyjskich poetów.

13.6.97
W Austriackim Instytucie Kulturalnym w Paryżu odbyło się kolokwium na temat: „Rozszerzenie Unii Europejskiej", w którym wziął udział m.in. prof. Piotr Wandycz.

17.6.97
W Księgarni Dobosza w Paryżu odbyła się promocja książki-antologii „Témoins. Quarante-quatre poètes polonais contemporains (1975-1990)", opracowanej i przełożonej przez Lucienne Rey we współpracy z Gérardem Gaillaguetem.

20.6.97
W Centre du Dialogue w Paryżu odbył się odczyt ks. prof. Marka Starowieyskiego „Ze świata legend Nowego Testamentu". Poprzednio, 13-go czerwca Karol Tarnowski, współredaktor Wydawnictwa ZNAK, mówił na temat „Wolność i wiara". 6-go czerwca została odprawiona w Centre du Dialogue msza w pierwszą rocznicę śmierci wieloletniego dyrektora tego ośrodka i wydawnictwa ks. Zenona Modzelewskiego. ● W amfiteatrze uniwersytetu w Fordham w Stanach Zjednoczonych odbył się 55-ty zjazd Polskiego Instytutu Naukowego. Była to kilkunastosesyjna konferencja na tematy związane z Polską oraz studiami nad Europą Centralną i Wschodnią. Pierwszą plenarną sesję „Nowe spojrzenie na Europę Centralno-Wschodnią" prowadził prof. Piotr Wandycz z uniwersytetu w Yale. Jedna z sesji była poświęcona nowo powstałemu centrum informatycznemu polskiej nauki na internecie. ● Stowarzyszenie Polskie w Genewie zorganizowało spotkanie z Czesławem Bieleckim (Maciej Poleski), który mówił na temat „Plan akcji" w związku ze zbliżającymi się wyborami do sejmu i senatu.

23.6.97
Stowarzyszenie Polsko-Ukraińskie w Paryżu zorganizowało w Bibliotece Polskiej specjalne posiedzenie z okazji podpisania w Kijowie 21-go maja br. wspólnego oświadczenia prezydentów RP i Ukrainy o porozumieniu i pojednaniu. Na program posiedzenia złożyło się powitanie wygłoszone przez Leszka Talkę, dyrektora Biblioteki Polskiej, uroczyste otwarcie zebrania przez p. Beatrice Deryng-Santamaria, przewodniczącą Towarzystwa Polsko-Ukraińskiego, odczytanie w języku ukraińskim, polskim i francuskim deklaracji prezydentów RP i Ukrainy; następnie zabrali głos ambasador Ukrainy w Paryżu Youri Kochubey i ambasador RP Stefan Meller. Na zakończenie wygłosił odczyt prof. Daniel

Beauvois z Sorbony. Wreszcie odczytano list Jerzego Giedroycia, który z powodu złego stanu zdrowia nie mógł przybyć na zebranie.

24.6.97
W Instytucie Polskim w Paryżu odbyło się spotkanie z Mariuszem Wilkiem, korespondentem *Kultury* w Rosji, mieszkającym na Wyspach Sołowieckich.

Kronika kanadyjska

Fundacja charytatywna Kongresu Polonii Kanadyjskiej otrzymała w 1996 r. dary i fundusze wartości 368.000 $. Do Polski dla rodaków na Wschodzie przekazano 205.000 $, na pomoc inwalidom wojennym 43.000, na akcje domowe w Kanadzie 68.000$. Koszta administracyjne wyniosły 5,2%. Fundacja apeluje do społeczności polonijnej o dotacje, zapowiada zbiórkę, od wyników której zależeć będzie dalsza działalność Fundacji. ■ Apel do Polonii wystosowała Wanda Bujalska koordynator Programu Języka Polskiego w Hamiltonie, gdzie na uniwersytecie McMaster prowadzone są kursy języka polskiego. Są one uzależnione od finansowego wkładu Polonii. Polish Language Studies czynne są już 16 lat. Stałymi donatorami są: Fundacja Millenium i Fundacja im. A. Mickiewicza. ■ Fundacja im. Mickiewicza zawarła umowę o utworzeniu przy Fundacji specjalnego Funduszu Stanisławy i Włodzimierza Tylkowskich. Małżeństwo to przekazało Fundacji 100.000 $ które umieszczono na osobnym koncie. Procenty z tego kapitału będą corocznie rozdzielane – zgodnie z życzeniem pp. Tylkowskich: 30% na stypendia dla studentów polskiego pochodzenia w Kanadzie, 30% na rozwój, utrzymanie oświaty i kultury polskiej w Kanadzie, 40% na apele charytatywne dla rodaków na terenie byłego Związku Sowieckiego. ■ W Toronto odbyła się uroczystość nadania odznaczenia „Sprawiedliwi między narodami" Polakom za ratowanie Żydów podczas okupacji niemieckiej: Maria Eckhardt (pośmiertnie) za ukrywanie w Tarnopolu

Kaliny Kleinberg, Anna Lesk za ukrycie sióstr Zofii i Marii Piszniuk. Irena i Ignacy Leszkowicz (pośmiertnie) za wyrobienie niemieckich papierów i opiekę nad rodziną Dubickich. ■ Przedterminowe wybory w Kanadzie do Izby Gmin rozpisane przez rządzącą Partię Liberalną dla wzmocnienia swej pozycji i uzyskania mandatu na następną kadencję. Liberałowie mieli zamiar przeprowadzić program przemian, ale ich zwycięstwo jest tylko formalne. Uzyskali 155 mandatów a w rozwiązanej Izbie mieli 174 – inne partie zdobyły 146 mandatów. W nowej Izbie Gmin o składzie 301 posłów rząd posiada minimalną tylko większość. Wybory wykazały rozwój tendencji oraz świadomości regionalnych.

B.H.

WAWEL
PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA
W NIEMCZECH ZACHODNICH
Wszystko na temat Europy Wschodniej:
– Literatura piękna i fachowa,
– Albumy, plakaty, pamiątki,
– Książki antykwaryczne.
Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.
Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.
Tel.: 0221/24-61-60.
Również sprzedaż wysyłkowa.
Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze,

Z wielkim zainteresowaniem i smutkiem przeczytałam „Kartki ze skażonej strefy" Ewy Berberyusz w kwietniowym numerze *Kultury*. Z zainteresowaniem, bo z polskim środowiskiem niewidomych wiążą mnie wspomnienia mojej pierwszej pracy, właśnie w redakcji *Naszego Świata* i powstającego wówczas *Niewidomego Spółdzielcy*, a także przyjaźnie, które pozostały na całe życie.

Ze smutkiem, bo nie mogę pojąć, jak można pisać o *Niewidomym Spółdzielcy* nie wymieniając nazwiska Jerzego Szczygła, pisarza i dziennikarza, człowieka, który to pismo stworzył, nadał mu kształt i charakter, który zaprosił i chronił tam podczas stanu wojennego wielu znakomitych dziennikarzy i który szykanowany za to przez władze przypłacił to wylewem, a w konsekwencji – życiem. Mówić o *Niewidomym Spółdzielcy* bez Szczygła, publicysty o rzadko spotykanej charyzmie i odwadze, to tak jak mówić o *Prawdzie* bez Świętochowskiego lub *Kulturze* bez Giedroycia.

Tak zwana „czarnodrukowa" (w odróżnieniu od brajlowskiej) wersja *Niewidomego Spółdzielcy*, pisma Związku Spółdzielni Niewidomych (nie Związku Niewidomych, który miał inne pisma) powstała w 1966 r. Jerzy Szczygieł musiał pokonywać wielkie opory centralizacyjnego „betonu", byłam świadkiem, a nawet skromnym uczestnikiem, tych zmagań. Redaktor i mój szef, który stracił wzrok i nogę jako dziecko na polach minowych, zawsze z ogromnym samozaparciem walczył o polepszenie bytu niewidomych. *Spółdzielca* miał być właśnie taką wizytówką, która miała pomóc w walce o prawa i przywileje, a jednocześnie wzmóc prestiż środowiska w świecie widzących. Było to więc dość naturalne dla Jerzego Szczygła, że w latach osiemdziesiątych otworzył łamy i drzwi redakcji dla znakomitych kolegów po piórze. Mało prawdopodobne, aby zdarzyła się rzecz odwrotna, tj. aby oni uczynili to dla niego. Ale to inna sprawa. Chciałabym się mylić, ale nigdzie nie widziałam, aby któryś z tych sławnych kolegów, którzy z takim entuzjazmem chadzali do *Ślepca*, wspomniał gdziekolwiek o dwóch jego pośmiertnie już wydanych powieściach.

A teraz pisze się o tym piśmie wymieniając przypadkowe nazwiska i pomijając to jedyne, najważniejsze. To jest najsmutniejsze skażenie.

Z poważaniem

Anna FRAJLICH-ZAJĄC

W odpowiedzi pani Annie Frajlich-Zając

NIE SPOSÓB SPROSTAĆ...

...wszystkim oczekiwaniom. Dlatego w tekście o niewidomych (*Kultura* nr 4 z 1997) zabezpieczyłam się zdaniem mówiącym, że moje zetknięcia z tym środowiskiem stanowią jedynie nakłucie tematów, z których każdy nadaje się na osobne opowiadanie. Z pewnością, solidnej monografii powinna doczekać się postać Jerzego Szczygła i pismo przez niego stworzone. Niestety, ja się już z Jerzym Szczygłem nie spotkałam. Zmarł w 1983 roku. Zastąpił go Sylwester Peryt (w nazwisku zakradła się literówka, powinno być „Peryt", nie jak w tekście „Peryf"). Celem moich kilku zdań, w których pojawiają się słowa *Niewidomy Spółdzielca*, był nie opis pisma, ale przypomnienie tej szczególnej fuzji dwóch środowisk, dotychczas sobie mało znanych, a wtedy tak cudownie skojarzonych i sobie potrzebnych. Zresztą, podobnych fuzji społecznych było w tamtym czasie wiele, że wspomnę wiele plebanii, klasztorów i księży. Jednakże, jak wiadomo, z wybuchem wolności te arcyciekawe socjologicznie układy Polaków – pękły, by w warunkach raczkującej demokracji układać swoją łamigłówkę od nowa. Co do mnie, to jestem jednak szczęśliwa, że uszczknęłam okiem i uchem garstkę tamtych spotkań.

Z poważaniem

Ewa BERBERYUSZ

●

McLean, 6.8.97

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Do wspomnienia Sławomira J. Żurka o Arnoldzie Słuckim („Szagalewa ostatni spadkobierca", *Kultura* 5/596, 1997), pragnę dorzucić wzruszający wiersz Ryszarda Kapuścińskiego, znajdujący się w zbiorku „Notes" (Czytelnik, Warszawa 1996).

Poeta Arnold Słucki
na Nowym Świecie

Nim
wyjechał na zawsze
do Jerozolimy
chodził po Nowym Świecie
patrzył nikogo nie widząc
stary płaszcz bez jednego guzika
na czole zawsze pot

w kieszeniach pełno wierszy
wyjmował jeden po drugim
w bramie
trzymając mnie za rękę
kazał czytać

Dobre?
Niedobre

Strapiony
wyciągał następne
piąty
dziesiąty

w końcu wyciągnął gołębia

A to co? spytałem

Nie widzisz?
Mój ostatni wiersz!
Nie wiesz że ptak to wiersz?
Poezja w locie?

Łączę wyrazy najserdeczniejszego szacunku

Róża NOWOTARSKA

●

Warszawa 18.06.97

Szanowny Panie Redaktorze,

Nie popieram obnoszenia się autorów ze swymi kłopotami, jednak muszę Pana poinformować o sprawie – jak śmiem sądzić – niezupełnie prywatnej, tym bardziej że dotyczy ona również moich dalszych ewentualnych korespondencji z Ukrainy. Otóż po opublikowaniu w *Kulturze* kilku pierwszych reportaży stamtąd i po zawarciu umowy z wydawcą, zainteresowanym – w efekcie ich lektury – moją książką eseistyczno-reportażową o współczesnej Ukrainie, musiałam szukać środków na podróż i pobyt u sąsiadów. Bardzo życzliwym sponsorem mojego zeszłorocznego pobytu w Lwowie był wojewódzki wydział kultury w Przemyślu, jako organizator spotkań autorskich. Tym razem jednak chodziłoby o podróż na dalszą, wschodnią Ukrainę, o pobyt m.in. w Kijowie: nie zamierzam przecież pisać książki wyłącznie o tamtejszych Polakach, przeciwnie, interesują mnie Ukraińcy, ich państwo, ich myślenie i realia życia. Tę tematykę z początkiem lat 80-tych podjęłam w swoim „Motywie wschodnim".

Wystąpiłam do Funduszu Promocji Twórczości, Gabinet Ministra Kultury i Sztuki, z prośbą o stypendium twórcze. Regulamin ministerialny podkreślał, że „im bardziej konkretny jest program, tym większe są szanse na pozytywne rozpatrzenie podania". Sądziłam, że zainicjowany korespondencjami w *Kulturze*, czyli sprawdzalny w sensie jakości warsztatowej – i koncepcyjnej – zamysł książki o Ukrainie podnoszącej się z państwowego niebytu, z narodowego ucisku oraz poniżenia, Ukrainie bardzo kontrowersyjnej, trudnej i tak przecież ważnej dla nas – spotka się z poparciem szczególnie teraz, w okresie zainicjowanego porozumienia, o którym głośno w każdej gazecie. Tymczasem odmówiono mi stypendium.

Decyzja komisji zapadła 6 maja br. Do dnia dzisiejszego – jest druga połowa czerwca – nie otrzymałam pisemnego zawiadomienia ani o odmowie, no i o przyczynach odmowy. Zdawałoby się, iż spełniam dokładnie wszystkie warunki regulaminu, a dotychczasowy mój dorobek (szesnaście książek, w tym większość z gatunku zwanego „wielkim reportażem") potwierdza choćby na przykładzie takich tomów jak „Anglia, któregoś dnia" czy „Ściśle prywatna Europa", że nie podjęłam się zadania ponad siły. Nie mam środków na zbieranie materiałów zagranicą: moim jedynym stałym źródłem utrzymania jest emerytura. W tej sytuacji dalsze prace nad zainicjowaną już książką stają pod dużym znakiem zapytania.

Ośmielam się nie uważać tematu za wyczerpany przez urzędnika ministerialnego, który – poproszony telefonicznie o uzasadnienie odmowy – odrzucił „o co chodzi, to był konkurs, powinna pani wiedzieć, że lepsi wygrywają z gorszymi".

Anna STROŃSKA

POLNISCHE BUCHHANDLUNG
KSIĘGARNIA POLSKA
Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria
Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater
Tel. i fax: (1) 52 63 114
Konta pocztowe
Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556
Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.
Bezpłatne katalogi na żądanie.

NOTATKI REDAKTORA 187

CI, CO ODESZLI

Z.S. Siemaszko: *Ojciec Jerzy Mirewicz S.J.* 190

KSIĄŻKI

M. Broński: *„Wspomnienia" J.-F. Revela* 193
Leszek Szaruga: *Oblicze ojczyzny* 200
Stefania Kossowska: *Nie zamierzona autobiografia* 203
Piotr Wilczek: *Z punktu widzenia małego chłopca* . 207
Stanisław Szuszkiewicz: *Władza i społeczeństwo* 210
– *Nadesłane nowości wydawnicze* . . 211

●

– *Wydarzenia miesiąca i kronika kanadyjska* 214

A. Frajlich-Zając, E. Berberyusz, R. Nowotarska, A. Strońska: *Listy do Redakcji* 220

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 3ème trimestre 1997.

Akredytowany korespondent *Kultury* w Rosji:
Mariusz Wilk, Primorskaja 15, Archangelskoj obł.,
164409 SOŁOWKI

Skład komputerowy: MacWire Diffusion.

Imprimé en France.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte – Telefon 01-39-62-19-04
Fax: 01-39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata 1/2-roczna	Prenumerata roczna
	Ceny na rok 1997		
AFRYKA POŁUDNIOWA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: **Barbara Malak-Minkiewicz**, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Fl h 20,00	Fl h 110,00	Fl h 210,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv. Tel. i fax: (3) 5606311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; **Baltazar Krasuski,** 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; **Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches,** 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 789-8260,fax: (613) 789-1051; **Z. Micherdziński,** 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, tel.: 545-2115	$ can.13,00	$ can.75,00	$ can.140,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessstr. 39/41, D 80328 München, tel.: (089) 54-21-80; **Księgarnia Wawel,** Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1, tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 27, rue de la Fontenette, 1227 Carouge/GE. Tel.: 343-05-84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: Wojciech Luterek, Regnstigen 14-6 Tr., 171-46 SOLNA. Tel. (08) 83-13-33. **PG-KONTO 614 87 10-4.**	Sk 85,00	Skr 450,00	Skr. 850,00
U.S.A.: Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; **St. Kwiatkowski,** 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109, tel.: (216) 351-8219; **POLONIA Bookstore,** 4738N Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60630, tel. (773) 481-6968; **Księgarnia Ludowa,** Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; **Szwede Slavic Books**, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302, tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; **Księgarnia «Nowego Dziennika»**, 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018, tel.: (212) 594-2266	$ US 11,00	$ US 60,00	$ US 116,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (171) 370-2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06) 77-20-15-58	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach nie wymienionych prenumerata roczna – F. 600; półroczna – F. 320.
***Przesyłka* pojedynczego numeru – F 6,00.**

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE – C.C.P. PARIS 18-228-56 W (*z Francji*)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (*z zagranicy*)

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

Tom 497 – ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT STO DWUDZIESTY

zawiera opracowania: T. Bujnicki: *Wilno: tradycje historyczne, kulturowe i literackie jako czynniki formujące świadomość narodową polskiej mniejszości na Litwie;* A. Pukszto: *Ostatnie chwile Rektora Stefana Ehrenkreutza i USB;* K. Bieniecki: *Raporty brytyjskich lotników o Polsce ;* K. Styś: *„Burza" i „Deszcz" na terenie obwodu AK Kozienice;* W. Andruszkiewicz: *Holocaust w Ejszyszkach ;* L. Tomaszewski: *Kedyw w okręgu wileńskim Armii Krajowej;* R. Czyżewski: *Obóz pracy „Dora" ;* H. Czermińska-Żelaźniewiczowa „Urszula": *Ludzie z „Zagajnika" 1942-1944;* T. Mianowicz: *Instrukcje dla bratniej partii: Rozmowy Andrieja Gromyki w Warszawie przed IX Zjazdem PZPR;* T. Wyrwa: *Miscellanea tomu XXI londyńskich* Tek Historycznych*;* B. Berdychowska: *Sojusz Piłsudski – Petlura;* A. Pasternak: *3 Maja 1946 roku w Krakowie;* POLEMIKI: Zarząd Koła Pułku 4. Pancernego „Skorpion", Z.J. Starostecki, E. Głowacki i A. Ziółkowska-Boehm: *Listy dotyczące wywiadu przeprowadzonego przez p. A. Ziółkowską-Boehm z Z.J. Starosteckim* oraz LISTY DO REDAKCJI i SPROSTOWANIA.

Str. 240 Cena F. 90,00

I.N., 93400 St-Ouen – 1880-1997

Cena 90 F